

WYDZIAŁ

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

WIESŁAW SCLAVUS

Autor »Ugodowców«, »Królobójców« i »Anarchistów«

FINIS POLONIAE

„POLSKO! LECZ CIEBIE BŁYSKOTKAMI ŁUDZĄ
„PAWIEM NARODÓW BYŁAŚ I PAPUGĄ;
„A TERAZ JESTEŚ SŁUŻEBNICĄ CUDZĄ...“

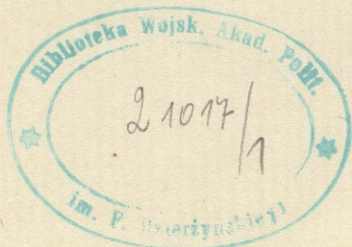
Słowacki

POZNAŃ 1906

KSIĘGARNIA POLSKA W. TEMPŁOWICZA.

320 1.884-4 (93)

WIESŁAW SZCZAPKIS
FINIS
POLONIAE



POZNAŃ 1906
KSIĘGARNIA POLSKA W TEMPOWICZACH

TREŚĆ:

| | |
|-----------------|----------|
| Wstęp | str 1 |
|-----------------|----------|

Na samobójczej mogile.

| | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---|
| O narodzie, który nigdy nie powstał. — Finis Poloniae. — Falsze o Thermophylach. — Poczwórna wierność Polaków do ostatka. — Pokolenia Kainów i Piłatów. — Napoleonidzi. — O rewolucyi i zajęcych sercach. — Sto tysięcy złożyło broń — czemuż nie legli? — Rok 63. — Dwa różne dorobki. — O wielopolszczyźnie. — Ambicje bezdusznych. — Legiony milionów śpią | 7 |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---|

Precz z poezią.

| | |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym. — O poetomanii. — Wallenrod i liczba 44. — Reduta Ordoni i śmierć Sowińskiego. — Sceptyzm i galicyjski patryotyzm. — Czy Bóg powierzył księciu Józefowi honor Polaków. — O Dąbrowskim. — Lokajstwo pisarzów. — Jeszcze o bohaterze lipskim. — Jarema Wiśniowiecki — wieszatiel. — Czapki z pawich piór. — Król na hotelu Lambert i adjutant literacki Kościuszki. — Halucynacje polskie o posłannictwie . . . | 29 |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

Komunały narodowe.

| | |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--|
| Polacy nie splamili się królobójstwem. — Wątpliwa chluba. Zamachy w czasach porzbirowych na Berga, Aleksandra II i księcia Konstantego. — Hryniewiecki, | |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--|

| | |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Padlewski i Czołgosz. — Spartanki nasze i Murawiew. — O żandarmach wieszających. — Przyszła Polska przedmurzem. — Dawne dzieje przedmurza i obecny jego stosunek do mocarstw. — Od morza do morza. — Jedyne punkty wyjścia dla naszych haseł | 43 |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

Klątwy niewoli.

| | |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Nasze tchórzostwo. — Zaprzańcy. — Kłamane poświęcenia. — Falszywość polska. — Ofiary patriotyzmu przed sądem. — Pomnik Katarzyny. — Inteligencja powiatowo-gubernialna. — O „polaczyszkach“. — Patriotyzm nienawiści. — Maniactwo nędzarzów. — Gdzież chiński mur? — Zmarnowanie siedmdziesięciu lat pracy. — O Galicyi. — Patriotyzm twórczy . . . | 55 |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

My i Europa.

| | |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Nasze dobre mniemanie o sobie. — Bywało inaczej. — Puścizna poemigracka. — O nieznośnie trudnym języku. — Świat zabity deskami. — Nieco o czasopiśmie. — Widmo rozłamu w zaborach. — Nasze chluby. — Kopernik i Chopin. — Czy znaczymy wiele w Europie przez sztukę lub przez literaturę. — Prawa na forum kultury ludzkiej. — Miłostki polskie dla Turków, Anglików, Węgrów, Szwedów i Japończyków. — Nasza szlachetność na krótką metę . . . | 71 |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

Watykan i polskość.

| | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Szaniec katolicyzmu. — Zorane i zasiane pole. — Polityka kuryi rzymskiej. — Leon XIII. — Nasze wyrzekania i gorycze. — Religja i narodowość. — Następstwa tolerancyi religijnej i jedyna nadzieja, że prawosławny Synod cios opóźni. — Czyśmy gotowi? — Położenie zaboru rosyjskiego. — O tem, cośmy wiedzieli dawno, a o czem teraz rozprawiać zaczynamy. — Polskość i katolicyzm. — Punkt wyjścia. — Przypomnienie skrupułów Maryi Teresy | 91 |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|

Żydowskie bezdroża.

- Cztery miliony sprzymierzeńców czy wrogów. — Polska tolerancja. — Czego od żydów żądamy i co im dać możemy. — Żydz się ludź. — O anarchizmie, komunizmie i socjalizmie żydowskim. — Rdzeń „czarnych sotni“. — Bund i ogół żydowski. — Wrogowie polskości. — Z kimże nareszcie iść chcą. — Żądamy odpowiedzi 105

Nasz socjalizm.

- Jurne piskłę. — Zło i dobro. — Atteńczycy rodem z Beocyi. — O utopiach i hasłach zachodu. — Obrona klas pracujących. — Francja. — Międzynarodowość w życiu robotników. — Proletaryat. — O Polsce socjalistycznej. — Rodowód Atteńczyków. — Przegrana partya. — Zubożenie robotników. — Socjalizm, jako pełnia teoryi. — Wycofane z użycia stare karabiny. — Oszczędność we Francyi. — Lichota polskich pracowników i próżniactwo. — Ambicje Herostratowych rycerzów 119

Dzieci czołem narodu.

- Wypowiedzenie posłuszeństwa. — Potęga sztuby. — Łzy i skargi. — Rodzina i szkoła. — Strejk dzieci. — Uprzymnienie blizkiej przeszłości. — Kto uświadamiał. — Wyższe zakłady naukowe. — Września i Lublin — Szkoła bez praw. — Drożyzna i brak ofiarności. — Przykład o księciu. — O smarkateryi sztabackiej i niedoważonej młodzieży 143

Polskie burżujstwo.

- Czy neologizm? — Skądże burżujstwo? — Wiara w rubla. — Dążenie do bogactw. — Pokolenie przybyszów i neopolaków. — Różnica między Warszawą i Warszawą. — Ucieczka zagranicę. — Burżujstwo i socjalizm. — Walka w Szwajcaryi. — Żółty program. — Drzwi otwarte. — Hajże wywalajmy drzwi!! . . . 161

Taniec partyj.

- Stronnictwa i naród. — Bezpartyjność. — Walka wszech-
 polaków z ugodowcami. — Przegrana i zwycięstwo
 bezwyznaniowców. — O ukrytym celu politycznym. —
 Atut z wyższości polskiej kultury. — Świadectwo hi-
 storyi. Arysto i plutokracja. — Zawsze taż sama. —
 Garść ideowców w tłumie samolubów. — Ciężenie
 realistów ku socyalistom. — Kto bliższy. — Wspólny
 punkt. — Stałość przekonań. — Gubernjalne ideały. —
 Nowe sklepiki. — Przeciętny pęcherz. 177

Lud i Ludomanja.

- Piękne hasła i zawsze tylko hasła. — Lud bez osłonek. —
 Kto doń trafia. — Monopoliści. — Sukmany, jako de-
 koracja zabaw. — Kwestya jednego wyrazu. — Uro-
 dzeni arystokraci. — Polska równość. — Czarodziej-
 ska konstytucja. — Demokracja. — Endecy w Ga-
 licji. — Trzy prądy podaustryackie. — Wpływ kleru. —
 Mankietnicy. — Głód duszy. 201

Panslawianizm wszechrosyjski.

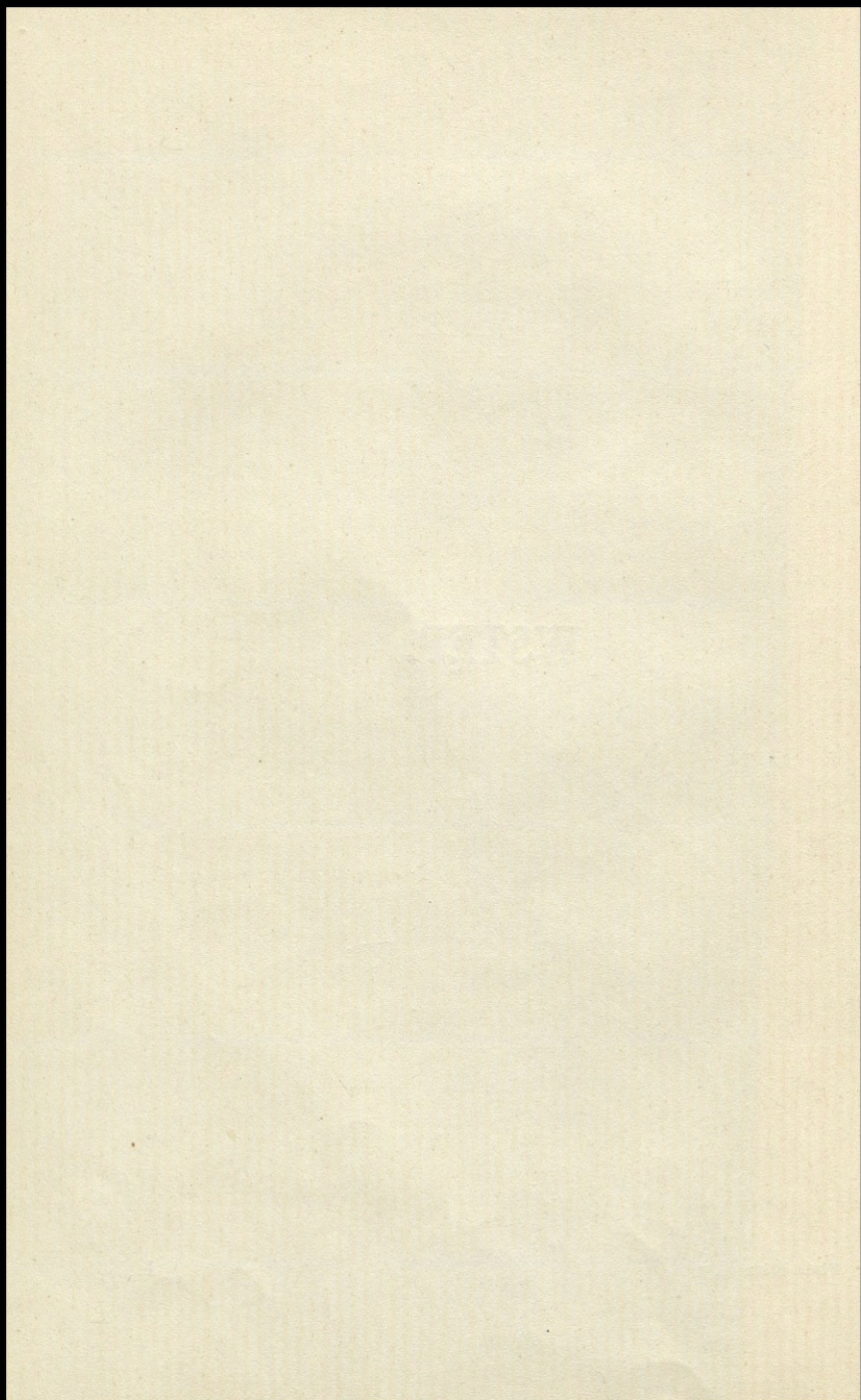
- Dawniej i wczoraj. — Groźba dyplomatyczna. Ruch na
 daleki wschód. — Odwrót z pod Mukdenu do pan-
 slawianizmu. — Pozory federacyi. — Królestwo Boże
 na ziemi. — Nieco o Grecji. — Słowiańskie rodzeń-
 stwo. — Credo sławisty. — Falszywe tony. — Wspa-
 niałomyślność wielkorosyjska i polska naiwność. —
 Pangermanizm i panslawizm 217

Point de Réveries. — Siła przed prawem.

- Dwie odprawy. — Kauzyperdstwo polityczne. — Błędne
 koło. — O polityce i dyplomacyi. — Przykład ostatniego
 turnieju. — Nasz spadek. — Precz z orłem. — Siła
 a prawo. — Polska racja fizyka. — Czemu stać się
 winniśmy, a czemu jesteśmy. — Bismark i Stirner. 233

- Finis Poloniae** 249

WSTĘP.



.... aż spotkałem człeka przyjaznego, któremu na imię było Rumun. I otwarłem przed nim serce i wyciągnąłem ku niemu ręce i okazałem ślady łańcuchów niewoli i rozerwałem łachmany wygnancze i okazałem rany i roztoczyłem przed nim obraz wczorajszej potęgi ziemi mej ojczystej i powiadałem o jej dzisiejszej niemocy i uciemieniu. A słowa moje brzmiały i skargą i bólem i żałością i goryczą.

Rumun słuchał mnie i współczuł, aż gdym mu rzekł, iż dwadzieścia milionów piersi żywych jęczy na hańbę ludzkości w okowach najezdzców, — człek ten przyjazny zdumiał się i zapytał, żali nie błądzę, żali nie potroilem w uniesieniu liczby mych współbraci.

Poruszony zwątpieniem Rumuna, zakląłem się na świadectwo prawdzie.

Rumun zachmurzył się, wyraz współczucia znikł z jego oblicza.

— I jest was dwadzieścia milionów?

— Tak, dwadzieścia milionów jednego ludu, jednego zawołania, jednej krwi, jednej tęsknicy! — odpowiedziałem hardo.

— I wy — wy... nie macie...

— Oto już sto lat mija, jak targamy...

— I jest was dwadzieścia milionów! I nie jesteście wolni!!...

— Tak, i oto dowód...

— Żeście niegodni! — rzekł zimno Rumun i odszedł.

I krew nabiegła mi do oczu i chciałem rzucić się za potwarcą i chciałem wtłoczyć mu w gardło nikczemne wyrazy, lecz ochłonąłem, ileż wspomniałem na podłe pochodzenie Rumuna. Bo czyż godziło się mnie, synowi narodu tak dumnego, tak wielkiego, zważać na słowa jakiegoś wołocha-mieszkańca, półcygana-włóczęgi? Bo czyż nie uchybiłbym imieniowi memu, gdybym ja, sarmata z sarmatów, od tysiąca lat złotymi głoskami na kartach dziejów ryty, uniósł się gniewem na parwenjusza historii, dorobkiewicza niepodległości, a niedawno jeszcze nietylko bisurmańskiego poddańca, ale i dziadów moich mizernego sługe!?!...

I uśmiechem pogardy zbyłem obelgę i ruszyłem w świat dalej..

A przecież niegodziwe słowa Rumuna brzmiały mi w uszach wciąż ponurem, nieskończonem echem, a przecież, niby złowrogie widmo, jawiło mi się oblicze onego człeka. I broniłem się nienawistnym przywidzeniom i krzepiłem ducha mego sarmackiego krynicami ożywczych pieśni o ziemi mej i kołem go wawrzynami praocjów i hołubiłem proctwami wieszczów i kunsztownymi wywodami statystów — daremnie. Słowa „żeście niegodni“ wpijały mi się w mózg i darły go.

I zdało mi się, że cygan-mieszaniec czary na mnie rzucił, a złem mnie opętał.

I poszedłem do starca-rodaka i wyznałem się. Starzec głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest i moim bólem — alem oto już ku mogile się pochylił, a nie śmie doń się przyznać... nie waź się i ty.

I poszedłem do męża-rodaka w pełni sił i wyznałem się. Mąż głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest i moim bólem — lecz ot niemocen jestem doń się przyznać... milcz i ty.

I poszedłem do młodzieńca-rodaka i wyznałem się. Młodzieniec głowę skłonił i rzekł:

— Twój ból jest mi przeczuciem, jest tem, co się we mnie poczyna... ale przyznam się doń wówczas dopiero, gdy wyrosnę na męża. Czekaj i ty, podczas daj, niech się łudzę jeszcze.

I nie ważyłem się, i milczałem, i czekałem; aż oto prysły ostatnie więzy woli, aż oto ból zerwał pęta i spływa i skargą, i żalem, i goryczą i nadzieją.

A imię bólu tego nie jest ani program, ani partya, ani religja, ani kasta, ani morał, ani polityka, ani literatura, ani ambicya, ani przesąd, ani podburzanie, ani gniew, ani nienawiść, ani zapalczywość, ani twórczość...

Ból ten wraca do ziemi, z której się począł. Ból ten nie jest cierpieniem jednego za miljony, lecz cierpieniem miljonów.

„Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo

„W sercu, — gdzie nie trwa myśl ani godziny:

„Mówię — bom smutny — i sam pelen winy!“

1890

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

NA SAMOBÓJCZEJ MOGILE.

O narodzie, który nigdy nie powstał. — Finis Poloniae. — Falsze o Thermophylach. — Poczworna wierność Polaków do ostatka. Pokolenia Kainów i Piłatów. — Napoleonidzi. — O rewolucyi i zajęczych sercach. — Sto tysięcy złożyło broń — czemuż nie legli? — Rok 63. — Dwa różne dorobki. — O wielopolszczyźnie. — Ambicje bezdusznych. — Legiony milionów śpią.

Sto dziesięć lat mija, gdy rozegrał się ostatni akt ponurej tragedii upadku Rzeczypospolitej Polskiej i wykreślenia jej z szeregu państw europejskich.

Sto dziesięć lat mija, gdy, po maciejowickim rozgromie, po ostatnim błysku świetlanym w dniu majowej Konstytucyi, padło w gruzy dziedzictwo piastowe, padło cicho, bez łomotu, bez jęku...

Tak — bez jęku! Bo napróżno dziejopisowie nasi imionami prawych synów chcą ocalić rdzeń narodu od potępienia, napróżno szlachetne porywy garści usiłują podnieść do znaczenia rozpaczliwej walki całego ludu, daremnie usprawiedliwiają obojętność przewagą liczebną zaborców, daremnie rozpowiadają o podejściach dyplomacyi i zdradach, — tragedia upadku Rzeczypospolitej leżała i leżeć będzie zawsze w samolubstwie i apatyi jej obywateli.

Ani niefortunna wojna 1792 roku, ani rok 1793 z warszawską rewolucją, wypędzaniem Rosyan i wieszaniem zdrajców, ani wojna Kościuszkowska 1794 r., ani dramatyzowanie bitwy maciejowickiej nic a nic bezecności współczesnych Polaków nie umniejsza.

A ten liczny stosunkowo poczet imion prawych synów Polski, które nam ostatnie lata panowania Sta-

niśława Augusta przekazują, raczej potępieniem jest nowoczesnego narodu polskiego niż chlubą. Bo im więcej wykryjemy cnót, dzielności i wielkości w Rejtanach, Kilińskich, Puławskich, Głowackich, Kościuszkach czy Madalińskich, tem więcej hańby i potępienia dla tych, których nawet te cnoty, ta dzielność i wielkość bohaterów nie zdolną była dźwignąć, wyrwać sobkostwu, zwadzie i niedołęztwu.

Co ostatecznie podkopało byt polityczny narodu polskiego, o ile tu przyczynili się magnaci, pankowie, szlachta, czy królowie, ustrój Rzeczypospolitej wogóle, czy knowania ościennych mocarstw — to może być przedmiotem (i było już wielokrotnie) bardzo głębokich rozpraw. Rozprawy te wolno, w miarę lotności i fantazyi, wywodzić tak dobrze z bezdzietności ostatniego z Jagiellonów, jak i z przedwczesnej śmierci Batorego, tak dobrze z odrzucenia przez Władysława IV korony moskiewskiej, jak i z Sasów, tak dobrze z „familii“, jak i ze Stanisława Poniatowskiego wprost. Rozprawy takie mogą nie mieć końca tak samo, jak nie ma początku łańcuch następujących po sobie wypadków dziejowych. Rozprawy takie mogą pouczyć, mogą być drogowskazem i przykładem, mogą być życiorysem pięknym i gorącym dla Rzeczypospolitej — lecz dla współczesnych pogrobowców mają znaczenie wtóre, ileże ich życie, ich bytowanie zaczyna się dopiero tam, gdzie wznosi się mogiła politycznej samodzielności Chrobrowego Królestwa, gdzie zaczyna się szumnie nazywana „walka o niepodległość“.

U nas podotąd panuje wręcz odmienne prze-

konanie, a może upodobanie. Przy hańbiąco małej znajomości historii ojczystej, na co w poszczególnych zaborach różne składają się i składały przyczyny aż do naszego własnego lenistwa włącznie, zawsze i uporczywie zwracamy oczy ku czasom hołdów pruskich, wypraw do Moskwy, tureckich potrzeb, Wierzyneków, Zawiszów, Czarneckich i Sobieskich. Z całą świadomością upijamy się literaturą piękną, apoteozującą rycerskość praojców, upijamy się tak zajadle, że, miast wzmacniać ducha, słabniemy, że, zapatrzeni w dal wieków, tracimy z oczu rzeczywistość. A dalej, w następstwie tego oszołomienia, dochodzimy do takiego stanu podniecenia, że nie jesteśmy zdolni czytać „Sejmu czteroletniego“ Kalinki, że „Pamiętniki“ Kitowicza przyprowadzają nas o wstręt, że lada zimniejsze dzieło, sięgające do czasów rozbiorowych lub porozbiorowych, przejmuje nas odrazą, że te tylko wielbimy, które, bodaj kosztem prawdy, żywią naszą pychę.

I stąd, nasyciwszy się świtami racławickich zuchów i męzką postacią Naczelnika, odrazu radziśmy przejść do legionów Somo-Sierry i Raszyna, ledwie tyle czasu znajdując, aby z całych sił zadać kłam pomawianiu Kościuszki o okrzyk maciejowicki „Finis Poloniae“...

Na wypełnienie zaś lat, dzielących Maciejowice od legionów i jakiegoś Raszyna, mamy w przecięciu piękny, a z grozą przejmujący, obraz ukrzyżowania Polski...

Tymczasem Polska, w trzech czwartych częściach swego ludu, conajmniej nie troszczyła się o swój los,... i tak dalece, że, choć Kościuszko nie

wołał, że jest „Finis Poloniae“, — ten finis Polonii był faktem dokonany przez bierność zajechnego narodu.

Bo naród w r. 1794 nie powstał, zerwała się gromada za ledwie, jeżeli wziąć ogół ludności Rzeczypospolitej, i gromada po większej części z góry wąpiąca, niekarna i niefortunnie dowodzona. W tej gromadzie nie brakło zacnych, którzy z ochotą szli na śmierć, którzy bez wahania oddawali życie dla ojczyzny, ale cóż, oddać życie, to czasem mniej niż kropla w oceanie.

I ta gromada bądź wyginęła, bądź rozpierzchła się... bądź poszła na służbę do zaborców — tak.

Maciejowice nie były Thermophylami, w Częstochowie w r. 1794 zabrakło Kordeckiego, a choćby i Puławskiego, obrona Warszawy nie miała nic wspólnego z obroną Zbaraża, a rzeź Pragi była w całym znaczeniu tego słowa pastwieniem się nad bezbronnymi. Lwów, Wilno, Kraków, Lublin, Grodno, Kalisz, Kielce, Płock ani próbowały opierać się nadto przemocy...

Naród polski spał — a tak spał mocno, iż przecież jeszcze w roku 1812, w zapadłym kącie Litwy, rozbitkowie polscy natrafili na zaścianek szlachecki, w którym ani słyszano nic, aby Stanisław August miał już nie panować!

Nowe rządy państw zaborczych zaczęły się szybko i przy wielkiej lojalności nowo-poddanych. Warszawa była stolicą Prus Nowo-wschodnich i niemczyła się z równym impetem jak i Galicya. Polskość kwitła najwięcej, a prawie jedynie, w granicach zaboru rosyjskiego i to nie dzięki żadnej

szczególnej łaskawości Pawła I lub Aleksandra I, lecz siłą kultury silniejszej i płytkiej dzikości najezdźcy. Ale i ten rozkwit polskości, silny ponoć w kierunku naukowym, jako prąd polityczny był znów i tylko godzeniem się na szukanie Polski w „Peterburku“.

Naród polski spał i ledwie mały jego ułomek reagował na zgon polityczny Rzeczypospolitej. Ułomek ten miał dwie zwykłe odmiany — więc garść patriotów czystej wody, no i garść możnowładzców. Pierwsi rozpierzchli się po świecie szukać ratunku — drudzy rozpierzchli się po dworach szukać dla siebie wpływów. Pierwsi wrzeli pragnieniem wywołania powstania, znalezienia odsieczy, drugim szło tylko o nowe kości do ogryzania... (Dość tu zapamiętać, iż na 120 rodów hrabskich żyjących — 65 tytuły swe zdobyło w czasie od r. 1794 do 1806). Pierwsi doprowadzili do legjonów, do zwarcia się z Napoleonem, drudzy do ugruntowania zasady trójlojalizmu, a po nadciągnięciu Bonapartego, nieomal czwórlojalizmu.

Naród spał, spał nawet i wówczas, gdy zabiegi Dąbrowskiego i Wybickiego ziściły formację legjonów, gdy ziemia italska zabrzmiała pierwszymi zwycięstwami Kniaziewicza. Legjonistów poczytywano za warchołów, kompromitujących zabiegi Księcia Antoniego Radziwiła w Berlinie, Czartoryskiego w Petersburgu, a Jabłonowskich w Wiedniu. Legjoniści nietylko nigdzie na ziemi polskiej nie zdołali znaleźć żywszego poparcia i pomocy, lecz najczęściej spotykali się z naganą i potępieniem.

Tak trwało do roku 1806, to jest, do wkroczenia Napoleona do Polski, a dalej, do utworzenia Księstwa Warszawskiego.

Napoleon, według utartej formuły miał w tym razie zawieść Polaków, miał nieomal zdradzić ich sprawę!... Podczas, faktem jest niezbitym, iż zawód nadewszystko spotkał Napoleona, Polacy bowiem bynajmniej nie spieszyli się do szeregów, bynajmniej nie kwapili się ani z ofiarami, ani ze zbrojnym powstaniem. A jeżeli nawet drobny stosunkowo wykrawek Rzeczypospolitej objawił silniejszy ruch, to za to całe województwa, nietylko nie wierzyły Napoleonowi, ale aż zadość dzielnie walczyły pod sztandarami Rosyi, Prus i Austrii.

To niedołęstwo i strupieszalność zwało się w owych czasach „zmysłem politycznym“!... Polacy ówcześni najpierw żądali od Napoleona przyrzeczenia, zobowiązania, a dopiero obiecywali ruszenie się powszechne!... Polacy owocześni ani myśleli o tem, że nawet Bonaparte nie mocen jest odbudowywać państwa, które samo nie upomina się o swe prawa, które czynami nie dowodzi swej odrębności, które nie jest samo przez się siłą.

Napoleon nie ukrywał zresztą swych poglądów o Polakach, wierzył legjonom, cenił wysoce tych, którzy za jego szli orłami, ale i nie wahał się rzucić pamiętnych słów — „pokażcie, żeście godni być narodem!“

Napoleon zawiódł się, zawiódł się bardzo, bo z legjonistów miarę brał, bo ich gorącym słowom i zakłębciom uwierzył.

Naród polski spał. Księstwo Warszawskie, miast

rozstrzygnąć stanowczo wahanie się Polaków, jeszcze je spotęgowało. Napróżnoby tu koić tę smutną prawdę dziejami Księstwa Warszawskiego lub apoteozowaniem wierności Polaków Napoleonowi! Napróżno temu ostatniemu przypisywać błędy w stosunku do Polaków, lub wręcz pomawiać go o wyniszczenie i wyssanie, co najdzielniejszych, sił narodu polskiego!

Naród polski w tej samej mierze walczył za Napoleona jak i przeciw niemu, naród polski zarówno w osobach swych luminarów, jak i w mrowiu ciemnego ludu dzielił się na dwa obozy.

Polacy raz po raz miażdżyli się na polach bitew i to nie tylko jako jednostki, wciśnięte przemocą w szeregi obce, lecz i jako zwarte gromady. Toć na polu wagramskim ułani polscy szarżowali na ułanów polskich i nie dość że się mordowali, ale i lżyli i zdrajcami wzajem nazywali!...

Toć w r. 1806 możny pan z Wielkopolski, dobry zkażynąd obywatel (imienia jego przez wzgląd na prawnuków lepiej nie pamiętać), obatożył syna za to, że ten, miast do pruskich huzarów iść, do napoleońskich szwoleżerów się napierał.

Toć, w r. 1812, Wilno aż dygotało od przysiąg, składanych cesarzowi Aleksandrowi I, gotującemu się do walki z zalewem napoleońskim. Toć, jeżeli korpus piąty Poniatowskiego zadał nieraz nielada cios armii rosyjskiej, to Czaplic, Polak, umiał te ciosy pomścić na Napoleonie. Toć, jeżeli kmiecie, mieszczanie, żydzi i drobna szlachta litewska, żmujdzka i białorusińska ucierpiała mocno podczas przemarszu wielkiej armii, to, wzajem, rozbitkowie wiel-



kiej armii, w odwrocie z pod Moskwy, byli przez tych samych kmieciów, mieszczan, żydów i drobną szlachtę łupieni, ograbiani i tępieni.

Napoleonowi Polacy nie ufali, a podobno najwięcej nie ufali samym sobie...

Kościuszek umywał ręce i ani słuchać chciał o powrocie do kraju, Czartoryszczyzna zawsze miała w odwodzie księcia Adama u boku Aleksandra I., Radziwiłł zawsze kupił klientów polskich na dworze królewskiego swego szwagra, a książę generał ziem podolskich pasyami lubił swój mundur austriackiego feldmarszałka.

Te rzeczy w pełni oddać, znaczyłoby księgę całą napisać — niech starczy powyższe krótkie wskazanie na kilka przykładów.

Napoleon umarł — Polacy „wierni do ostatka“ (zarówno Francyi, Rosyi, Prusom jak i Austryi) zaczęli mierzyć dopiero ogrom poniesionej klęski. Napoleon nawet wśród „wiernych mu do ostatka“ bladł. Świadomość zaślepienia polskiego, świadomość wykorzystania Polaków dla swoich celów, świadomość należnej od Francyi wdzięczności wypłynęła na widownię wyobrażeń politycznych polskich i kuła jeden więcej hezsensowy frazes, na uciechę ciasnej pretensyomanii.

Napoleon nie miał żadnych szczerych intencji dla Polaków — nie miał i mieć ich nie mógł i nie powinien. Uważał ich za żer dla armat i koniec. A przecież Polacy zawdzięczają Napoleonowi wiele i tak wiele, iż nawet ofiara stutysięcy poległych pod standarami Bonapartego ledwie zaważyć może na szali.

Rzeczpospolita padła bez jęku, padła tak, iż zdumiała wrogów, iż nawet nie obudziła współczucia wśród obojętnych widzów, iż zagroziła swym synom piętnem hańby, iż współczesnym dziejopisom nie przywodziła innych wyrazów nad zdradę, kłótnie, pychę, gwałty, bezprawia, pijaństwo, pieśniactwo i samolubstwo.

Rzeczpospolita padła tak, że nawet dla całej gromady sprawiedliwych niezczędzono jej słów potępienia...

Mogła Rzeczypospolitej wznosiła się gdzieś na wydmie samobójców, mogła Rzeczypospolitej nawet nie miała praw do cmentarzyska wielkich państw, nawet do nagrobka. Mogile Rzeczypospolitej groziło zapomnienie.

Aż oto, za sprawą garści wygnańców, garści widm z rozpaczliwym maciejowickim *vet o wolnych* niegdy obywateli na ustach, narodziły się legjony, napoleończycy.

Oni dopiero, za gwiazdą Bonapartego idąc bez upamiętania, stworzyli gruzom Troi Hektorów, oni dopiero miazgą krwawą swych ciał, wdrożyli ludom poszanowanie dla Polski, oni, podejmując okrzyki o wyzwoleniu ludów, przypomnieli i tych, co pod Waszyngtonem umierali za wolność, oni dali z siebie pokolenie bohaterów, oni gniazda Piłatów ojczyzny zdołali tu i ówdzie przeistaczać w gniazda orle, oni mogiłę Rzeczypospolitej oczyścili z chwastów, oni złożyli świadectwo, iż na ziemi sarmackiej nie wszystko zbutwiało, zgniło, zczezło.

Sprawili to napoleończycy, sprawili przez Napoleona, przez zwanie się z nim.

Bo i jakżeż straszną byłaby nasza historia porobiorowa, gdybyśmy nie mieli tych tysięcy zapaleńców, obłąkańców, męczenników napoleońskich! Jakżeż mizernem byłoby nasze imię, gdyby odebrać mu echa Alp i Pirenejów, Rzymu i Saragossy, Palermo i San Dominga, Paryża i Moskwy, Wagramu i Lipska, Madrytu i Raszyna!

Wszak pod hasłem Napoleona zaczęło się nasze pierwsze, szczerze demokratyzowanie, wszak z Napoleonem razem osobista zasługa dźwiga się dopiero ponad przywilej kasty, a szlachectwo własnych czynów wypiera tych, których stać tylko na summitowanie się czynami swoich dziadów.

Lecz, pominiawszy wtóre korzyści, osiągnięte z tego „opętania“ napoleońskiego, należy zapamiętać, iż największą i najpotężniejszą była korzyść moralna i tak drogocenną była ta korzyść, iż imię Napoleona winno być rytem złotemi głoskami we wszystkich żywych sercach ludu polskiego. A korzyść ta moralna nie tylko dlatego była drogocenną, iż dogodziła ambicyi, iż okazała światu pewną znaczną summę rycerskości ducha, ale i dlatego, iż niedowierzającemu samemu sobie narodowi, narodowi, który zaczynał wierzyć, iż, tylko przez zlanie się z jednym lub dwoma zaborczemi mocarstwami, może dojść do siakiego takiego znośnego bytu, iż temu narodowi objawiła powrót do niepodległości, wskazała mu jasno cel i wytknęła drogę. Ale ten naród spał, spał dalej. Ten naród ani myślał brać wzoru z zajadłej walki Hiszpanów, ten naród, razem z wolną połacią swej ziemi, był sobie magazynem wojskowym, etapem przemarszowym.

Napoleon poniósł klęskę w r. 1812 — a no, tedy Warszawa się zmartwiła i, jako wierna sojuszniczka, wyprawiła swych wojaków do Krakowa i, dalej, do Zittau i pod Lipsk, no, a podczas sama przyglądała się nadciągającym w pościgu wojskom rosyjskim.

Ach, bo wprawdzie próchno puławskie, w osobie księcia generała ziem podolskich, zdjęło mundur austriackiego feldmarszałka i przyjęło na się przewodnictwo konfederacyi — ale akt konfederacyi pozostał tylko wspomnieniem jednej więcej pustej fety.

Naród razem z luminarzami swymi ani myślał korzystać ze sposobności i zbroić się tak, jak był powinien i mógł. Klęska Napoleona poruszyła go, ale przecież nie tak, by się porwał na nogi, by ościenią zdolen był się stać, by dowiódł, iż jest mocen być przedmurzem Europy.

Naród ten wysłał wszak w odmęt bitewny tysiące dzielnych i myślał w nich mieć zbawicieli, którzy powinni byli okupić wolność miljonom! Zresztą, naród polski miał po większej części albo słabe poczucie swej jaźni albo jadem przewrotności przygłuszone.

A napoleończycy?! Napoleończycy byli tylko nielicznymi kłosami na zachwaszczonej roli. Ich zapał, ich poświęcenie, ich hart nie zdołał wznieść pożaru w zatęchłym i pleśnią okrytem rumowisku. Napoleończycy nie zdołali „złączyć się z narodem“, bo naród od sojuszu stronił.

Stąd daremnie czasy napoleońskie są wskazywane na czele, tak zwanej, stuletniej walki „narodu

polskiego“, — bo naród polski nie walczył, lecz tylko jego mała część. Naród polski wśród burzy europejskiej odegrał równie bierną rolę, targanego zawieruchą, ludu, jak i pierwsze z brzegu księstwo niemieckie. Naród polski nie powstał.

Chwała legjonom napoleońskim i nieśmiertelność — ale z tej chwały i nieśmiertelności nic, krom potępienia, dla milionów.

Żadne najuczestsze wywody, zdolne wyprowadzić rodowód tej apaty i bierności Polaków, nie zaprzeczają faktu, że naród polski spał.

Żadne najkunsztowniejsze racje, wyświetlające, dlaczego w kmieciu, mieszczaństwie, żydztwie, magnacie, lub szlachcicu brakło tego lub innego poczucia obywatelskiego — nie zaprzeczają faktu, że naród polski nie powstał.

Naród polski nie powstał w czasach napoleońskich i nie powstał w r. 1830, bo znów, w drobnym swym odłamie, zdobył się ledwie na rewolucję.

Wojna roku 1830—31 słusznie ochrzczonej zosiła mianem rewolucji, boć w całym przebiegu swoim nie zdołała wznieść się do stopnia powstania.

Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, czy i o ile wybuch listopadowy był nierozważną, czy dzielnym odruchem uciszonych, nie tu miejsce roztrząsać błędy taktyczne dowódców ani wykazywać niedostatki poszczególnych kierowników, czy sięgać do plątaniny dyplomatycznej współczesnych czasów. Ku temu nie brak szeroko pojętych dzieł, aby się dziejami rewolucji roku

trzydziestego nasycić. Kto był istotnym bohaterem, a kto podszywanym, kto niedołęgą, a kto zdrajcą, o tem historia orzekła, a jeżeli ten i ów wątpi o kimś lub o czemś, ten słuchać nie chce.

Lecz czyż z tych błędów, niefortunnych planów, braku talentów wodzom można orzec, iż naród polski nie powstał? Bezwarunkowo tak, nie tylko można, ale i trzeba.

Ani Królestwo kongresowe, ani Litwa, ani Po-dole, ani Wołyń, ani Żmujdź, (Galicja i Księstwo Poznańskie, z natury swej przynależności innej, braniem tu bezpośrednio pod uwagę być nie powinno) bynajmniej nie pałała ową żądzą zdobycia się z niewoli, bynajmniej nie wierzyła i od samego początku w sprawę, wcale nie przesadzała ofiarnością, ani myślała o odrodzeniu, a raczej, w najoptymistyczniejszym przekonaniu, spodziewała się interwencji Europy, a nawet pogodzenia się i z Mikołajem i z Wielkim księciem Konstantym. Ten nastroj nareszcie był tylko odbiciem tych samych poglądów, które niezręcznie kryli prowodyrowie, a to począwszy od Chłopickiego, a skończywszy na Adamie Czartoryskim.

Młódź wywołała rewolucję i wywołała z taką brawurą, iż w pierwszych dniach listopadowych zdawało się, że i naród się ocknie.

Lecz cóż, impet młodzi osadziła w miejscu rachuba i nibyto rozum polityczny mężów, którym się zdało, że na nich przyszedł czas posłannictwa. Rewolucję zaczęli kontynuować statyści tak, że, miast podsycić ogień, zgasili go, zagrzebali w kłót-

niach i sporach, a gdy sprawa chyliła się do upadku, umywali ręce.

Ten przykład, z góry idący, udzielił się narodowi, zdemoralizował nawet wojsko i to wojsko podobno zaprawione do karności, mające w szeregach swych i dobrych patryotów i znakomitych żołnierzy i wytrawnych oficerów.

Rewolucya! Rok trzydziesty pierwszy!... Tak, bitwa grochowska, słynna Olszynka, odwrót Rosyan, bitwy pod Wronowem i Lubartowem i tuż za nią Ostrołęka a dalej pogrom. Czy wycięcie w pień Polaków, czy jakaś batalja genialna?! Nie, pogrom, bo kłótnie, swary, niedołęstwo, lenistwo i pycha i zajęcze serca u steru.

Komu wola z otchłani roku trzydziestego pierwszego ratować czystych i prawych, niechże czyni — ale i niech pamięta, że sto tysięcy ludzi złożyło broń, że całe korpusy polskie wyszły z granic Królestwa kongresowego i poddały się bądź Austryi, bądź Prusom, niech pamięta, że żołnierz Polski nie zawsze miał na swem czele Sowińskich i Kickich, że nawet brakło mu tyle siły, aby porachunek wziąć z tych, którzy go zdrowego i całego i zbrojnego do złożenia broni przywiedli.

Raz jeszcze i najmocniej zapamiętać trzeba, że za granice zaboru rosyjskiego wyszło kilkadziesiąt tysięcy zdrowego, zbrojnego, ani głodnego, ani wyczerpanego żołnierza, złożyło broń i zaczęło obnosić po świecie swój ból emigracyjny. A jeżeli przy uprzytomnieniu sobie tej prawdy wyrwie się komu okrzyk: „czemuż nie legli, czemuż raczej nie dali się wyrznąć w pień!“ — ten niech zważy, iż żoł-

nierz rewolucyi wyszedł z narodu, który spał, który o powstaniu szczerze nie myślał, którego serce nie uderzyło pełnią żądzy wyzwolenia. Żołnierz rewolucyi nie był, jak to bywa, lawą bijącą z głębi wrzącego wulkanu, a ciągle odżywianą ognistym strumieniem, lecz żołnierz rewolucyi był sobie samemu skrą i popieliskiem. Żołnierz rewolucyi był jeno tym czuwającym a gotowym do boju rycerzem, złudzonym, wśród snu, dźwiękiem urojonej pobudki, rycerzem, który zerwał się, za miecz porwał, aż wytrzeźwiony głuszą grobową nocy, znów do snu się układł.

Naród polski w roku trzydziestym spał. Żołnierz rzucił karabin i został dziadem.

Piękny, oślepiająco jasny i gwiazdzisty błysk listopadowej rewolucyi, był tylko fajerwerkiem, był tą błyskawicą, która, gasnąc, noc czyni mroczniejszą, ciemniejszą.

Szczęśliwy ten, kogo stać na rozentuzjasmowanie się kilkunastu czy kilkudziesięciu epizodami lub postaciami, kto dla Grochowa, Olszynki, Sowińskiego, Platerówny, zdobycia arsenału zapomni narodowi bierności, zwali cały ciężar niepowodzeń na taktykę, brak wodzów, błędy Chłopickich, powolność Radziwiłłów, słabostki Skrzyneckich czy poprostu niegodziwość Krukowieckich!

Tak, zawołanie harde „umrzem lub zwyciężym“, wróciło do pieśni. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wywędrowało na emigrację — zabór rosyjski zaś jęknął pod gniotem silniej zaciskanych łańcuchów.

I rzecz dziwna i osobliwa, rewolucya roku trzydziestego, w przeciwieństwie do powstania roku

1863, wśród współczesnych, zjednała sobie nie tylko większą zasługę, ale i stała się tem, co zwolennicy Wielopolskiego, radzi przedkładać niby dowód, iż rewolucya miała wojsko gotowe, środki a zatem i widoki realne — powstanie zaś było ruchawką zapaleńców, którzy niczego więcej, krom niedoli, ziemi ojczystej nie przysporzyli i przysporzyć nie mogli.

I rzecz dziwna, mówiąc o rewolucyi, wspominając ostatnie dni polskiego wojska, idziemy tak daleko, że nam taki Adam Czartoryski, ex-minister rosyjski, pan, krojący na władcę, urasta na męczennika sprawy, że Chłopickiego widzimy tylko w cylindrze i szaraczkowym surducie pod gradem kul Olszynki, że przebaczymy dziadom wszystkie winy — i przeciwnie, zbliżając się do powstania roku 1863, w najlepszym wypadku, gotowiśmy mówić o nierozwadze i nierozsądku.

I rzecz dziwna, rewolucya wydaje nam się najpowszedniej czemś legalnem, czemś, co powinno się było stać, w odróżnieniu od powstania, któremu lepiej byłoby się nigdy nie narodzić.

Tymczasem, rzecz dla spokojnego sądu, przedstawia się inaczej.

Rewolucya roku 1830 była najpierw rewolucją wojskową, a dalej usiłowała stać się powstaniem narodu. Jako główne chmury, które poprzedziły burzę, dziejopisowie zawsze przytaczają chryje dyscyplinarno-wojskowe a dopiero dalej zatargi o konstytucyę. Słowa „naród“, „lud“ zjawiają się wówczas na ustach wodzów, generałów i naczelników rządu, gdy już nie czas na uświadamianie, na wzywanie ochotnika, lecz pora ruszać w pole. Duch

pojednania się z Mikołajem, bodaj tylko pod pozorami jakiegoś ustępstwa, tkwił już, gdy w pierwszych dniach powstania pozwolono oddalić się księciu Konstantemu razem z gwardją.

Dorobek moralny z rewolucyi był ujemnym bezwzględnie, podkopał wiarę we własne siły i to we własną armię, podniósł urok potęgi rosyjskiej, przygnębił zacne serca ogromem niedołęstwa tych, co do władzy się darli, uprawnił tchórzliwych do upominania, że nawet i z wojskiem nie poradzi; nieprzyjaciołom dodał odwagi i stanowczości, a ponieważ sprowadził rzecz do miana rewolucyi i wojny i nie wykazał nieomal zupełnie owych rozpraw na śmierć z całą ludnością, przeto i sympatye europejskie nie zdobyły się nawet na przypomnienie postanowień kongresu wiedeńskiego.

Powstanie roku 1863 miało zgoła inny charakter, miało nieskończenie gorsze warunki i widoków powodzenia wcale. Lecz powstanie szło z narodu, powstanie miało na swem czele, może nie znakomitych wodzów ale i nie takich, którzy w rewolucyi znaleźli się dlatego, że ich przedtem spotkała niełaska Konstantego. Powstanie było krwawym protestem, odruchem konwulsyjnym może, ale szczerym, serdecznym, młodzieńczym. Powstanie było porywem tem piękniejszym, bo beznadziejnym.

Powstanie po raz pierwszy zdołało przeniknąć kraj myślą, że trzeba iść a nie wyglądać tego dobra, które rzemieślnicy polityczni przysporzą. Powstanie bólem przejęło ziemię polską, ale i wszczepiło w nią prawdę, że wszystko to, co nie zdołało zwiędnąć w sobkostwie i oportunizmie, że wszystko

to, co wre życiem, co jest w narodzie jutrem, musi pożądać słońca, nie dać się ugiąć do lokajstwa, że żaden naród nie może istnieć bez haseł prawych, bez wytkniętych dróg prostych.

Fakty, iż powstanie roku 1863 było porywaniem się muchy na słonia, iż nie posiadało zadość ani broni, ani pieniędzy, ani żołnierzy, ani oficerów, iż było marzycielstwem, spotęgowały jeno jego wpływ moralny, bo ogromem niedoli targnęły narodem.

Prawda, naród i tym razem nie powstał, walka spoczęła znów na barkach garstki zapaleńców, lecz naród spojrział w siebie.

I wpływ moralny powstania, mimo wszelkie przeciwsady, był wielkim i nie dlatego, aby, według utartego komunału, hekatombę męczenników były warunkiem odkupienia, lecz że przyspieszył ewolucję, skrócił znakomicie proces urabiania się duszy polskiej, przeorał krwią zapuszczoną niwę patriotyzmu.

Te prawdy pozornie tylko bywają zaćmiewane wystawianiem złotych czasów, które byłyby rozkwitły, gdyby nie powstanie. Rząd rosyjski tyle krzywd i ciosów niezasłużonych umiał zadawać i zadawał swoim własnym, rdzennie rosyjskim, obywatelom, tyle razy tumanił i oszukiwał nie tylko Polaków, ale i swoich obywateli, iż nagłemu podmuchowi zefiru przyjaźni ufać nie było można.

Wielopolski! Wielopolski wierzył niezawodnie w cesarza, pragnął niezawodnie dobra, ale był tym nieszczęśliwym chirurgiem, który rozwija bandażę, rozkłada kojące leki, lecz ma rękę tak ciężką, iż

ledwie tknie lancetem rany, już ją pogłębi, zakrwawi. Wielopolski był pyszałkiem i bufonem — starczy jednego z tych przymiotów, aby rozwiązać zagadkę, dlaczego tak mało zjednał sobie zwolenników. Wielopolski chciał tym samym batem rosyjskim polszczyć i reformować kraj, którym Paszkiewiczze go rusyfikowali. Naród zaś nadewszystko sromął się bata.

Sprawa Wielopolskiego, to już czterdziestoletni potok żółci, płynący między jego zwolennikami i przeciwnikami. Drugie pokolenie popowstaniowców dorasta, czas, aby wysechł.

Napoleonida, trzydziesty rok i sześćdziesiąty trzeci, to są główne etapy tego, co zwiemy stuletnią walką narodu. Dlaczego „narodu“? Kto tu uzurpuje czyje imię, czy naród podszywa się sam pod czyny jednej swej części, czy ta część przybiera miano narodu — odrzec trudno. Komunął się utarł i stał się prawomocnym. Całe pokolenia bezdusznych i głuchych rade są wypominać, że i one (boć naród) przez dziadów lub ojców swoich kiedyś i o coś walczyły, całe połacie ziemi polskiej, które dziesiątki lat w letargu trwały, również do chwały walczących prowincyj się przypisują, każdy, bez względu na barwy stronnictwa, szuka paranteli z niedawnymi „warchołami“, każdy rad dowodzić, iż ktoś z jego rodziny ucierpiał dla rewolucyi, powstania czy napoleonidy — jeno nie słyhać nigdzie o tych, co na niedoli ziemi ojczystej porobili fortuny.

I nie byłoby nic złego w tej niewinnej ambicyi, w tym tłumnym, choć tak spóźnionym, akcesie do imion męczenników, gdyby z komunалу tego nie

brano wskazań politycznych, gdyby z wyników tej walki stuletniej nie czerpano pesymizmu, nie wyciągano racyj, że, jeżeli naród, w tak pomyślnych warunkach, jak czasy napoleońskie lub rewolucya, przy takim desperactwie, jak rok 1863, jeno sobie samemu mocniej powróż na szyi zacisnął, to tem samem złożył dowód swej bezsilności i o samoistnym odruchu marzyć nie powinien.

I ten pogląd na niemoc naszą narodową jest zgubnym i nie przez to, iżby Polacy powinni gotować się do zbrojnego powstania, przeciw do krwawej rozprawy — nie — lecz jest zgubnym nawet na drodze ich legalnej obrony, bo ich onieśmiela, bo ich gnębi, zręcznie odwracanymi, frazesami politycznymi, bo mgłami zasnuwa obrachunek własnych sił.

Naród polski winien rzec sobie samemu tę prawdę, iż on, jako całość, jako miliony, nigdy i ani razu nie zdobył się na żaden protest przeciwko śmierci politycznej Rzeczypospolitej, iż on, wbrew wszystkim dotychczasowym twierdzeniom, zawsze był w stosunku do zaborców biernym, lojalnym i potulnym, że był zawsze na hasła gromad i gromadek swych głuchym, a, w najkrytyczniejszych chwilach napięcia wypadków, ani zimnym, ale i ani gorącym.

Naród polski, szcząc się imionami swych bohaterów, podtrzymując Znicze sławy swych nielicznych bojowników i rycerzy, winien pamiętać, że on sam, jako miliony, jest siłą niezmierną jeszcze bo ani razu nie powołaną, że legjony jego milionów śpią od wieków, śpią jeszcze.

PRECZ Z POEZYĄ.

Spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym. — O poetomanii. — Wallenrod i liczba 44. — Reduta Ordona i śmierć Sowińskiego. — Sceptyzm i galicyjski patryotyzm. — Czy Bóg powierzył księciu Józefowi honor Polaków. — O Dąbrowskim. — Lokajstwo pisarzy. — Jeszcze o bohaterze lipskim. — Jarema Wiśniowiecki — wieszatelnik. — Czapki z pawich piór. — Król na hotelu Lambert i adjutant literacki Kościuszki. — Halucynacje polskie o posłannictwie.



Wiek żelazny naszego życia politycznego zeszedł się z wiekiem złotym naszej literatury pięknej. To spotkanie musiało wycisnąć niezatarte piętno na literaturze, musiało zwrócić twórczość ku utraconej ojczyźnie, musiało twórczość przepoić bólem i rozpaczą wiernych jej synów, musiało twórczość napełnić echami hasła, którymi czujni i dzielni chcieli śpiące legjony budzić. To spotkanie musiało zaciągnąć, co gorętsze, pióra pod sztandary partyj, musiało chłonać, co tęzsze, siły pisarskie i podporządkowywać je pewnym dążeniom, planom, celom, racyom stanu, musiało zamieniać je w narzędzia ataków i środki obrony.

I to parcie było i jest szlachetnem. I to spotkanie się wieku żelaznego z wiekiem złotym rozpłomieniło talenty twórcze, dało im wieszczę loty, zakłęto na spiż ich duchową puściznę i takimi klejnotami narodowymi wystroiło polską literaturę, o jakich żaden naród roić nie może.

I ta literatura piękna była krynicą, była ukojeniem, ochłodą dla spieczonych warg, ogniskiem dla zziębniętych serc, otuchą dla wąpiących dusz, była błogosławieństwem i manną.

I ta chciwość mózgów polskich, zwrócona ku

pieśniom, hymnom, eposom i elegiom była zacną, podniosłą i zdrową dotąd, dopóki nie stała się chorobą, poetomanją, histeryą, oszołomieniem, dopóki mózgi polskie odróżniały poezję od historii, twórczość literacką od kroniki, fantazyę artysty od dokumentu, światło dnia od bengalskiego ognia inscenizatora, dopóki mózgi polskie nie zaczęły w utworach poetyckich szukać prorocत्व, programów politycznych, wizerunków przeszłości, dowodów prawdy, dopóki, nie zasmakowawszy w wytwornej a kunsztownej strawie, nie pogardziły powszednim chlebem trzeźwego sądu.

I stało się, że to, co winno być pokrzepieniem, zamieniło się w mocny a odurzający napój.

Poezja wszystkimi porami wcisnęła się do naszej jaźni narodowej, wyrobiła w nas przywidzenia, oplątała wizjami, zaćmiła w nas jasność wzroku, przytłumiła czujność, rozekłała, pouczyła mieć pretensję nie tylko do całego świata, ale i do Boga.

Nie dość tego, poezja, jako dar twórczy, jako moc tworzenia pojęć, obrazów duszy ludzkiej, wydarzeń itd. nie ma ani obowiązku, ani potrzeby zdawać porachunku ze swego tworzywa, idzie za natchnieniem, za porywem, za pięknem, sieje błękitami, stroi się w chmury, zawodzi czy piorunami ciska, w tem jej, nieograniczona wola i władza. Wolno było Szyllerowi mieć Maryę Stuart za męczennicę, wolno było Słowackiemu mieć ją za zbrodniarkę no, i wolno każdemu z nowożytnych poetów urobić z niej nową postać, nie podobną zgoła ani do Maryi Stuart Słowackiego, ani Szyllera.

Lecz czyż którakolwiek z tych dwóch, czy trzech różnych Maryj Stuart może mieć wagę tam, gdzie rzecz zachodzi o powzięcie zdecydowanego zdania o Maryi Stuart historycznej, prawdziwej?! Zapewne nie ale u nas, tak.

Myśmy w poetomanii potrafili dojść do zenitu. Dla nas wiersz, utwór dramatyczny, powieść znaczy więcej niż dzieło szperackie, niż głębia prawdy historycznej, niż wiedza.

Ta poetomanja nie uszanowała u nas nawet wieszczka tak potężnego, jak Mickiewicz. Liczba 44 i Konrad Wallenrod, toć tajemnica i zbawiciel, toć tomy przepastnych hipotez, toć powódź spodziewań. Wallenrod żył, był, istniał!! Prawda, istniał i tak jeszcze, że na ośmdziesiąt ośm lat przed śmiercią (umarł wszak w roku 1394) już zdążył nauczyć się od Maurów ballady i Krzyżakom rozpowiedzieć o Almanzorze, choć Granada upadła, sromotnie poddana, dopiero w r. 1492.

Ta poetomanja sprawiła, że gdy Mickiewicz napisał piękny wiersz p. t. „Reduta Ordon“, według którego Ordon wysadza w powietrze redutę (r. 1831 bitwa warszawska) i znajduje chwalebny śmierć, to wiersz ten stał się prawem. Nic tu nie pomogło świadectwo, „patrona szanów“ Ordon, który cały i zdrow, w trzydzieści lat po swej poetyckiej śmierci, zdumiewał się przed Mierosławskim, że żyje... Nic tu nie znaczy, iż kroniki wysadzenie reduty przypisują bądź bohaterstwu porucznika Nowosielskiego, bądź nieostrożności kanoniera Nakruta. Mickiewicz napisał piękny wiersz, tedy Ordon jest „patronem szan-

ców“, a żaden Nowosielski, ani Nakrut dla nas istnieć nie może.

Czyżby z tej pomyłki mógł wynikać dla naszego wieszca jakiś zarzut — żaden, bo, w zdrowym rozumieniu, gdyby cały ten epizod nie dotyczył Warszawy i był zgoła wytworem fantazyi, to ani jeden liść lauru Mickiewiczowi by nie odpadł, bo piękne dzieło poetyckie pięknemby zostało.

Analogicznym wypadkiem jest śmierć generała Sowińskiego w tejże bitwie warszawskiej pod wolskim kościołem. Goszczyński śmierć Sowińskiego, rzekomo zarąbanego na ołtarzu, uwiecznił wierszem. Któż go nie zna, kogóż nie nauczyła go matka!... Tymczasem zacnej pamięci generał poległ na bastyonie i ani mniej mężnie, tylko że nie w kościele. Legenda atoli znalazła, krom Goszczyńskiego, jeszcze innych żarliwych poetów grozy i niedoli walczących Polaków i zadokumentowaną została przez Straszewicza i Chodźkę i uwiecznioną rysunkiem, przeznaczonym dla Francuzów. Aż nareszcie, w ostatnich czasach, wywołała całą burzę sporów, rozstrzygniętych przez oddzielną monografię p. Mieczysława Świtkowskiego,

I możeby ostatecznie spór o legendę przycichł, gdyby legendzie nie przybył nowy dokument, w dziele malarskiem p. Wojciecha Kossaka. Artyście przypadło tło legendy, dał kompozycję, poetomanii przybył więc dokument.

Ta poetomanja nie byłaby może i aż tak szkodliwą, by tak drobne jej usterki ważyć, gdyby te, drobne z pozoru, usterki nie kryły groźnego jadu. Boć w rezultacie człowiek ufający, wierzący i w „pa-

trona szańców“ i w zarąbanie Sowińskiego na ołtarzu, jeszcze nic nie traci na cnotach obywatelskich, może nawet mieć je spotęgowane, — lecz cóż się stanie z tym samym człowiekiem, gdy otrząśnie się z poetomanii? Czyż nie musi opanować go rozczarowanie, czyż nie zacznie wąpić i o prawdziwych, niezaprzeczonych faktach i wypadkach. Czyż żołnierz tak prawy, jak Sowiński, zasługuje na strojenie go w wymyślone ramy, czyż może owo przenoszenie zgonu z bastionu na ołtarz ma służyć do zohydzenia „moskali“? — wszak, gdy idzie o kościół, mamy po temu bliższe Kroże. Czyż nareszcie społeczeństwo nie postrzega, iż, pod bokiem poetomanii, zaczyna urastać druga ostateczność, sceptycyzm i drwina z uczuć i pamiątek narodowych, że ten sceptycyzm i ta drwina, choć ma swe inne źródła, znajduje w tej poetomanii podporę i argumenty.

Ogół polski juści, w stosunku do swej ojczy-
stej historii, w trudnem znajduje się położeniu, bo, jako młodzież, czerpie ją z jednej strony z rozmyślnie i ze złą wolą fałszowanych podręczników (jak rozmaici Łowajscy), z ust ludzi zdeprawowanych celem politycznym, albo z poetomanii, z powierchowności, z przesady i urojenia. Galicya podobno w tym kierunku w najpomysłniejszych znajduje się warunkach, ale też i Galicya odznacza się sceptycyzmem i wstrzemięźliwością. A jeżeli Galicya z powodzeniem inauguruje rozmaite obchody i uroczystości, to baczniejszy obserwator z łatwością przekonać się może, że, po za gromadką, ogół zachowuje przystojność sługi w świątyni Jo-

wisza, tego sługi, znającego się wybornie na maszynie, udającej odgłosy olimpijskich gromów. W najopłakańszych warunkach jest Kongresówka i ziemie zaboru rosyjskiego, bo tu właśnie poetomanja trwa i trwa tak, że przecież młodzież, która wskutek strejku szkolnego zjechała do Krakowa na egzamina, została odepchniętą, odpaloną i to mimo całej dobrej woli i łagodności egzaminatorów... Poszło o elementarną znajomość historyi Polski.

Już my to wogóle dziejów naszych nie lubimy, a raczej lubimy w nich tylko to, co mówi o naszej chwale, potędze czy bohaterstwie naszych przodków. W tym kierunku nie różnimy się od innych narodów, ale różnimy się tem, że nasze zahamowane życie polityczne, ten prąd czyni jednostronnym, że tracimy równowagę poglądu, że mamy z góry powziętą nienawiść do wszystkich, co nas leczyć usiłują, a miłość do tych, co w nas złudy hodują.

Zaślepienie nasze jest tak wielkie, że nawet nie chcemy zrozumieć, jak wielką krzywdę wyrządzamy naszym bohaterom narodowym.

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam!“ — Co to jest?! — Frazes, apoteozujący, wkładany w usta księcia Józefa Poniatowskiego w chwili śmiertelnego skoku w nurty Elstery. — Frazes piękny, gdyby nie był o wiele bezsensowniejszym od sławetnego „Finis Poloniae“.

Najpierw Bóg honoru Polaków księciu Józefowi nie powierzał, bo gdyby (w rozumieniu mistycznym) obrał sobie księcia Józefa na strażnika honoru Polaków, to by conajmniej nie pozwolił

mu gnuśnieć przez lat dziesięć i przysłuchiwać się obojętnie odgłosom rozpaczliwego szamotania się legjonów. No, a powtóre, księżę Józef, mimo tragicznej swej śmierci, honoru Polaków Panu Bogu nie oddawał, bo rozbitkowie lipscy w całości go zachowali, mieli go przez cały ciąg kampanii roku 1814 i z tymże samym honorem do kraju powrócili.

Już to wogóle w Polsce nie dość jest na męża ze spiżu urósć, nie dość dokonać czynów niepożytej mocy, trzeba jeszcze mieć i szczęście i trzeba, jeszcze za życia, posiąść psiarnię, któraby hymn nadmogilny zawyć w porę umiała, któraby sugestjownowała poezję czy wprost do niej trafiła.

Przykładem tu Henryk Dąbrowski! Daremnie ten jedyny wódz, jedyny żołnierz nieugięty, jedyny z tych, co nie sławy, nie zaszczytów, nie wpływów szukali, lecz swobód dla ziemi swej, dwadzieścia trzy lat strawił na nieustannych zapasach, daremnie przez dwadzieścia trzy lat, ani myślał Cynrynata udawać lub sromać się narażenia na szwank swej ambicyi, daremnie z talentami wodza, cnotami obywatela łączył czystość obyczajów, przymioty dobrego syna, męża i ojca, — daremnie zdobył miłość żołnierzów, daremnie potężnymi błyskami przez lata całe rozświetlał mroki, — daremnie!

Ach tak! Dąbrowski dostał się do piosenki!...

Lecz dostał się i trwa w niej tak i wymawianym bywa tak, jakby zaszczyt ten zawdzięczał rymowi, jakby lada dzień nazwisko Dąbrowski zmienić mógł jakiś Sosnowski lub Lipowski!...

Poetomanja nasza, idealizująca księcia Józefa, skwapliwie zapominająca Naczelnikowi i usunięcie

się od udziału wszelkiego w napoleonidzie i pamiętne listy do Aleksandra I i to pokładanie wiary we wspaniałomyślności „Peterburka“, — o Dąbrowskim milczy, a raczej tylko tam go sławi, gdzie wódz legjonów zasłonić się nie da nawet fantazyi.

Kościuszko, książę Józef, ba, i mniejsi od nich żołnierze, mniejszej szarży bohaterowie mają nie tylko pomniki, portrety, złote księgi, królewskie groby, kopce, a na każdym kroku życia polskiego widome znaki swej chwały, — gdy, z drugiej strony, Dąbrowski, a za nim tłum może dzielniejszych od sławionych, ginie w zapomnieniu.

Krzywda, która się dzieje tym drogim cieniom znów tylko z poetomanii płynie...

Tak! I z poetomanii, graniczącej z lokajstwem.

Patrzcież, ile wysiłku zrobiła banda, żywiona obiadami czwartkowymi, aby z tego, co chciał być królem, choćby na czapce ziemi, zrobić człeka dobrych chęci! Patrzcież, ile trudu, ile papieru zużyto, aby samoluba, płatnego kochanka imperatrowej, komedyanta, rozpustnika i tchórza bodaj pokazać, jako krzewiciela nauk i sztuk!... Patrzcież dalej, że upadek Stanisława Augusta był upadkiem całej „familii“ i że stąd talenty księcia Józefa były ratunkiem, deską zbawienia dla wielu z tych, co najpierw chcieli korony i władzy dla siebie, a potem już i Polski od morza do morza.

Patrzcież tedy i słuchajcie, a pojmiecie, dlaczego książę Józef jest wam równie drogim i pod Dubienką, i przy szturmie Warszawy, i pod Raszy-nem, i pod Możajskiem i pod Lipskiem, jako i przy

partyi putyfona, i jako ojciec rozmaitych bękartów, uwodziciel dziewczyn, amfitryon dziesięcioletnich pijatyk na mogile Rzeczypospolitej, jako pustak i hulaka, — pojmiecie, dlaczego ten rys charakteru, przez który Poniatowski dźwiga się, budzi, przeistacza, wraca, niby syn marnotrawny w progi hasęł ojczyzny, jest tak słabo uwydatnionym, tak zartartym!

Ten przykład dlatego godzien był wyróżnienia, iż znamionuje, jak poetomanja nasza nie uszanuje prawdy w najwyrazistszych postaciach.

I jeszcze raz podkreślić tu trzeba, iż nie ma tu winy poetów — lecz winy tu społeczeństwa.

Sienkiewiczowi wolno było na kryształ przepięć Jaremę Wiśniowieckiego, wolno było tenąć weń ducha i okazać go żywym i potężnym — ale społeczeństwo polskie, chyląc głowę przed wspaniałą postacią powieściową, winno pamiętać, że dla Jaremów ma w słownictwie swej walki przymiotnik „wieszatiele“, że Wiśniowiecki był właśnie takim wieszatелеm i siewcą buntów Kozaczyzny.

Juści nie trzeba chyba i wspominać, że poetomanja nasza kocha się w symbolach i prorocत्वach, że nietylko poezję przeciwstawia prawdzie, ale i sama szuka w niej złud.

„Dziady“ Mickiewicza, „Nieboska komedia“, toć już całe dla nas *pacta conventa*. Szczęsnemu Potockiemu zapominamy chętnie Targowicę, bo jest już Wacławem w „Maryi“.

Co kroku, choć przy całej dobrej woli twórców, szukamy w kompozycjach ich wróżb, przepowiedni, prognostyków, mistycyzmu, urojenia, wygła-

damy chwili napojenia konia tureckiego w Wiśle. A już „czapka z pawich piór“ wprowadza nas w ekstazę i mroczy wokół wszystko, premierę teatralną zamienia w dzień przełomu, podnosi do znaczenia wypadku dziejowego.

I gdybyż nareszcie na znakomitych talentach poetomanja nasza się ograniczyła, gdybyż piśmiennictwo nasze wolne było od miernot złej woli, słabej uczciwości i pychy! Gdybyż szczerłość rozróżniano od fałszu, zapalczywość od wyrachowania, gdybyż wymarło pokolenie oszustów artystycznych, gdybyż talent pamiętał o potrzebie ciągłego krzepienia swej wiedzy!

Sięgnijcież do naszych zabytków niedawnej przeszłości, rozejrzyjcie się w tem, co się zwie mecenasostwem, popieraniem sztuk, kupieniem sił duchowych — a obaczycie, że ta cnota była często kupowaniem sobie nieśmiertelności, chęcią wyprania w literaturze zaszarganego imienia, lub załatwienia przez najemnika osobistego rachunku.

Ważycież się przypuszczać, aby taki książe Adam Czartoryski, minister i rosyjski mąż stanu, pełnomocnik, który, w imieniu Rosyi, podpisał przy mierze z Anglią, przyjaciel cesarza Aleksandra I i wierny towarzysz w dniach klęsk (1812 roku) i w dniach tryumfów (1814), dygnitarz, senator, wojewoda, naczelnik rządu narodowego w r. 1831 dlatego został prostym żołnierzem w korpusie Ramorina (w dniu 16. sierpnia), aby już w dniu 17. września, pod osłoną tegoż korpusu, uciec do Austrii, aby przytem, co się dało, z majątku ze sobą zabrać?!... No, więc nie znacie do głębi króla pol-

skiego z hotelu Lambert, nie macie wyobrażenia o jego wielkich zamysłach, planach i intencjach. Nie znacie tego, co panował emigracyi. A więc czytajcie Niemcewicza. Od Niemcewicza dowiedzie się o Czartoryskim, a gdyby naodwrot, podobało się wam poznać z kolei bliżej Niemcewicza (adjutanta Kościuszki, adjutanta wątpliwej wojskowo wartości, który adjutanctwo swoje brał tak po literacku, że w wigilię bitwy Maciejowickiej „zabawiał Naczelnika odczytywaniem starych gazet“) no, w takim razie, przeczytajcie sobie dzieło księcia Adama o Niemcewiczu! Jeżeli zaś wam to, co pisze Niemcewicz o Czartoryskim, a Czartoryski o Niemcewiczu, wystarczy na zapomnienie, że książe Adam, przez lat dwadzieścia, był wiernym sługą Peterburka, że został nim z powodu... iż w roku 1795 wysłano go jako zakładnika... że już w r. 1796 był rosyjskim kamerjunkerem i marszałkiem dworu księżnej Heleny, to i tem lepiej dla nas! W słowach tych nie ma satyry ani chęci ujmowania Czartoryskiemu, któregokolwiek z przymiotów, tylko pragnienie zaprzeczenia Czartoryskiemu i prawa do męczeństwa i samego męczeństwa. Czartoryski prowadził wielką grę, w Peterburku szukał czegoś więcej niż teki ministra, spotkał go zawód — rewolucya zdawała mu się drogą do urzeczywistnienia ambicyj, przyłączył się do niej i poświęcił dla niej tyle, co ryzykować gotów każdy najuboższy pretendent do najuboższego tronu. Na emigracyi świadczył ludziom, ale świadcząc, świadczył samemu sobie, bo stwarzał wokół siebie pozory tego nimbu, którego mu los odmówił.

A teraz, cóż rzec o lwiej części naszego malarstwa historycznego, o tych kompozycjach pięknych, dziełach sztuki, ale mających często słaby związek z prawdą, a raczej, co rzec o tej manii szukania prawdy w twórczości? A jeszcze, cóż rzec o egzaltacyi, która w nas wmawia, że my, Polacy, mamy na świecie jakieś wszechludzkie posłannictwo, że my czemuś wogóle' przodujemy i dokonamy czegoś, co z posad ziemię ruszy!! Ta egzaltacya pod piórem poety może być i szlachetną i wielką i wzniosłą, — lecz taż sama egzaltacya, jako wyznanie wiary narodowej, i w naszych opłakanych warunkach bytu politycznego, jest samobójczą. Ta egzaltacya jest jak haszysz, daje nam opiumowe rozkosze wizyj, ale i jest trucizną. Poi nas bowiem przeświadczeniem, że i bez naszego natężenia, na odgłos trąb, mury opadną, słońce zatrzyma się, a my pójdziemy jakąś drogą wiecznochwaly, pójdziemy jako naród wybrany przed wszystkimi narodami. — Dokąd?

KOMUNAŁY NARODOWE.

Polacy nie splamili się królobójstwem. — Wątpliwa chluba. —
Zamachy w czasach porozbiorowych na Berga, Aleksandra II
i księcia Konstantego. — Hryniewiecki, Padlewski i Czolgosz. —
Spartanki nasze i Murawiew. — O żandarmach wieszających. —
Przyszła Polska przedmurzem. — Dawne dzieje przedmurza
i obecny jego stosunek do mocarstw. — Od morza do morza. —
Jedyny punkt wyjścia dla naszych haseł.

Przekleństwem naszej trzeźwości politycznej są komunały, powtarzane z całą bezmyślnością zarówno przez statystów, jak i zaściankowiczów naszego życia. Właściwością tych komunałów jest to, że, raz i w porę może wygłoszone, trwają, choć przeżyły się, zjełczały na bezsensy, trwają w naszym pojęciu na stanowisku wielmożnych argumentów.

Komunałów tych jest ilość wielka — aby ocenić ich szkodliwość, starczy rozważyć najpopularniejsze i najwięcej przez nas ulubione.

„Polacy nigdy nie splamili się królobójstwem“, głosimy przy zdarzonej okazji, szukając w tej okoliczności wywyższenia się nad ludami, które ścięły Karola I, Ludwika XVI, czy nie zdołały uchronić od skrytobójstwa Carnotów, Lincolnów, Aleksandrów i Humbertów.

Polacy istotnie „nie splamili się“ królobójstwem za czasów Rzeczypospolitej, bo znajdowali się w tem położeniu szczęśliwym, iż rozprawiać się z królami nie potrzebowali, gdyż w zamierzonych czasach mieli na zawołanie myszy do zjadania Popielów, a w późniejszych, zanim wyraz majestatu królewskiego stracił urok pomazaństwa, oli-

garchiczny ustrój miał około 40 tysięcy rodzin królewskich w zapasie, a faktycznych królewiatek całe dziesiątki. Lud polski spał, spał jak i wszędzie zresztą, stanu trzeciego nie było, a raczej składał się on z żywołów obcych: żydów i Niemców, szlachta zaś, jeżeli nie zawsze mocną była, wedle upodobania, oprzeć się wydaniu jakiegoś królewskiego rozporządzenia, to za to zawsze miała dość humoru i fantazyi, aby i podatków nie zapłacić i z gardłowych spraw sobie dworować, a w ostateczności patrona w magnacie sobie znaleźć, który i królowi jegomości zęby umiał pokazać. Faktycznie więc nie było komu do królobójstwa się uciekać — magnaci rządili, szlachta miała przywileje, o jakich zachodowi się nie śniło, a lud trwał w ciemności i ani śmiało roić, aby, choć i na tamtym świecie, z herbowymi się zrównać.

Tak, Polacy nie popełnili „królobójstwa“ — nie popełnili go z braku pobudek i fatalnej racji stanu. Właściwie mieli raz podobny zamiar i to zamiar, który i dziś jeszcze budzi w Polakach żal, że się nie udał..

Pamiętne porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów barskich i uwolnienie króla przez zdradę Jaszczołta bynajmniej ani pierwszemu współczucia, ani drugiemu zasługi nawet w potomności nie przysporzyło. Porwanie to, według zapewnień, nie miało na celu królobójstwa — niezawodnie, boć gdy Ludwika XVI osadzano w Temple, to również nie dlatego, aby go zgilotynować.

Czy i w czasach porozbiorowych również wielką zachowaliśmy wstrzeźliwość? — bezwarunkowo

że tak. Czy z tej wstrzemięźliwości powinniśmy się cieszyć lub nią chełpić — rzecz wątpliwa.

Dzieje porozbiorowe, zaczynając od legendowej opowieści o żołnierzu, który, stojąc na warcie w pałacu Wielkiego księcia Konstantego, ma dokonać zamachu na znienawidzonym satrapie a w krytycznej chwili strzałem dopierszonym odbiera sobie życie, zapisują kilka usiłowań królobójczych. Więc, strzał do drugiego księcia Konstantego (Mikołajewicza) w Warszawie, w teatrze, — więc zamach na hrabiego Berga w Warszawie (pamiętny zburzeniem i rabunkiem pałacu Andrzeja Zamoyskiego), więc zamach na Aleksandra II, podczas pobytu tegoż w Paryżu, zamach dokonany przez Berezowskiego, to faktycznie wszystko. Ogólną charakterystyką tych zamachów na przedstawicieli władzy jest niepewna ręka, a całym rezultatem chybianie, bo wszystkie z pomienionych „ofiar“ wyszły cało i zdrowo.

Jednakże, poza tymi zamachami, były jeszcze trzy udane: Hryniewieckiego na Aleksandra II, Padlewskiego na generała Seliwestrowa i Czołgosza na Mac-Kinleya. Ale te trzy zabójstwa polityczne, juści tylko ślepi albo źli mogą łączyć z polskością — boć Hryniewiecki działał na równi z Rysakowem, Żelabowem i całą gromadą rosyjskich socyal-rewolucjonistów i dla rosyjskiej socyal-rewolucyi; Padlewski, jako socyalista rosyjski, załatwiał obrachunek socyalistów rosyjskich, a Czołgosz do swego mordu, popełnionego na Mac-Kinleyu, nic polskiego, prócz imienia, nie wniósł.

Dalej — możemy sobie z całym spokojem przyznać, że nie dokonaliśmy nawet symbolicznych

„królobójstw“ na przedstawicielach przemocy i na tej, która nam się najwięcej dała we znaki. Wszak ci, do powstaniowego Trepowa dopiero Wiera Zasulicz strzelała i w Petersburgu i nie za Warszawę, wszak ci, pamiętne twarzobicie Apuchtina było dziełem studenta Żukowskiego, Rosyanina!

Wybitniejszych odruchów czynnego protestu przeciwko znieprawdzonym nie posiadamy zupełnie w naszych dziejach porozbiorowych. Nasze kobiety-polki mało były Spartankami, nie wydały z siebie ani Wiery Zasulicz, ani Karoliny Corday.

Czytając ponure, okropne dzieje panowania Murawiewa-wieszatiela na Litwie, serce zamiera ze zgrozy. Żony, matki i córki tarzają się we łzach u nóg barbarzyńcy, żebrząc o łaskę dla skazańca. Murawiew, miast słów przebaczenia, bluzga obelgami, kopie nogami nieszczęsne, pluje im w oczy!... Ukochany syn, mąż, ojciec musi zginąć. Dla kobiet tych zgon ukochanego człowieka, jedynego opiekuna, podpory, nadziei, równa się śmierci! Te nieszczęsne nie mają już nic, nic zgoła do stracenia. Czytasz i mrużysz oczy — otwierasz oczy, Murawiew cały i zdrów idzie dalej! Czy podpisywać wyroki śmierci? Ach, nie o nich myślisz, boć rozumiesz, że na tego takie drakońskie pojęcie, że przecież dwieście lat cywilizacji spóźnionej ma swoją nieubłaganą logikę — lecz Murawiew idzie dalej hańbić, plwać, znęcać się i poniewierać...

Karoliny Corday nie mieliśmy. Rozmaici Hurkowie, Klingenbergowie (krożańscy) Czertkowowie, aż do małych kundli włącznie, aż do „bab“, robili

co chcieli, nie mając bodaj tyle respektu dla nas, ile ma najniesprawniejszy bartnik dla swych pszczoł w chwili, gdy im plastry miodu wygarnia!

Niezawodnie, wszystko to razem może być zaliczonem do cnót chrześcijańskich, ale może być wziętem i za brak determinacyi, brak odruchów. Odruchy takie mogą bezwątpienia przyczynić niedoli, mogą mieć wprost gnębiące następstwa, lecz brak tych odruchów także niedoli nie poprawia, ani żadną intencją uplanowaną wytłumaczonym być nie może.

Z czego więc się tu cieszyć, czem się chełpić!? Ostatnie wypadki, rozgrywające się pod zaborem rosyjskim, nie mogą być brane pod uwagę. Boć są to wybuchy niezupełnie naszego pochodzenia, niezupełnie naszej a zupełnie obcej nam energii socjalistyczno-żydowskiej. Zresztą umilkną one równie raptownie, jak wybuchnęły. Ład i potulność wróca a z niemi i komunał o królobójstwie i rumieniec wstydu, że w roku 1863 mieliśmy żandarmów wieszających! Ach, wszak tak, zwolennicy biernego nastawiania pleców na baty, a Piłaci wszelkich spraw narodowych przebaczyliby wiele nierozwadze i lekkomyślności roku 1863, gdyby nie żandarmi-wieszający. A z tego wnioszek, iż tych ostatnich mieliśmy za mało, w stosunku do szpiegów i Murawiewów.

„Odbudowanie państwa polskiego, jako przedmurza Europy, leży w interesie ludów zachodnio-europejskich“ — oto komunał drugi, już szerzej pomyślany, a krojący raz po raz na argument polityczny, na który usiłujemy złapać tego lub owego

monarchę a bodaj dyplomatę. Komunał o „przedmurzu“ zresztą stosujemy nietylko do zachodu, ale i do wschodu... bo, przy danej sposobności, potrafimy już i Rosyę pouczać o korzyściach, któreby dla niej wykwitły z posiadania na kresach szanca polskiego! Na poparcie tego argumentu o „przedmurzu“ wypominamy rolę, którą odegrała Rzeczpospolita w zakusach tatarskich hord i tureckich wypraw.

Komunał ten jest groźnym, bo prawdopodobnym, bo łudzącym nas samych słuszością swej racyi stanu, a więc niszczącym w nas niewyrozumowane nadzieje i osłabiającym energię. Po cóż bowiem zabiegać, po cóż wysilać się i troszczyć, gdy, prosty interes państw ościennych i zaborczych, musi doprowadzić do przyznania nam politycznej niezawisłości!...

Rzeczpospolita była przedmurzem, broniącym Europę przed zachłannością półksiężycy? Była, lecz nie przez szczególniejszą swoją cnotę, lecz z potrzeby. Nawałnica mahometańska groziła wszak najpierw Rzeczypospolitej. Rzeczpospolita broniła siebie, swoich granic. Podobno i „pole chwały“ odsieczy wiedeńskiej łączyło z sąsiedzką pomocą i cel własny, bo, chorągiew padyszacha, na murach Wiednia zatknięta, mogła tem dzielniej, mimo pozorów sojuszu, zwrócić się ku Warszawie i Krakowowi. Jeżeli zaś Rzeczpospolita w następstwie nigdy nie umiała wyzyskać stosunku przyjaznego do Turcyi i potrafiła zezwolić na upadek chanów krymskich, to w tem nie cnota jej ale błąd polityczny, bodaj jeden z tych, za które własną trzeba było zapłacić gubą.

Rzeczpospolita dalej, jako przedmurze, tyle dokazała, że wyhodowała cesarstwo rosyjskie i to bynajmniej nie ze swej ku Iwanom groźnym, Piotrom i Elżbietom amicycy. Rzeczpospolita zezwoliła na upadek republikańskich państw Nowgorodu i Pskowa, Rzeczpospolita, jako rzekoma strażniczka cywilizacyi, nie protestowała przeciwko mordom, sprawianym przez Piotra I obywatelom, występującym przeciwko samowładztwu.

Jeżeliby jednak, w szeregu wieków, dało się odnaleźć sporą garść wypadków, zdolnych uzasadnić wartość przedmurza polskiego, to dla obecnych warunków cywilizacyjnych i układu politycznego argument o przedmurzu jest wycofanym z obiegu banknotem.

Wszak, przy dzisiejszych środkach komunikacyi i narzędziach walki, moglibyśmy wówczas mieć znaczenie czyjegoś przedmurza, gdybyśmy ziemię naszą zamienili w jakąś bajecznie obronną i militarnie zahartowaną i czujną fortecę, zdolną do wdrożenia poszanowania czy to Rosyi czy to Niemcom. Wszak tak? Lecz teraz, jaką gwarancję może mieć Rosya czy Niemcy (jeżeli jedno z tych mocarstw chciałoby z nas mieć swoje przedmurze), że, w krytycznej chwili, nasza własna, a więc słuszna korzyść nie skłoni nas do sprzymierzenia się z państwem, którego sile mieliśmy drogę zagrozić? Juści żadną. Przeto nie dziwny się, iż państwa zaborcze, ryzykując nawet posiadanie na swych kresach ludności sobie niechętnej, wołają na naszej ziemi własne trzymać załogi.

A czy może przedmurze dało by się osiągnąć

przez jakąś przymusową neutralność odbudowanej Polski? Także nie. Bo, najpierw, rozgraniczenie pasem neutralnym, wobec środków komunikacji, spowodowałoby opóźnienie akcji zaczepnej, naprzykład, między Rosją i Niemcami zaledwie do kilkunastu godzin, a powtóre, mimo neutralności, nie powstrzymało by to nas zapewne od przechylenia się bądź na lewo, bądź na prawo. A nakoniec, gdy idzie o stworzenie z nas terenu walki, to jesteśmy nim faktycznie i dzisiaj. Ziemię polską, w razie wojny bądź niemiecko-rosyjskiej, bądź rosyjsko-austriackiej, muszą służyć za pole rozpraw, a Warszawa, Wilno, Poznań, Kraków i Lwów muszą pójść na pierwszy ogień i to przed Wiedniem, Berlinem, Petersburgiem lub Moskwą.

Komunał o przedmurzu używanym jeszcze bywa przez nas w stosunku do Francji, dla której Rzeczpospolita polska mogłaby być pożądanym sprzymierzeńcem za plecami państwa niemieckiego! Być może, ale znów pod warunkiem, że, w dalszym ciągu, Polacy mieliby równego stracha dla pleców rosyjskich, lub zawarli ze swemi plecami rosyjskimi święte przymierze.

Godząc się jednak na postulat, że Francja mogłaby zyskać w ten lub ów sposób na odbudowaniu Polski, to jeszcze nie zdołamy dowieść, aby ta korzyść zrównoważyła potrzebne ku temu ofiary, ba, i może ofiary daremne.

Mieliśmy aż nadto dowodów, aby się przekonać, że dyplomacja francuska, przy zdarzonej chwili, dawała posłuch naszym deklaracyom, że gotowała się do kategoriycznych wystąpień, ale... pod wa-

runkiem, iż nasze wysiłki uwieńczone będą powodzeniem. Powodzenia nie było, więc Francya tasowała rozdane karty i przedmurza szukała w Petersburgu. Taki zwrot uważaliśmy i uważamy za zdradę nieomal, mamy dlań w pogotowiu całe zapasy gromkich zarzutów i wyrzutów, ale taki zwrot zwie się tylko dobrze zrozumianym własnym interesem politycznym.

Mimo te prawdy, komunał o przedmurzu polskiem trwa. *Cui bono?* Czy istotnie możemy przypuścić, aby na ten wytarty trojak skusiła się jakaś dyplomacya? Czy też tak dalece bronimy się trzeźwości, że z dobrą wiarą „przedmurze“ zaliczamy do racyi i atutów politycznych?!

„Chcemy Polski od morza do morza“ — oto komunał trzeci, już nieco zdyskredytowany i coraz rzadziej używany za hasło dążności polskich, lecz jeszcze nadto częsty, aby o nim wspomnąć.

Chcielibyśmy Polski od morza do morza? Chcielibyśmy wrócić do granic, przypuścmy, z przed roku 1772. Na jakiej zasadzie? Na zasadzie tego, że te a te obszary stanowiły posiadłości Rzeczypospolitej — zgoda. Jaki będzie nasz stosunek do ziem litewskich, małoruskich, rusińskich, białorusińskich i t. d. Damy im najrozleglejszą autonomię, zgodzimy się na jakąś unię osobistą?...

Dobrze, a jeżeli pomimo to, bądź Litwini, bądź Białorusini zażądadają niepodległości?! Jeżeli pogardzą i braterstwem z nami i naszą kulturą i naszą opieką? Będziemyż produkowali „obrusitielej“, będziemyż zakładali instytucye w rodzaju hakaty? Chyba że nie! Jeden punkt wyjścia — pójść za przykładem

Szwecyi i zrezygnować ze wszystkich ziem, mających uroszczenia norwęgskie.

Krótko mówiąc, tak czy owak, jedynie możemy prawować się o Polskę etnograficzną plus te ziemie, które są sztucznie nawodnionymi stawami i plus jeszcze te ziemie, które, choć etnograficznie nie polskie, do nas dobrowolnie przystaną.

Wszelki inny punkt wyjścia dla naszych żądań jest niebezpiecznym i zaprzeczającym wszelkim naszym pretensjom do niepodległości. Bo, albo te gromadki naszych bojowników, które od stu lat po całym świecie roznoszą zawołania o wolności, są apostołami tęsknot i spodziewań narodu polskiego — albo my nie mamy z nimi nic wspólnego. Albo istotnie Polacy szli i za Waszyngtonem i za Garibaldiem i za Koszutem — albo skłamali zawołanie „za waszą i naszą wolność“. Albo rzeczywiście sprawa polska jest sprawą umoralnienia polityki europejskiej, albo jest łzami wilka, osadzonego w klatce!

Z chwilą, gdybyśmy dowodzić zaczęli naszych praw historycznych i politycznych do ziem i ludów, które bądź wołałyby ciężać do innego państwa, bądź zachować by chciały pełną swoją niezawisłość, sami musielibyśmy zejść do tych samych otchłani, z którymi walczymy.

KLĄTWY NIEWOLI.

Nasze tchórzostwo. — Zaprzańcy. — Kłamane poświęcenia. —
Fałszywość polska. — Ofiary patriotyzmu przed sądem. — Po-
mnik Katarzyny. — Etyka przewrotności. — Urzędnicy i pro-
fesorowie Polacy. — Inteligencya powiatowo-gubernialna. —
O „polaczyszkach“. — Patriotyzm nienawiści. — Maniactwo
nędzarzów. — Gdzież chiński mur? — Zmarnowanie siedmdzie-
sięciu lat pracy. — O Galicyi. — Patriotyzm twórczy.

Trzy mamy domy niewoli, — trzy domy różne, i co do wewnętrznej budowy, i co do ilości wydzielonego nam w nich powietrza i światła, i co do warunków naszego powszedniego w nich bytowania.

Wspólną cechą tych domów jest oczywiście to, cośmy nadewszystko w nie przynieśli — więc tchórzostwo. Czyje?! Juści nasze i zupełnie polskie.

To tchórzostwo, dzięki pomienionym różnicom domów niewoli, rozmaitym podlegało stopniowaniu, aż bądź wzmogło się, bądź zmniejszyło w poszczególnych zaborach — trwa atoli i nie ginęło nigdy. Najmniej posiada go Wielkie Księstwo Poznańskie, najwięcej zabór rosyjski.

Gdzie szukać owego tchórzostwa?! Szukać nie trzeba, dość obejrzeć się wokół, aby o nie się potknąć na każdym szczeblu, na każdym stopniu życia polskiego.

Boimy się cienia własnego, boimy widma, boimy urojenia, boimy tego, czego bać się jest hańbą!

Czyście kiedy podróżowali? Czyście nie słyszeli nigdy „Polaczków“, którzy już od Teres-pola zaczynają mówić po rosyjsku, a którzy znów w Aleksandrowie, albo o parę kilometrów na pół-

noc od Krakowa wpadają w tempo niemiecczyzny? Czyście kiedy byli świadkami jak „patryota“, chcąc wdrożyć dla siebie poszanowanie organu policyjno-administracyjnego, zapewniał czystą moskiewszczyzną, że ma taki i taki czyn i że z takiej i takiej pochodzi gubernii?! Czyście nie byli nigdy proszeni przez „Polaczka“ z dobrej rodziny a oficera, aby mówić z nim na ulicy po niemiecku, gdyż język polski uchybia jego cesarsko-królewskiemu stanowisku!/? Czyście ani razu od kochanego krewniaka nie odebrali rady, aby we Francyi podać się za Rosyanina, bo to zapewnia ułatwienia?!... Czyście nigdy nie słyszeli we Lwowie zdania, że Warszawa leży w „Rosyi“, i że w „Rosyi“ Polakowi jest lepiej?!... Czyście, mieszkając w Warszawie, nigdy nie odebrali listu od patryoty z nadpisem rosyjskim „Варшава Россия“, choć przecież rząd rosyjski żadnych po temu nie wydał obustrzeń?!... Czyście istotnie zawsze zaznaczali swoją narodowość, czyście dla świętego spokoju, nie poglądali obojętnie, jak wam jakiś intendent hotelowy pisał „Austryak“, „Rosyanin“, „Niemiec“? Czyście nigdy nie widzieli „zacnych“ obywateli z orderowemi wstążeczkami? Czyście doprawdy ani razu nie byli świadkami spajania „moskali“, fetowania rozmaitych dyrektorów i naczelników, a więc i miodopłynnych wynurzeń lojalnych poddanych?!... Czyście istotnie nie poglądali na tych „męczenników“, którzy, raz i przypadkiem odwiedzeni przez żandarmską rewizyę, chodzą odtąd w aureoli cierpienia dla ojczyzny?!

Toć wam się wydają znów drobiazgi?! Lecz

czyż nie z drobiazgów składa się nasze krecie, podziemne życie?!... Czyż my, wobec ludów wolnych, mamy coś nad te drobiazgi!?

Tchórzostwo jest naszą klątwą i było klątwą naszych ojców, od których zresztą my wogóle lepsi jesteśmy, a nie gorsi.

Tchórzostwo żywi w nas te, niczem nieusprawiedliwione, nadzieje, że ktoś dla nas coś zrobi, tchórzostwo bowiem nie pozwala nam śmiało spojrzeć w oczy prawdzie.

Tchórzostwo nasze pragniemy usprawiedliwiać terrorem białym, którego nam państwa zaborcze nie szczędzą. Lecz jest to kłamstwo. Ci, którzy ulegli lub ulegają przemocy terroru rządowego, nie mają nic wspólnego z tchórzliwym i samolubnym ogółem. Żaden z zaborczych rządów nie posiada nadprzyrodzonych sił, które zdolne byłyby sięgać aż do serc, aż do mózgów, aż do dusz polskich. Tchórzostwo zaś nasze jest właśnie tem, tak głęboko sięgającym, tchórzostwem.

A nie idzie tu nawet o żadne odruchy gwałtowne ani o żadną odwagę rewolucyjną — jeno o to proste, Piotrowe zaprzaństwo, na które, w życiu narodów, nie masz innego sądu nad potępienie.

Tchórzostwo wnieśliśmy sami do domów niewoli — tu zaś wyciągnął ku nam ramiona fałsz i kłamstwo.

Fałsz i kłamstwo oto dorobek i niewoli i tchórzostwa.

Okłamujemy nadewszystko samych siebie, bo wmawiamy w siebie, że ponosimy ofiary wielkie dla ojczyzny, że jesteśmy wciąż narodem, stojącym

na świeczniku ludów, że czynimy więcej nad możliwość, że poświęcamy się nawet wówczas, gdy poświęcenie przynosi nam zyski.

Tak — u nas poświęcają się wszyscy dla ojczyzny!!. Profesor literatury polskiej cierpiał dla kraju, bo miał z a k a z a n e komplety uczniów (na czym zarabiał po 30 i 40 rubli za godzinę, gdy wykład i czas wart był dwa ruble); — szynkarz nazwał swą wódkę „Kontuszówką“, ozdobił ją znakiem kosy i po cichu dawał do zrozumienia, iż jest prawie kosynierem; — pisarz kleił bajkę i, kazawszy sobie za nią słono zapłacić, miał się za bojownika ludu; panek, z miłości do kraju, marzył, aby jego córka została frejliną dworu; bodaj i Wisła płynęła i płynie nie dlatego, że musi być ujściem źródeł i dopływów, ale z poświęcenia dla ojczyzny...

Okłamujemy jednak nietylko samych siebie, ale i wszystkich, z którymi los nas kojarzy. Ba, lecz gdybyż nas stać było na jakieś zręczniejsze, wytrwalsze kłamstwo, mogłoby ono dać nam bodaj zdolności polityczne! Cechą naszego kłamstwa jest zawsze ciasnota piwniczna niewoli i naiwność żakowska. Wziąć na się mandat delegacki, a w następstwie obełgać i wyborców i potentata, do którego było się delegowanym, toć u nas chleb powszedni. Przyozdobić się podobizną orła polskiego, a następnie, w razie sprawy z władzą, zaprzysiądz, iż nie jest to żaden orzeł, ale najniewinniejszy kogut, toć szczyt zmysłu rozumnego patrioty. W iluż to procesach politycznych oskarżeni, miast śmiało i dzielnie odpowiedzieć, — uczyniłem to i to, po-

nieważ, jako Polak, muszę to, a to kochać, a to znów zwalczać, — osłaniają się dziwacznymi kłamstwami a zapierają publicznie inkryminowanych uczuć pa-tryotycznych!! Te kłamstwa rzadko zdolne są uniewinnić oskarżonego i stąd nowa okazja do nowych kłamstw... Zwolennicy skazanego uderzają w gromy oburzenia na ciężkie skazanie człowieka, który w rezultacie nic a nic nie zawinił... bo, na przykład, dobrał się do tajnego memoriału Imeretyńskiego i obwieścił go światu razem z dopiskami cesarza! Ta druga serya kłamstw ma znów niby na celu jakąś zmianę doli dla skazanego, lecz, miast tej upragnionej zmiany, rzecz sprowadza do tego, że śmiały czyn błędnie, że człowiek tęgi schodzi na miernotę, wyprzysięgającą się swych przekonań.

W naszym społeczeństwie fałsz stał się czemś uprawnionem, usprawiedliwionem.

Rząd zaciska rzemień i w tym celu ogłasza jakąś odpowiednią uroczystość, dajmy na to, poświęcenie pomnika Katarzyny II w Wilnie, czy obchód odnowienia zamku krzyżackiego w Malborgu. Na uroczystość wezwani są luminarze polscy — sprawa drażliwa — więc mniej skłonni do pokory nie stawiają się, motywując swoją nieobecność chorobą! A przecież, prosta uczciwość nakazywała by lojalnie i szczerze wyznać, że poczuwanie się do polskości nie może ścierpieć łączenia się w hołdzie dla Katarzyny II. Tymczasem skłamanie choroby, spędzanie winy na ból palca już w szkółce elementarnej nie ma waloru. Rząd odnośny wie, co o tem sądzić. Akt protestu zaś schodzi do zera.

Bywa również inaczej. Zajęcze serca nie są w stanie zdobyć się nawet na taką opozycję i stają pod pomnikiem Katarzyny II... A potem, brak odwagi cywilnej starają się osłonić frazeologią... o jakimś politycznym podkładzie. Tymczasem jedynym podkładem jest tu tchórzostwo i fałsz.

Kłanianie się w oczy satrapom, łganie rozmaitych „uczuć” — a znów przeklinanie za plecami tych, do ręki których cisnęliśmy się na prześcigi, oto etyka polska w domach niewoli.

A tej etyki przewrotnej, niegodnej, następstwa są straszne! Bo i jakież mieć może zaufanie lud prosty do swych panów i przewodników, gdy widzi ich wciąż lawirujących, wciąż łgających!!

A czyście może nigdy nie mieli do czynienia z urzędnikami Polakami?! Czyście nigdy nie zetknęli się z przedstawicielami władzy-Polakami?! Czyż trzeba wam przypominać, że Polak urzędnik rosyjski, austriacki lub niemiecki, to często poprostu nieszczęście! Czy nie próbowaliście nigdy zapoznać się z imionami tych, którzy, naprzykład w Tryeście, niemczą ludność miejscową?! Czyście ani razu nie zetknęli się z urzędnikiem policji Polakiem, z celnikiem, z fiskusem jakimś!?

Dowodów i dowodów wam trzeba!?

Więc postawmy krzyż na licznem, a rozrośłem mocno pokoleniu zaprzańców — nie mówmy o tych, którzy przestali czuć i myśleć po polsku — mówmy o tych, którzy się za dobrych Polaków uważają.

Byliście w szkole rosyjskiej?!... Pamiętacie apuchtinadę? Pamiętacie łapowników takich i pijaków, jak Kacaurow, Iliin, Wiedieniapin, Pietrow,

Stefanowicz, Szczebalskij, Sokołow, etc. etc. etc.? A pamiętacież tych nielicznych „cierpiących“ Polaków-nauczycielów i profesorów!?! Czyż wielu z nich naprawdę „nie brało“? Czyż nie oni to głównie byli postrachem w nieskończonej swej pedanteryi? Czyż nie oni to, nawet poza szkołą, baczyli na język rosyjski, czyż nie oni najgorliwiej pracowali nad załapaniem ucznia! A w uniwersytecie warszawskim? Iluż było tych prawdziwych Polaków a iluż między Polakami takich, którzy niczego, krom pensyi i urzędu, nie mieli na celu!

Czyż nigdy nie przychodziło wam na myśl, że z nauczycielem Rosyaninem, jeżeli nie słowem, to szklanką lub sakiewką można dojść do porozumienia, z nauczycielem zaś Polakiem często nawet łzami jego własnej żony nie poradzi. Były wyjątki? Były, lecz na to bodaj jedynie, aby stwierdzić istnienie reguły i reguły takiej, żeć podobno nie kończyła się ona tam, gdzie zaczynała się suknia duchownego!!

Zaiste, rządy zaborcze zbyt mało zajmują się tą psychologją tchórzostwa polskiego, inaczej ani by się ważyły rugować urzędników-Polaków.

Znacież wy życie miast gubernialnych i powiatowych polskich?! Czyście nigdy nie zaglądali do polsko-rosyjskich resurs, nie wnikali w tajniki życia rozmaitych lekarzów, naczelników, mecenasów, i t. p. inteligentów-Polaków? Czyście nie zastanawiali się nad ich stosunkiem do kolegów czy zwierzchników Rosyan?! Czyż doprawdy roicie sobie, że każdy burmistrz Polak gardzi łapówkami?!... Czyż doprawdy roicie sobie że te pijatyki i karciarstwo

inteligentów-Polaków w gronie Rosyan, było nieodzownym warunkiem utrzymania się na stanowisku, że ten brak godności i lokajstwo, wobec zwierzchników Rosyan, da się wytłumaczyć potrzebą pamiętania o chlebie!

Tak — tak, gotowicie rzec, iż inne postępowanie wiodłoby do rewolucyi, do więzienia, do dymisyi! Nieprawda! — Doprowadziłoby jeno do tego, że wyraz połącyszka znikłby nareszcie.

Daremnie usiłujemy wyraz połącyszka podporządkować jakiemuś objawowi prześladowania! Daremnie zamykamy uszy na głos sumienia, które mówi nam, że połącyszka znaczy układność i obłuda, udana dobroduszość i bezczelna potulność, fałsz i ukrywana nienawiść.

Połączyszka! Więc tylko dosadniejsze, bardziej jaskrawe znaczenie tego, co się zwie na Litwie „koroniarz“. Bardziej szczerą, choć zamkniętą w sobie, dusza litewska, tem mianem znaczy zbytnią gładkość polską.

A nie jest to u Litwinów żadna prowincjonalistyczna invidia, jeno stwierdzenie raczej faktu, że fałsz staje się nieodłącznym rysem naszego charakteru, rysem, znamionującym nietylko sposób postępowania jednostek, ale i całych gromad.

Drugim, nie mniej zabójczym dla nas, dorobkiem niewoli, jest nienawiść, nienawiść ukrywana, trawiąca nasze siły duchowe, a pozornie tylko podsycająca uczucia patryotyczne.

Zły to patryotyzm, który żywi się nienawiścią, który miłość ku ziemi ojczystej czerpie nie z krynicy uczuć zacnych, który się poi żółcią zaznawa-

nych krzywd, który, miał być świadomym ruchem mięśni, staje się skurczem konwulsyjnym.

A przecież taki właśnie konwulsyjny patryotyzm jest u nas najpowszedniejszym. Wszak ci większość Polaków nie dlatego miłuje swoją ziemię, aby ta miłość była naturalną potrzebą ich serca, lecz miłuje ją dlatego, że nienawidzi ciemiężców, że w miłości tej szuka pomsty dla swych krzywd.

I ten patryotyzm rozprasza nas, trawi nasze siły żywotne w walce o błahostki, tumani nas, podnosi do potęgi jakąś nikłą zdobycz na rzecz polskości, skupia naszą uwagę na drobiazgach i zamienia szersze pola działalności.

I ten patryotyzm wszczepia w nas chorobliwe przeświadczenie o naszym męczeństwie, i ten patryotyzm przesłania nas urokami od myśli o rozumnej i nateżonej pracy, i ten patryotyzm czyni z nas żebraków, dziadów, Łazarzów, potrzęsających łańcuchami, okazujących światu swe rany i radujących się, że miłosierne psy rany nasze liżą niekiedy.

I ten patryotyzm nasz czyni, że nasza pycha jest w istocie pychą maniaka-nędzarza, który w swem charłackim życiu — szczyli się potwornością swoich wrzodów, który ani myje się, ani strzyże, daje porastać na sobie brudowi, byle nic ze swego okropnego wyglądu nie stracić. Maniak-nędzarz jest jak nasz patryotyzm — życie nie dało mu być słońcem, życie radeby go mieć teraz gwiazdą — maniak-nędzarz, nie mogąc być słońcem, wszystko czyni, aby być jego plamą.

I ludy głuchną na nasze skargi i utyskiwania, i ludy, nawet rzucając nam słowo jałmużny, odwracają od nas głowę niby przechodzień, który zna wskroś modłę kaleki-żebraka.

I ten konwulsyjny patryotyzm zasklepia nas w krecich norach, przetwarza nas w najzacofańsze środowisko, ubezwładnia wobec pierwszego lepszego sofizmu o ludzkości, bo zamienia nas w nieobwałowane niziny, które lada wylew rzeki przestacza w trzęsawiska i błota.

Patrzcież — od czasów „odnowiciela“ Polski, od czasów listopadowej rewolucji, przez lat siedmdziesiąt, trwała praca nad zohydzeniem wszystkiego, co rosyjskie, co moskiewskie! Przez siedmdziesiąt lat, zabory austriacki i pruski z emigracją popołu wyteęzały siły, aby otchłań niezmierną wykopać między tem, co jest rosyjskie, a tem co polskie!

Patrzcież na owoce tych wysiłków!...

Poznańskie z dnia na dzień radeby wpaść w takt hymnu *Boże caria chrań*, Galicya, przesycający się autonomią, spogląda na Królestwo, niby handlujący głodem wróbel na spasionego w klatce kanarka, a równocześnie zabór rosyjski bije się w piersi i zaprzysięga swą nierozdzielność polityczną z państwem rosyjskiem!

Nie w tem teraz rzecz, czy ten zwrot jest usprawiedliwionym, pożytecznym obecnie, lecz w tem, iż siedmdziesiąt lat pracy nienawiści doprowadziło w rezultacie do zera, że drżeć trzeba, aby rozmaite ekonomiczne racje i „budzące się poczucie rosyjskiej sprawiedliwości“ nie stało się drugim krańcem naszego patryotyzmu...

Patrzcież, przez lat siedmdziesiąt, budowano mur chiński, aby raz na zawsze odgradzić Polskę od Rosyi, przez lat siedmdziesiąt tam, gdzie kończyły się na wschodzie wedety polskich kresów, tam już była dla nas dzicz, tam była noc, nie mająca nic wspólnego z wiecznotrwałem światłem zachodu. I cóż się stało dzisiaj? Mur chiński, z cegieł nienawiści zbudowany, padł, a ognik wschodu urósł nam na łunę, która już nie łuną jest dla nas, lecz całą zorzą północną! I jak przedtem wszystko, co rosyjskie, musiało być dla nas podłem, nikczemnem, niegodziwem, tak dziś nawet to, co w Rosyi i z Rosyi jest istotnie podłem, nikczemnem i niegodziwem, wydaje nam się nie rosyjskiem.

Patrzcież na widome owoce nienawiści!

Na wschodzie budowaliśmy mur chiński, a na zachodzie zapomnieliśmy o słupach granicznych. Gdyby tam z kolei hakata nie rozwinęła swych wrogich haseł — poznańskie wyzbyłoby się do reszty sarmackiej jaźni.

Patrzcież na zabór austryacki! Czyż nie widzicie, że ten właśnie zabór, mimo wszelkie patriotyczne kopce, pomniki, uroczystości, pochody i konfederatki, orły białe i polskie napisy, stał się już nieomal rdzennie austryacką prowincją? Czyż nie wyczuwacie, jak, mimo pozory i deklamacje, pulsuje na każdym kroku życia galicyjskiego coś więcej niż lojalizm i coś więcej niż realna polityka i coś więcej niż umiłowanie gwiazdek na kołnierzu i hofrackich tytułów!?

A pomnicież, iż przed rokiem siedmdziesiątym, przed czasami Bismarcka, poznańskie było przepo-

jone temi samemi uczuciami, co dzisiejsza Galicya.

Czyżby stąd płynęła śmieszna racya o bacie, o knucie, jako jedynie dzielnych wychowawcach polskiego patryotyzmu? — Nie! Stąd jedynie racya, że nienawiść zaślepia nas, że gdy poprzednio całe siły obrony wyteżęła w stronę Rosyi, tak dziś radaby je w przeciwną zwrócić stronę!...

Ach, może tak nie jest?! Może nie staramy się uwierzyć dziwacznemu wymysłowi, iż, tylko dzięki woli i wpływowi dyplomatów i cesarzów niemieckich, Rosya wogóle, a Polacy w szczególności dotąd nie dostali konstytucyi!? Wszak ten bezsens ma obecnie mir u nas powszechny. Wszak my, wielcy republikanie (oligarchiczni), gotowiliśmy dowodzić, że wogóle kiedykolwiek jakiś władca dał lub da z dobrej i nieprzymuszonej woli swemu ludowi jakies ustawy liberalne, że konstytucyę może naród rosyjski, czy rosyjski zabór, otrzymać na kolendę za grzeczne sprawowanie, że władcy, bez przemocy i' zawisłego nad nimi miecza, mogą zrezygnować z samowładztwa!

Patrzcież na dorobek patryotyzmu nienawiści. Jeszcze dwadzieścia lat temu, człowiek, wołający po polsku „precz z ojczyzną“, „precz z Polską“, byłby uznanym za szaleńca, za desperata-samobójcę! — A dziś? — Dziś taki człowiek zwie się przedstawicielem partyi i to partyi, na argumenty której nie umiemy odpowiedzieć, nie jesteśmy często zdolni odpowiedzieć! Nie jesteśmy zdolni, boć patryotyzm nasz jest ogarkiem syczącym wobec pochodni tamtych!

Nic tu nie tłumaczą nas, ani niewola, ani ucisk, ani bezwładność społeczna, bo, i poza niemi, jeszcze dla chcących było zadość pola do siewu i orki. Dowodem ci, co wołają „precz z Polską!“

Gdzie i jak! Weźcież bodaj piętnastolecie Królestwa kongresowego na przestrzeni jego, względnie wielkiej, autonomii w latach od roku 1815—1830.

Rozpatrzcież się w tem, co Królestwo kongresowe zdziało dla wytepienia analfabetyzmu, co uczyniło dla ludu, co wartemi były naprawdę doniosłe jego reformy! Przekonajcież się, ile tam zmierzono czasu, ile stracono sposobności ku wzmożeniu się i odrodzeniu!

A zwróćcie oczy na Galicyę, na tę Galicyę, o której mówi się wszak, że uczyniła wiele, że nie jest zgoła podobną do swego pierwowzoru z przed lat pięćdziesięciu! I zastanówcie się, czy, po latach pięćdziesięciu, Galicya doszła istotnie do tego punktu, do którego dojść była już powinna!

Pomińcie sobie bodaj sprawę analfabetyzmu, uwierzcie, iż Galicya już uczyniła wszystko, co należało, aby tę niemoc zadławić — a zważcie dwa pytania, czemu to pięćdziesięciolecie pracy, miast zabliznić rany rusińskie, rozjątrzyło je i czemu kraj ubogi i w przemyśle i w żywiole robotniczo-fabryczny wpadł w tak silny paroksyzm socjalizmu. A odpowiedź na te pytania będzie jedna — iż patriotyzm nasz podotąd był ledwie obronnym, że tam nawet, gdzie mógł lub może być twórczym i atakującym, marnieje, murszeje i nie ogarnia dość wielkich kręgów, że całe masy wydaje na żer prądom obcym.

Prawda, ta zaledwie obronność naszego pa-
tryotyzmu wynika z klątwy niewoli — aleć i ta
niewola nie była nigdy aż tak potężną, aby już
żadna praca twórczego patryotyzmu nie mogła się
rozwijać! Obliczcie szeregi tych, którzy, mimo gniotu
zaborczych rządów, urosli na międzynarodowych
bojowników, którzy, mimo opieki duchowieństwa,
wyszli na mankietników, obliczcie no separatystów
Litwinów i Rusinów, a przekonacie się, ile ziemi,
dzięki twórczej pracy innych, ubyło nam może
nazawsze!

MY I EUROPA.

Nasze dobre mniemanie o sobie. — Bywało inaczej. — Puścizna poemigracka. — O nieznośnie trudnym języku. — Świat zabity deskami. — Nieco o czasopismach. — Widmo rozłamu w zaborach. — Nasze chluby. — Kopernik i Chopin. — Czy znaczymy wiele w Europie przez sztukę lub przez literaturę. — Prawa na forum kultury ludzkiej. — Miłostki polskie dla Turków, Anglików, Węgrów, Szwedów i Japończyków. — Nasza szlachetność na krótką metę.

MY FATHER

My father was a man of many talents. He was a skilled craftsman, a good storyteller, and a kind hearted man. He taught me the value of hard work and the importance of family. His wisdom and guidance have shaped my life in many ways. I will always cherish the memories of his teachings and the love he gave me.

Przeciętny Polak nie ma zgoła wyobrażenia o stosunku Europy do Polaków. Dzięki poczciwemu usiłowaniu dziennikarstwa polskiego, które z benedyktyńską wytrwałością w każdym zakamku świata radeby wykryć ślad polskiego pochodzenia, znak odbicia polskiej myśli, polskiej pracy, polskiej zasługi, przeciętny Polak nabiera wyobrażenia, iż w Europie, iż na szerokim świecie, dwudziestomiljonowy naród aż nadto dzielnie znaczy swą jaźń. Ale, gdy ten sam przeciętny Polak wychyli się poza zaborcze kordony, gdy osiągnie środowiska, gdzie ustaje przypuszczenie rozmyślnego zwalczania polskiego imienia, wówczas, z bólem i gniewem, postrzega, że imię jego mówi niekiedy mniej niż Irlandczyk, niż Katalończyk, niż pospolity separatysta prowincjonalny.

Tak-tak! Europa nie zna naszej geografii, nie zna naszej historii, w czem podobno tylko dorównywa nam, i nie ma wyobrażenia często nawet o tem, co istotnie zasługiwałyoby na uznanie. Europa wogóle nami się nie zajmuje i nie poświęca nam bodaj tyle uwagi, co ma dla Bułgarów, Serbów, Węgrów, Czechów, a choćby i Żydów.

Możnaby tu odrzec, iż brak samodzielności politycznej, brak reprezentacyi urzędowej, brak amba-

sadorów, posłów i konsulów, obok przeciwdziałania... ambasadorów, posłów i konsulów, przyczynia się ku temu... Tak-tak, prawda, ale niezupełna, ale nie całkowita. Nie mają wszak jeszcze za granicą przedstawicieli swoich politycznych Węgrzy, nie mają ich Czesi!... Bułgarzy zaś i Serbowie, choć mają posłów, choć sami przez się, jako oś bałkańskich sporów, stanowią żywotny materiał, lecz za to nie posiadają nic zgoła do wyładowania, do okazania na rynkach kultury...

Niegdy, póki jeszcze sprawa polska ważyła się na szali, póki od strony Wisły szły echa zamętów, póki emigracja polska nie zfrancuziała, nie znikła, nie znudziła swą monotonią, i w Europie zajmowano się nami, — dziś, mimo całej dobrej woli naszej, aby każdą igłę europejskiej filopolskości na widły przerobić, — zbliżyliśmy się do punktu, na którym naród, rozdarty na części, już przeistacza się dla Europy w trzy różne szczepy odmiennej barwy.

My łudzimy się podotąd, że trzy odmienne ustroje polityczno-społeczne, którym podlegamy, nie wywierają dość silnego wpływu, aby zdolne były nas rozczłonkować duchowo, kulturalnie! Łudzimy się wciąż, że granice, dzielące nas, są tylko linjami idealnymi, niewładnymi oznaczyć, gdzie zaczyna się poznańczyk, a gdzie kończy galicyjanin! Ani nam podobno w głowie trwożyć się, iż dwaj Polacy, z dwóch różnych zaborów, coraz mniej mają trosk wspólnych, że coraz mniej się rozumieją, choć mówią jednym językiem, że w różne strony ciążą, że, choć gotowi szukać rozradowania w myśli o przyszłym zlanu się w polityczną całość, jednak, pod-

czas, zaczynają mieć dążenia wprost sprzeczne. Nam się zdaje, że nie tylko kropla wody, padająca wciąż, ale bodaj i rylec kamienia nie wyłobi. Nam starczy w życiu nie uczuwać ruchu ziemi, aby wierzyć, iż stoi w miejscu. Nam się zdaje, że ewolucya da się uchwycić, zanim niezatartego nie zakarbuje znamienia!

I z dnia na dzień, jako naród dwudziestomiljonowy, nikniemy i z dnia na dzień schodzimy ku miejscu, że, jak dziś, każde państwo nieomal ma już swoich żydów, tak, w przyszłości, każde państwo będzie miało swoich Polaków, swoją bolączkę wiecznie ropiejącą, wiecznie rozmazaną, wiecznie mającą pretensyę o jakiś przestarzały, dawno przegrany, proces.

Europa nami się nie zajmuje wcale. Nawet w obrębie państw, do których należymy politycznie, interesowanie się nami redukuje do miarodajnych stolic i do najbliższych nam ziem granicznych.

Czyżby Europa, a z nią cały świat cywilizowany żywił ku nam szczególniejszą obojętność, — bynajmniej, — aż zbyt wielką odznaczał się ku nam sympatyą — dziś ostygł i stygnie tylko proporcjonalnie do naszego własnego wyziębienia.

Emigracya!! Emigracya polska miewała czasy świetne, świetne pod względem sił i środków. Paryż aż się trząsł, Bawarya roztwierała przed Polakami wrota naścieżaj, Anglja z emigracyą wymieniała noty, Turcya raz po raz ku niej zwracała oczy. Huku i hałasu było co niemiara.

I trzeba przyznać, że emigracya krzątała się

w lepszych a dzielniejszych swych jednostkach, że przysporzyła i chluby i pożytku i szczerzej myśli... ale... równocześnie, dała się gościnnym ziemiom aż nadto we znaki przez tych, co w wygnańczej torbie wynieśli z ojczyzny i warcholstwo, i złe instynkty i liche nałogi. Tych ostatnich było mało, lecz było aż za wiele, aby zgasić to, co emigracya wniosła w obce kraje dobrego.

Dla nas juści zostaje zawsze dorobek emigracyi polskiej — dorobek obfity niezawodnie, lecz ubogi tam, gdzie rzecz idzie o zaznajomienie Europy z Polakami, o wyłożenie jej naszej historii, naszych zasobów kulturalnych i ekonomicznych.

Emigracya polska wydała mnóstwo pamiętników, broszur (w obcych językach), mnóstwo ogni-
stych przepisów na dobre powstania i przewodników na wściekle rewolucye, duży zapas traktatów politycznych, — ale cała polska emigracya nie zdobyła się na to, aby dać cudzoziemcom bodaj jedno dzieło, spokojnie i przedmiotowo wykładające, czem ta Polska jest. Stąd rezultat prosty, że bądź Francuz, bądź Anglik, pałający najpoczciwszą chęcią pisania o Polakach, znajduje tylko epizody woj-
skowe, wygrażanie zaborcom, utwory poetyckie i wir racyj politycznych, westchnień i skarg. Stąd Francuz lub Anglik, rad nie rad, musi sięgać do tych języków, w których nie masz dla nas miejsca na sąd bezstronny. Stąd Francuz lub Anglik wcale nie znajduje ostróg dla swej chęci, stąd błądzi, wyrabia sobie fałszywy sąd, a wreszcie gubi się w tem, co polskie, a co nie polskie...

Harda myśl gotowa podpowiedzieć zdanie, że

obowiązkiem czy Francuza czy Anglika jest docierać do dwudziestomiljonowego ludu wprost...

Ba! Lecz w tem sęk, że i Anglik i Francuz, ani rusz nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy siódmym liczebnie narodem w Europie, a właściwie szóstym, bo Hiszpania w dwudziestomiljonowym ludzie ma kilkanaście wybitnych narzeczy, kilka separatyzmów, ma Katalończyków. No i w tem jeszcze sęk, że polski język jest trudnym i nie międzynarodowym, jest i tak bardzo trudnym, że nasi przodkowie woleli mówić i pisać po łacinie... Nie krzewiliśmy nigdy naszego języka, nie żądaliśmy od lenników, aby nam hołdy i adresy po polsku sztukowali, — nic przeto dziwnego, że język nasz ma tak rzadkich uczniów za granicą.

Z drugiej strony, jeżeli i potrafilibyśmy znaleźć argument na dowiedzenie, iż nieświadomość polskich spraw jest dla tych a tych ludów smutnem *testimonium paupertatis*, to wzajem, coż my naprawdę wiemy o Bożym świecie, coż my z kolei wiemy o narodzie, którego językiem mówi 135 milionów ludzi, o współczesnej Anglii lub Hiszpanii, naprzykład!? Wiemy akurat tyle, co nam powiedzą czasopisma niemieckie, a nadewszystko berlińskie, więcej to, co nam sentyment podpowie.

Boć my nie jesteśmy ani środkiem Europy, ani zachodem, ani jej wschodem, lecz światem zabitym deskami naszego krótkowidztwa. Cała nasza pseudo-europejskość polega na tem, że czerpiemy nasz światopogląd z niemieckiego alembika, że rzadziej zaglądamy do francuskiego, a coraz częściej do rosyjskiego.

Wszak ci przykładem najdzielniejszym może być machina polskiego dziennikarstwa. Wszak bez blattów, zeitungów i press dziennikarstwo to nie miałoby o czym pisać, nie miałoby bodaj ćwierci swych żywotnych spraw, nie miałoby i nie dlatego, iż te blatty, zeitungi i pressy bywają barometrem urzędowym dla rzeczy polskich, lecz dlatego, iż nie wiedziałyby poprostu, co się w Europie i na świecie dzieje!

Przeciętne czasopismo polskie, z mikroskopem w rękę szukać wyjątków, żywi się tylko dystylatem niemieckim, z małą domieszką francuskiego. Dziennik angielski, włoski, hiszpański, turecki, a już szwedzki, norwegijski, to już w redakcyi polskiego czasopisma biały kruk, z którym przeciętny redaktor nie umie sobie dać rady!

Nie dość tego, nawet blizkie nam ziemie, wprost ku nam ciążące, mające z nami ilość nieprzebraną stycznych punktów, — zawsze oglądamy przez dalekowiedze Wiednia i Berlina! Przykładem Węgry! Przykładem ościenna Rumunia! Przykładem Czechy! Któreż czasopismo polskie czerpie w tych ziemiach bezpośrednie wiadomości i drogowskazy — żadne. Bo, że o Czechach słyszemy więcej, to nie polska zasługa, lecz czeska, boć wszak to Czesi piszą po polsku sami o sobie, snać rozumiejąc w tem pożytek. I Czesi wiedzą sto razy więcej o nas, niż my o Czechach. I stąd powstaje taki dorobek, że gdy Galicya wylewa ku Czechom potoki żółci o Cieszyn, Królestwo nic się na tem nie zna, i że Czech dla Królewaków hołubi braterskie sympaty, dla

Galicjan zaś miewa akty politycznego zbliżania się z zezem ku Rusinom.

Czasopisma polskie mają swych korespondentów... w Berlinie no i w Wiedniu... bo już lichy które w Petersburgu... A zresztą, zdobywają się na zamieszczanie bądź literackich, bądź dyletanckich i bardzo amatorskich korespondencyj, zależnych nie od tego, co byłoby pożytkiem i potrzebą, lecz od tego, gdzie jakiego Polaka, mogącego czy lubiącego coś napisać, los zapędzi.

Niezawodnie, dziennikarstwo polskie nie ma subwencji rządowych, nie ma zagranicą współdziałania i pomocy rządów, nie ma niekiedy bezpośredniego interesu ani w Algeciras, ani w Portsmouth, ani w Kopenhadze, ani w Hadze, lecz dziennikarstwo ma daleko większe zadanie i dalej sięgające cele niż którekolwiek z dziennikarstw europejskich, ma bowiem obowiązek zewnętrznej reprezentacji narodu, ma obowiązek zaznaczania co kroku obecności dwudziestomiljonowego ludu.

Dziennikarstwo polskie tłumaczy to swoje zasklepienie brakiem środków — ale i dziennikarstwo nie nawołuje ku temu, aby uczynić z tej prawdy rzecz wagi doniosłej, aby bodaj wspólnymi siłami obsadzić placówkami ogniska ruchów społecznych i politycznych cywilizowanego świata! Zadanie, ciężkie dla jednego czasopisma, byłoby łatwem dla pięciu czy dwudziestu.

Lecz w naszym światku zabitym deskami jest i smutniejszy fakt do zanotowania, bo obojętność wzajemna zaborów nawet dla rdzennie polskich środowisk. Kordony, cenzury itd. wpłynęły i wpły-

wają na to, ale... ileż to lat Wilno było miastem, o którym w Warszawie pisało się rzadko, a w Poznńskim lub Galicyi wcale! Któreż to polskie czasopismo, nawet z galicyjskich, a więc nieściśnionych, obejmowało całokształt polskich stosunków, ile razy na rok wymieniało bodaj nazwy Żytomierz, Brześć, Radom, Kowno, Mińsk, Kijów! Ileż razy bez jakiejś katastrofy, awantury, nieszczęścia czy skandalu zaglądało na Białoruś, na Wołyń, a bodaj do Ozorkowa, Zgierza czy Dąbrowy górniczej?! Czy obecnie stosunki tak wiele zmieniły się na lepsze?! Czyż tłumaczenie, że czasopismo każde ma obowiązek zadawalniania upodobań swego koła czytelników, wyklucza zadanie spajania i zlewania tego, co losy rozdzieliły?...

Wytknięcie tych błędów dziennikarstwu polskiemu służy ku temu, aby ocenić tem lepiej stosunek Europy do nas.

My Europy potrzebujemy, a nie dążymy do bezpośredniego z nią zetknięcia, cóż tedy dziwnego, że Europa, która znów faktycznie może się obyć bez nas znakomicie, nie próbuje wcale nam się naprzykrzać, ani nami się zajmować. Nam przecież, nawet do informowania się o stosunkach rosyjskich, wystarczały do niedawna w Galicyi i Poznńskim niemieckie informacye (Królestwo miało usta zamknięte, a Galicya i Poznńskie nie posiadało ani korespondentów w Rosyi, ani ludzi mogących referować prasę rosyjską). Cóż tedy dziwnego, że dla Europy źródłem złego i dobrego dla wszystkiego, co polskie, źródłem godnem zaufania jest zawsze

czasopismo niemieckie, a w ostatnich czasach, i rosyjskie.

Jak my na tem pośrednictwie wychodzimy, toć co dnia możemy sprawdzić i sprawdzamy, bo oburzamy się na ignorancję, na nieuctwo, na zaślepienie cudzoziemców, z całym światem gotowiśmy iść na noże o to... że nasza własna ignorancja, własne nieuctwo i zaślepienie wydaje plon coraz obfitszy.

My i Europa! Ach, wszak raz po raz powtarzamy, iż przez płody naszej sztuki, naszej literatury, aż nadto dzielnie znaczymy naszą obecność! iż naród, który wydał Koperników, Chopinów, Mickiewiczów, Matejków, itd. itd, zadość stwierdził i stwierdza swą jaźń!...

Ten frazes pięknie brzmi, ale zbliżka...

Coś przed półtora rokiem ukazała się broszura napisana w języku polskim przez jakiegoś, bardzo nienawidzącego nas, Prusaka, który podjął zadanie pouczenia prostaczków polskich o wielkości niemieckiej i mizeractwie polskiem.

Broszura ta, mimo swej gadzinowej przędzy, doprawdy zawierała kilka dla mas polskich znamiennych uwag, może humorystycznych aż, lecz ciekawych, jak o tem, że nigdy Polak nie był papieżem, a Niemiec był...

Ta broszura bardzo niepięknie obeszła się z naszymi słońcami, a już bezwzględnie przywłaszczyła sobie Kopernika. I Kopernik rzeczywiście jest podotąd spornym... jest spornym dlatego, że alembik niemiecki głosi o jego niemieckości, protest polski zaś sięga na krótką metę... Dla dorobku zaś cywi-

lizacyi powszechnej narodowość Kopernika jest rzeczą podrzędną.

Drugą wielkością naszą, niestety również sporną, jest Chopin! — Chopin!?!... ależ tak, nasz Szopen. — Spór o Chopina jest burzą, która wisi w powietrzu, a która zerwie się natychmiast, gdy spróbujemy Francuzom dowodzić polskości Chopina!! Dotąd byliśmy delikatni, dotąd wcale nie mamy za złe francuskim encyklopedyom, że o całej polskości Chopina piszą „née près de Varsovie“... Dotąd byliśmy tak bardzo delikatni, że gdyśmy przed laty czterema stawiali Chopinowi pomnik w Paryżu (w ogrodzie Luksemburskim), to, krom roku urodzenia i śmierci, nie próbowaliśmy dodać słów „kompozytor - Polak“... bo na ten dodatek Francya by nie zezwoliła... Francya jest uprzejma, lecz spróbujmy no zażądać zwłok Chopina dla polskiego Panteonu, spróbujmy dowieść, iż mieć ojca Francuza, a potem żyć i umrzeć we Francyi, to nie dość, aby być Francuzem. Spróbujmy odwołać się na cały głos do charakteru polskiego chopinowskiej twórczości, a zobaczymy, jakie działa wytoczą Francuzi! Zwycięstwo nasze będzie wymagało wiele zachodu i nigdy nie będzie zupełnem... Nie będzie zupełnem i dlatego, iż my podotąd jesteśmy za bardzo arbitralni w stosunku do imion ludzi, którzy dobywają się ponad poziom... Więc Nietzsche jest dla nas Polakiem, choć pisał po niemiecku, a czuł po międzynarodowemu, więc Polakiem jest jakiś basza turecki, gubernator, zdaje się, w Smyrnie, choć się urodził i wychował na ziemi tureckiej, Polakiem jest książę Rudolin, choć być nim

nie chce, Polakami są dla nas ciągle ci wszyscy, którzy wynarodowili się oddawna i nic, krom nazwiska, wspólnego z polsnością nie mają i mieć nie chcą.

Jest to i nieznośnem i dokuczliwem, lecz bezwątpienia ani Kopernik, ani Chopin na moc Piotrowinową się nie zdobędą i świadectwa o swej przynależności polskiej nie złożą a więc wysuwanie ich na czoło naszych mężów nie jest bynajmniej dokumentem bezspornej zasługi czystej krwi sarmackiej.

Po za temi dwoma imionami, mamy polską sztukę, — mamy ducha potężnego, Matejkę. A dalej, mamy wiele sław, które nie zawsze mogą strzymać w tempie sławom innych ludów, albo mamy sławy, które, rozwinąwszy skrzydła do lotu, unikają akcentowania swej narodowości... i wołają wierzyć, iż sztuka nie ma związku z polityką, że nie jest sztuką czystą, gdy krępuje się względami narodowościowymi.

I artystom naszym dziwić się nie podobna.

Kraj biedny, kraj gruboskóry nawet w plutokratycznej sferze, kraj analfabetów nie przedstawia pola dla szerszych zapałów. Nawet szowinistyczne glorie artystów polskich bywają i ciężkim i niepokupnym towarem. Stąd emigracya i stąd szukanie mecenasów po świecie. A ponieważ nie każdemu udaje się trafić tak, aby pożytek własny pogodzić z sympatjami polskimi, ponieważ nie masz drugiego cesarza Franciszka Józefa, a więc i miejsca dla drugiego Ajdukiewicza, przeto trzeba wędrować gdzieindziej, zatykać uszy, opatrywać swe nazwiska

w „von“ i jeździć ad limina apostolorum do Petersburga i, broń Boże, nie zwracać uwagi na dopisek rosyjski, niemiecki, francuski...

Stąd, choć ziemie polskie wyrzucają na rynek wszechświatowy sporą gromadę artystów dużej miary, to jednak słaby z tego profit dla znaczenia polskiej jaźni, gdyż artyści ci często jedynie wówczas są bardzo skrupulatnymi Polakami, gdy ich błądząca łódź zawadzi o wykrawek polskiej ziemi.

Bo zresztą są to międzynarodowcy najpierw, a potem, w miarę potrzeby, tak dobrze Rosyanie, jak i Francuzi. Wyjątki? — Niezawodnie wyjątki i tu znaleźć można.

Emigracja artystów polskich ma nadto i drugą, może nieodzowną, może korzystną bardzo dla talentów, konsekwencyę, lecz konsekwencyę amalgamującą, boć wyciskającą na dziełach piętno kosmopolityzmu, bo podporządkowującą je pod sztandary obce, bo zacierającą indywidualność.

Dla sztuki ztąd niezawodnie zysk wielki, wszak piękno winno sobie samemu starczyć za jaźń, za hasło i za wyznanie, wszak tam, gdzie piękno stąpi, tam nikną sekciarskie różnice. Ale im dźwięczniej, im głębiej sięgniemy do wyrażenia podniosłości i niezależności sztuki, tem silniejszy znajdziemy argument dla faktu, iż przez sztukę nie znaczymy w Europie, iż, mimo sporego zastępu poważnych talentów, sztuka europejska w żadnym prądzie, kierunku czy zwrocie nie poniosłaby klęski, gdyby zabrakło jej sarmatów.

Czy lepiej dzieje się z naszymi wirtuozami, muzykami i śpiewakami?! Czy jeden Paderewski

ma przez swe obywatelskie zalety uratować tych, którzy w wędrówce po świecie szerokim skłonni są do kompromisów?! Czy doprawdy mamy prawo potępiać Sembrich-Kochańską za to, że śpiewała po niemiecku, wymawiać Reszkom petersburskie sukcesy, lub też, czy mamy prawo mnie- mać, iż nasi śpiewacy i wirtuozi, nie mając za plecami siły i współdziałania wolnego politycznie ludu, mogą nie lawirować, potrafią wszczynać spory o narzucaną im przynależność narodową, prostować błędy czy w popisach swych manifestować swój patryotyzm!?

A więc może nasza literatura pracuje w dwójnasób? Może ona właśnie jest tą wielką wyrazi- cielką naszej mocy? — Jest nią, ale ani wielką, ani taką, któraby na rynku wszechświatowym wywarła taki wpływ, który jej nasza ambicya przyznaje.

Literatura nasza, w swym najpełniejszym roz- kwicie, jest dziecięciem niewoli, jest pogrobowcem. Literatura nasza, przepojona bólem, tęsknotą i wiarą w przyszłość, zahartowana w ogniu porywów, ko- jąca rany, krzepiąca, wystawiająca niegodziwość przemocy, obrazująca minione lata wolności, wskrze- szająca Piastów i Jagiellonów, jest potężną, jest pol- ską, lecz tak bardzo polską, że zasklepioną w cier- pieniach własnych, że dla obcych niezrozumiałą w najtęższych łomotach, że dla obcych stroniczą, monotonna, obojętną.

Nasza literatura nie mogła i nie może roić je- szcze o wyruszeniu tam, kędy już nie polskie, nie rodzone, lecz ogólnoludzkie brzmia hejnały, boć dach własnego domu na głowę się wali. Nasza

literatura miała i ma potemu siły, aby się wzbicie ku ogólnoludzkim ideałom i zdradzała i objawiała je sporadycznie, ale że język jej musi być najpierw i tylko zrozumiałym dla ojczystej ziemi, przeto o niej tylko pamięta, w jej łańcuchach trwa.

A tam, na forum kultury ludzkiej, obowiązują prawa odwieczne i nieubłagane.

Tam, nie pytają nikogo, co zacytują ani z jakąd przychodzi, lecz pytają, co wnosi swego, własnego i czy wnosi do skarbnicy powszechnej coś takiego, co by karmem i dobrem było równie dla Polaków jak i Rosyan, Niemców, Włochów i wszystkich poszczególnych cywilizowanych, czy cywilizujących się ludów.

Tam dość pisać tak, jak Byron i lepiej od Byrona, tak jak Dante i lepiej od Dantego, tak jak Goëthe, i lepiej od Goëthego, tam dość jest mieć mistrza... aby już zejść do wtórego rzędu, aby stanąć poza murami świątyni Apollina.

Tam, na forum kultury ludzkiej, nie masz miejsca dla pieśni gminnej, dla dzieła patryotycznego, bo tam ojczyźnie na imię „ludzkość“.

Literatura polska, do pewnego stopnia, idzie przed narodem, ale nie może odeń odstawać, naród zaś polski, targając kratami własnego więzienia, walcząc o najprostsze, zasadnicze prawa, nie zdolen jest zdążać na równi z ludźmi wolnymi, bo i rzeka nie zdolną jest, bez zerwania grobli, zalać równiny.

I stąd literatura polska tam tylko jest wyczuwaną najlepiej i tam docenianą, gdzie w tworzyw swem jest najmniej polską, najmniej sarmacką.

I stąd dla obcych „Pan Tadeusz“ jest nadewszystko „skrzącą się satyrą“ i stąd dla obcych najdroższe, najświętsze imiona polskich wieszczów i pisarzy maleją, giną.

Wiele by można rzec o tem błędnem kole, na przebywanie w którym skazaną jest nasza literatura, wiele można by rzec i o tem, że to właśnie błędne koło jest naszą mocą i tężyzną, — aleć zawsze rezultat ten, że tam, gdzie się zaczyna forum kultury wszechświatowej, gdzie ustają nasze zapasy o niepodległość, tam polska literatura chodzi na szarym końcu Szekspirów, Cerwantesów i Szyllerów, a ledwie zdąża śladami Ibsenów, Hauptmannów, Nietzschów, Verlaine’ów, D’Annunziów, Hamsun Knutów, Dostojewskich i Maupassantów.

Dzielniejszym więc i wymowniejszym rzecznikiem o naszej jaźni byłaby nauka polska, ale tej znów nie mamy ani na wywóz, ani zadość dla samych siebie. I w tem mało jest naszej własnej winy i w tem klątwa niewoli i ubezwładnienia — aleć to nie umniejsza faktu, iż na polu wiedzy, nauk ścisłych nie wiele, lub nic zgoła, nie mamy do powiedzenia światu.

Gdybyż atoli w tych smutnych warunkach miast pychy domowej, wewnętrznej, stać nas było na ambycję reprezentacyjną, gdybyśmy umieli bodaj miną sztukować, a spożytkowywać ten nasz dorobek, który, jeżeli nas nie wieńczy laurami, toć, zważywszy na trudne warunki, dowieść może naszej użyteczności, naszej chęci! — Gdzie tam! Z roku na rok, w różnych zakątkach i ogniskach świata, odbywają się zjazdy, kongresy, wiece i na-

rady o charakterze międzynarodowym, ogólnoludzkim. Na wiecach tych i kongresach dobywają się przedstawiciele nie tylko możnych i wolnych ludów, ale i ludów ubogich i tak, jak my, skutych — o nas jeno nie słyhać. Dlaczego, dlatego, iż my udajemy się na nie bez dość gruntownego przygotowania, że my nie organizujemy odpowiednio uzbrojonych misyj, że my „boimy się“. A jeżeli zdarzy nam się raz lub dwa wystąpić godnie, jak, na przykład, na kongresie historycznym, w Rzymie, to za to przez dziesiątki kongresów zachowujemy się tak, jakbyśmy w żadnym działu zbiorowej pracy ludzkiej nie mieli nic a nic do powiedzenia.

A przeszkodą ku temu jest podobno nie tylko brak czujności, ale i nasze sym- i antypatye... Antypatye osobliwe i sympatye, wcale nie harmonizujące z gromkimi wezwaniami, które łączymy z naszymi skargami na ucisk, z naszymi wywodami o przemoc.

Więc Turcyja, państwo zacofania, nadużycia władzy i ciemnoty posiada w nas rzetelnych przyjaciół, boć Turcyja jedna dotąd nie podpisała rozbioru Polski, boć Turcyja dotąd ma porachunki z Rosyją. Więc nic nam do rzezi armeńskich, nic do prześladowania bałkańskich słowian, nic do złych i niegodziwych rządów, nic do młodoturków — sułtan ma dla nas urok, sułtan jest dla nas tym oryentalnym, bajecznym kalifem kalifów, który ocknie się, rozwinie chorągiew proroka, runie na Europę i, napoiwszy konia w Wiśle, dynastję polskich Osmanów założy!

Więc Anglja, ciemieżycielka Irlandyi, przez swe sprzeczne interesy z Rosyą wyciągającą zaborcze pazury ku Tybetowi, ma znów nimb u nas, nimb, motywowany wielkiem uznaniem dla angielskiej kultury.

Prawda, kultura Anglii jest godną hołdu, lecz i ten hołd nie usprawiedliwi dziwnego stanowiska naszego wobec Burów...

Wszak Burowie nie mieli w nas przyjaciół, wszak guerilla ich, czy wojna cała, zajmowała nas o tyle, o ile pouczała o możliwości stawienia czoła wielkiemu mocarstwu, wszak, w końcu, irytowała myślą, że Anglja traci powagę w Europie! Wszak, gdy przyszła chwila przystąpienia bądź do filoburskich zapałów, bądź do jawnego oświadczenia się za Anglją, — myśmy zdobyli się na melancholijny wykręt i sympatyje angielskie upozorowaliśmy hakatą!... Myśmy nie zdobyli się bodaj na przecięcie sprawy odpowiedzią, że w Transwaalu zarówno Burowie, jak i Anglicy, są na ziemi Zulusów zaborcami i łupieżcami, a potem, może i cywilizatorami.

Więc węgierszczenie słowian i to słowian najbliższych nam językowo nie zajmuje nas, więc, w chwili rozdziału Szwecyi i Norwegii, sympatyje nasze były po stronie szwedzkiej, więc nietylko zwycięstwo Japonii uradowało nas, ale i pogrzebanie przez tą ostatnią Korei, zdało nam się smutnym, ale konsekwentnym i słusznym aktem, więc, sprawa marokańska nie jest dla nas kłótnią wilczych apetytów o nowego barana, dotąd wolnego i całego, lecz kwestyą, dowodzącą, że Francya, potknąwszy Algier, ma większe „prawo“ do Marokka

niż Niemcy, które krztuszą się kawałkiem ziemi polskiej!

Tak — tak! Ideały, piękne słowa o poszanowaniu praw ludów, o moralności w polityce lubimy mieć dla siebie, dla siebie chcemy ocknienia się szlachetności i wspaniałomyślności silniejszych — dla innych brak nam niekiedy filozoficznej uwagi o życiu, które żywi się śmiercią.

WATYKAN I POLSKOŚĆ.

Szaniec katolicyzmu. — Zorane i zasiane pole. — Polityka kuryi rzymskiej. — Leon XIII. — Nasze wyrzekania i gorycze. — Religja i narodowość. — Następstwa tolerancyi religijnej i jedyna nadzieja, że prawosławny Synod cios opóźni. — Czyśmy gotowi? — Położenie zaboru rosyjskiego. — O tem, cośmy wiedzieli dawno, a o czem teraz rozprawiać zaczynamy. — Polskość i katolicyzm. — Punkt wyjścia. — Przypomnienie skrupułów Maryi Teresy.

Aż nadto długo łudziliśmy się przeświadczeniem, że religja katolicka będzie niezdołym szańcem, poza którym polskość zawsze pozostanie niedosięgłą dla wynaradawiających zakusów.

Dziś stanęliśmy na przełomie, doczekaliśmy się chwili, gdy coprędzej trzeba zwiąć front i pewniejszego schroniska szukać, nie dla naszych wierzeń, lecz dla naszej polskości.

I temu zwrotowi wypadków dziwić się nie powinniśmy a raczej powinniśmy się dziwić, iż przyszedł tak późno, iż tak długo nieopatrzność zaborców pozwoliła nam, pod płaszczem religii, przemycać patryotyzm.

I tego zwrotu naszego nie należy rozumieć, abyśmy powinni czy mieli stać się gorszymi, mniej żarliwymi czy mniej nieszczerymi katolikami, — nie, jeno trzeba go poczytać za prąd orzeźwiający, za prąd, który, przy naszej dobrej woli, zdolen jest i uszlachetnić naszą wiarę i wzmocnić naszą polskość i oszczędzić nam zawodów i żalów.

Tak, żalów, wielkich żalów, które, mimo pozorów ciszy, wrą w nas, burzą to, czego burzyć nie powinny.

Watykan politykował, politykuje i politykować będzie długo jeszcze. Watykan dla swej polityki

musi szukać ościeni, dla swych celów i zadań musi szukać nowych obszarów. My dla Watykanu jesteście oddawna i zoranem i zasianem i plonującym polem. Radość stąd dla Watykanu, ale radość jego większa wówczas, gdy obszar swych zbożnych niw może powiększyć, gdy, chwastem inowierstwa porośłą rolę może swemu władaniu powrócić.

Na tem opierała się, opiera i opierać będzie polityka Watykanu. Dopokąd my stanowiliśmy siłę polityczną, jednostkę państwową, potąd Watykan mógł akkomodować swe zadania do naszych lub wpływać i podporządkowywać nasze swoim. Dziś Watykan, mimo chęci sprzyjania nam i współdziałania, musi i pod wodę polską płynąć i łączyć się z naszymi ciemieżycielami.

Co tu długo rozwodzić się. Leon XIII wszelkich sił dokładał, aby monarchia rosyjska zapomniała o encyklikach Piusa IX, encyklikach tak stanowczo i gorąco mówiących do Polaków. Leon XIII, za pierwszym znakiem do pojednania ze strony Niemiec, rozwarł ramiona, Leon XIII nie wahał się szukać w protestanckim Berlinie sprzymierzeńca przeciw krnąbrnej ale katolickiej Francji, Leon XIII nie szczędził napomnień Polakom o poszanowaniu władzy, Leon XIII o tyle a probował wojowniczość katolicyzmu polskiego, o ile rząd rosyjski, o ile synod prawosławny nie przyznawał Watykanowi prawa drzwi otwartych dla propagandy.

Ta działalność Leona XIII, z punktu widzenia katolickiego, była i słuszną i sprawiedliwą. I ta działalność, może w łagodniejszych barwach, boć zwrot odpowiedni już dokonany został, zdaje się

mieć potwierdzenie i u zasiadającego dziś na stolicy Apostolskiej, Piusa X.

Powiedzmy i przyznajmy się szczerze, iż prąd obecnej polityki Watykanu jest nam nie miłym, bolesnym ale i, powiedzmy sobie zarazem szczerze, że, jako katolicy i łacinnicy, nie mamy ani prawa, ani punktu oparcia dla domagania się wspierania przez kościół naszych narodowych postulatów. Boć, jeżeli istotnie jesteśmy tak wiernymi wyznawcami wiary katolickiej, to trwać i garnąć się do niej powinniśmy, choćby nam kazano spowiadać się po niemiecku, uczyć religii po rosyjsku a śpiewać na procesjach po chińsku!... Tej zasadzie wszak dał wyraz i Rzym i ksiądz kardynał Kopp i tej zasady stara się trzymać wyższe duchowieństwo polskie i aż nadto wyraźnie tę zasadę akcentuje.

A my?! My, miast rozewrzeć oczy, miast zgłębić doniosłość chwili — wyrzekamy, pomawiamy tych a tych biskupów o zdradę, pomstujemy na zakazanie klerowi odprawiania patryotycznych nabożeństw i hymnów, należenia do „Straży“ poznańskiej i t. d. i t. d. I te nasze wyrzekania posuwamy aż tak daleko, że niewolimy dostojników kościelnych do pozorowania swych postępków, do obwijania w bawełnę tego, co właśnie najoczywiściej powinno być zaznaczaniem! — My, ani rusz, nie chcemy pojąć, że, niezależnie od serc polskich, bijących pod sutannami, — dla duchownego, dla przewodnika religijnego — religja idzie przed narodowością, przed patryotyzmem a dobro kościoła przed dobrem poszczególnej połaci ziemi. Kościół rad pamiętać o każdym ze swych wyznawców ale

kościół ma swoje zadania, dalej idące niż patryotyzm jednego ludu. I dlatego czas wielki przekonać się i przejrzeć i nie żądać tego od Watykanu, czego on, jako głowa kościoła, dać nam nie może i nie da. Z tego nie wypływa, abyśmy mieli mniej dzielnie strzedz polskości w naszych praktykach religijnych, lecz abyśmy umieli spokojnie i mężnie przetrzymać i powitać niechybne następstwo tolerancji religijnej w Rosyi...

Boć ta upragniona przez nas tolerancja, to ocalenie dla nas dwustu tysięcy dusz unickich, czujących i wierzących po polsku i katolicku, będzie miało i ciąg dalszy i ani dla polskości naszej miły ani zdrowy. Wszak ci Watykan ma obowiązek obecnie coprędzej wykorzystać tolerancję i coprędzej rozwinać propagandę na ziemiach rosyjskich. Wszak ci Watykan ma obowiązek domagać się, aby język rosyjski był jaknajszybciej wprowadzonym do kościołów katolickich w głębi Rosyi i na kresach polskich. Wszak ci Watykan musi odebrać kościołom katolickim charakter wysp polskich, musi je zrusyfikować dla Rosyan-katolików. I ten postępek Watykanu będzie logicznym i na taki postępek Watykanu winniśmy być przygotowani. Winniśmy być przygotowani, że gdy dotąd kościół katolicki był na dalekich placówkach polskich strażnicą nietylko religii ale i narodowości, w przyszłości nie będzie narodowości naszej strzegł a może ją chłonać, bo może jej nie uwzględniać. Watykan, w myśl zadania o nawracaniu i jednaniu kościołowi wiernych, wyteży siły, aby najenergiczniej dowieść, że jest dalekim od wspierania separatystycznych prądów

w państwie rosyjskiem, że szuka wyznawców, że stoi lojalnie obok władz politycznych.

Jeżeli zaś to nie nastąpi, jeżeli nie padnie taki z tolerancyi religijnej cios dla polskości, to jedynie dzięki wdaniu się Synodu prawosławnego, to jedynie, dzięki temu, że tolerancya, wobec prawosławia, zejdzie na frazes, to jedynie, dzięki wyjątkowym prawom ochronnym, jakimi prawosławie otoczy Rosyan, a ręce Watykanowi skuje. Rzec więc może pójść w odwłokę, cios może się opóźnić, lecz nie odwrócić. Rosya jest wschodem Europy, drzwiami do Azji! Rosyę dla katolicyzmu zawojować, toć znaczy podwoić świetność puścizny Piotrowej.

Czyśmy w zaborze rosyjskim gotowi i już dostatecznie zahartowani, aby stawić czoło temu niewątpliwemu niebezpieczeństwu, stawić tak, jak to czyni Poznańskie, jak bodaj, do pewnego stopnia, czyni Galicya?! Niestety, w zaborze rosyjskim, jesteśmy pod tym względem najslabsi, w zaborze rosyjskim pięćdziesiąt procent ludu polskiego wyznanie utożsamnia z religją, pięćdziesiąt procent ludu polskiego ani wyobrazić by sobie nie umiało księdza-Niemca, czy księdza-Rosyanina, bo ksiądz nie polski jest dlań i nie katolickim. Ta naiwność ludu polskiego jest obecnie i dobrą i serdeczną, ale tej naiwności dość wychylić się w Poznańskie, dość wywędrować za chlebem do Westfalii czy Prus, aby bądź zginęła dla narodowości, bądź wpa-
dła w odszczepieństwo.

Tak, Poznańskie z tem zagadnieniem najdzielniej daje sobie i da radę. Poznańskie, już i bez

współdziałania swego patryotycznego kleru, potrafi pamiętać o zachowaniu, należnem słudze Kościoła, i o odporności, należnej hakatycie, wystrojonemu w suknię duchowną.

Z mniejszym wysiłkiem energii toż samo zagadnienie rozstrzyga i Galicya, która przestaje się dziwić temu, że kler grecko-katolicki jest gniazdem niezgody polsko-rusińskiej, że kler grecko-katolicki ciąży i nawołuje ku moskalofilom, żeć to kler grecko-katolicki wydał całe pokolenie popów, którzy stawali w szeregach prawosławia i batami pędzili Unitów do cerkwi. Galicya, wolna od przesładowań religijnych, a pokrzepiona czterdziestolecieciem autonomii, ani myśli procesować swych dygnitarzów kościelnych o akty lojalizmu, o zbyt skwapliwe oddawanie tego, co jest cesarskiego, cesarzowi.

Tak, zabór rosyjski jest tu w położeniu najsmutniejszym, najgorszym. Zabór rosyjski podotąd nawykł w osobach swych duchownych przewodników mieć i szczerych i oddanych ojczyźnie patryotów. I dlatego, gdy, za wpływem z góry idącym, szeregi patryotów pośród duchowieństwa polskiego słabną, gdy akty lojalizmu się mnożą, a myśl, że sprawy Kościoła nie godzi się wystawiać na niebezpieczeństwo nowego zatargu z rządem, coraz silniejszy znajduje wyraz, — zabór rosyjski burzy się, grozi, złorzeczy!

Zamknięte przez lat tyle usta opinii, swobodnej dyskusyi, przedmiotowego zastanowienia się, nauczyły zabór rosyjski zaciskać zęby, — no i przywiodły go z jednej strony do rozpasania, do poczyny

tywania kościołów za punkty zborne dla manifestacyj, już nie koniecznie patryotycznych, a z drugiej strony, do sekciarstwa.

Bądźmy szczerzy. Wszak wiedzieliśmy dokładnie o sprawkach księży w parafjach białorusińskich, w części litewskich i w części półunickich! Wszak ci tam na dziesięciu istnych męczenników wiary i ojczyzny przypadało pięciu obojętnych, tchórzliwych, lawirujących, wypierających się wszystkiego, co mogłoby się niepodobać najbliższemu strażnikowi, — wszak ci tam, na tych dziesięciu męczenników, przypadało jeszcze i trzech nicponiów, sprzedawczyków, idących ręka w rękę z żandarmami, popami i rusyfikatorskim duchem obrusitielej!

Wiedzieliśmy o tem i nie zastanawialiśmy się, iż w istocie władza duchowna nie miała siły zabronić księdzu być złym Polakiem, gorliwym sługą cesarskim, czy bodaj rusyfikatorem! Iż zbrodnicze, w naszym pojęciu polskim, czyny księdza nic a nic nie umniejszają jego stanowiska katolickiego!

Czyż jest w Warszawie bodaj jeden wyrostek katolik, któryby nie znał dziejów przysięgi, składanej na wierność cesarzowi Mikołajowi II i stryczka przesłanego arcybiskupowi? Czyż jest w Warszawie taki katolik, któryby nie wiedział, że dygnitarze Kościoła, na równi ze wszelkimi dygnitarzami, ciążą do lojalizmu? Czyż jest w Warszawie katolik, któryby nie znał dobrych i zacnych biskupów i księży, w przeciwieństwie do złych i niegodnych!?

Do czego prowadzą te pytania? do ujawnienia, że brak trzeźwego sądu na różnice, zachodzące

między katolicyzmem i polskością, wiedzie nas na manowce wnioskowania.

Ten brak dążności do rozgraniczenia religii i narodowości podkopał pierwszą, a drugiej zagraża.

Duchowieństwo nasze bowiem, zachowując, szczerze czy nieszczerze, pozory nierozdzielności katolicyzmu z polskością, a równocześnie unikając, według odebranych wskazówek, mieszania się do spraw, zdolnych postawić Kościół w zatargu z władzą, poprzestawało na troszczeniu się o życie wewnętrzne swych parafjan, na zalecaniu im pokory, posłuszeństwa przemocy, godzenia się z przeznaczeniem i szukania nagrody i pociechy w życiu przyszłym, a tem samem oddawało swych parafjan na łaskę i niełaskę agitatorów, którzy do ludu przychodzić zwykli z ładunkiem realnych postulatów o najbardziej palących kwestyach życia powszedniego i zewnętrznego! Starczy bodaj rozważyć dzieje „samosądów“ roku ubiegłego w zaborze rosyjskim, aby ocenić, ile niemocy zdradziło nasze duchowieństwo!

I oto naraz, sprawa, której, pod grozą potępienia, nie wolno było dotąd publicznie ujawniać, i oto naraz „tajemnice“, będące od lat tajemnicami poliszynela, wysunęły się na czoło ogólnie dostępnych tematów...

Odszczepieństwo mankietników, udział księży w „Straży“, litewszczenie par force kościołów w parafjach prawie nie litewskich, hasła na lachiw, huczące w cerkwiach na Rusi, wywody o potrzebie „demokratyzacji“ katolicyzmu, niedwu-

znaczne uwagi o niskim poziomie naszych seminariów, o nadto świeckich upodobaniach pewnych księży, o braku kandydatów do stanu duchownego, o antagonizmie między klerem a luminarzami i infułatami — dobyły się niby płomień z pod popiołem zasypywanego żaru. I nic nie pomogły „objaśnienia“, uzupełniające ostatnią encyklikę Piusa X, nic dowodzenia, że wskazywanie nam na manifesty monarchy rosyjskiego jest właśnie pragnieniem naszego dobra, — ferment wzmaga się, rośnie, potężnieje. Bez względu na obozy, postulat o nierozdzielności katolicyzmu z polskością nurtuje!

Polskość i katolicyzm! Tak, byłaby to zasada łatwa do przeprowadzenia, gdyby Polska była państwem niepodległym! Ale, skoro pomiędzy katolicyzmem i polskością staje rząd zaborczy, skoro katolicyzm, w obrębie tego samego państwa, ma wśród swoich wyznawców nie tylko Polaków, ale i Niemców, ale i miliony inowierców, które ma obowiązek jednać sobie, a nie zrażać polakofilstwem, skoro katolicyzm polski znaczy się liczbą nieruchomą X, a niemiecki 2 X i więcej, w miarę propagandy, a rosyjski zerem, lecz i krociami tysięcy do zdobycia, — tedy zwierzchność katolicka nie ma dwóch dróg do wyboru, tedy zwierzchność katolicka musi iść za wskazówkami propagandy, tedy zwierzchność katolicka politykuje z Polakami, koi nasze gorycze, lecz od celu, dla miłości naszej, nie odstąpi.

Polskość i katolicyzm! Przecież na tem rozdrożu musimy chyba dojść do odszczepiństwa,

do utworzenia jakiegoś odrębnego, niepodległego Watykanowi polskiego katolicyzmu!!

Czy taka dążność byłaby godziwą, czy możliwą — toć już sprawa inna.

Rzecz w tem, iż taka dążność mogłaby raz jeszcze nas rozłamać, jeszcze na mniejsze podzielić nas części, wtrącić w odmęt walk religijnych, które by nas osłabiły, uczyniły z nas łatwiejszą do pochłonięcia masę.

I jedyny punkt wyjścia dla nas jest — nie ustępować bez walki z polskości naszego katolicyzmu i domagać się zawsze polskiego języka w polskim kościele katolickim, ale i pamiętać, że Watykan politykuje, bo musi, że muszą politykować nasi kardynałowie i biskupi, że polityka ich ma często rozbieżne z polsnością cele, i pamiętać, że i stamtąd mogą ku nam paść strzały, że i stamtąd płyną wrogie Polakom hasła, że wiara nasza iść powinna dalej, sięgać głębiej, niż jedno krótkie życie kardynała-Niemca.

A gdyby nas, mimo wszystko, opanowały złudy, wspomnijmy na Maryę Teresę... Tak, bo cesarzowa Marya Teresa miała, w chwili przystąpienia do podziału Polski, skrupuły i obawy, jak zdoła na sądzie ostatecznym usprawiedliwić swe przyczynienie się do zguby katolickiej Rzeczypospolitej. Monarchini, targana wątpliwościami, zwróciła się do swego spowiednika z zapytaniem. Spowiednik rzecz rozstrzygnął... „Wasza cesarska mość na sądzie ostatecznym nie potrzebuje z podziału Polski żadnego zdawać porachunku“. — Ta anegdotyczna opowieść jest tak dosadną, że godziłoby się w naszym pol-

skiem credo ją umieścić! I powtarzać ją sobie w każdej chwili rozgoryczenia naszego ku Rzymowi.

Domagajmy się praw języka ojczystego dla religii, i biskupów polskich dla emigracyi w Ameryce, i paljuszów kardynalskich dla Polaków, i niewolmy nasze duchowieństwo dla sprawy narodowej i nie pozwalajmy spychać się na plan drugi nawet w Watykanie, lecz, jeżeli nas spotka zawód, jeżeli cel katolicki rozminie się z celem polskim, toć nie gorszymy się, stańmy opoką pod murami Częstochowy i Ostrejbramy, wspomnijmy na prawdę, że nadewszystko jesteśmy Polakami, a potem chrześcijanami i katolikami.

ŻYDOWSKIE BEZDROŻA.

Cztery miliony sprzymierzeńców czy wrogów. — Polska tolerancja. — Czego od żydów żądamy i co im dać możemy. — Żydzi się łudzą. — O anarchizmie, komunizmie i socjalizmie żydowskim. — Rdzeń „czarnych sotni“. — Bund i ogół żydowski. — Wrogowie polskości. — Z kimże nareszcie iść chcą. — Żądajmy odpowiedzi.

Im mniej będziemy na wewnątrz mieli rozłamów, tem silniejszymi będziemy zewnątrz. Stąd wytyczną naszych dążeń winno być łagodzenie wewnętrznych zatargów, domowych waśni. Ta wytyczna obowiązuje nas tem bardziej, im zatarg jest groźniejszym, im waśń większą.

Takim groźnym zatargiem i taką waśnią jest kwestya żydowska w Polsce, kwestya przepastna, że podotąd ani rozstrzygnięta, ani szczerze oświetlona. Mamy mnóstwo potemu wystąpień antysemitycznych, filosemitycznych, lecz nie mamy prawie zupełnie wystąpień, otwarcie rzecz traktujących, bo, jak antysemita nie wskazują nam, czy wskazać się boją, punktu, na którym, według nich, cel osiągnięty zostanie, tak i filosemita nie oznaczają kresu, gdzie zupełne porozumienie z żydami nastąpi! Co zaś najcharakterystyczniejsze, żydzi sami, poza ścieraniem się z antysemityzmem i flirtowaniem z filosemityzmem, milczą, milczą uporczywie, zawzięcie. Nic z nich nie można dobyć, nic im przedłożyć, nic wytłumaczyć.

Ba, podobno, nawet wszelkie znaki zapytania pod adresem żydów są aż niebezpieczne, bo solidarność żydowska pytania takie bierze sobie za

uchybiecie, bo sternicy naszej opinii solidarności tej ulegają, drżą przed nią!...

A podczas, na ziemi polskiej, cztery miliony żydów trwa w swej zagadkowej polityce a podczas my, Polacy, podotąd nie wiemy, czy posiadamy cztery miliony sojuszników, czy cztery miliony wrogów!

Ten stan niepewności może być wygodnym dla żydów, dla nas atoli jest dokuczliwym, nieznośnym i wymagającym natychmiastowego rozstrzygnięcia.

Wszak ci chyba żydzi mieli czas się przekonać, że nikt nie myśli u nas wytaczać im procesów wyznaniowych, ani czynić zamachów na świętość ich Thory! My, Polacy, jesteśmy prawdziwymi tolerantami w rzeczach religii i jesteśmy, na punkcie inowierstwa, takimi liberałami, jakimi żydzi nie byli nigdy i nie będą. My jesteśmy postępowcami w całym znaczeniu tego słowa, żydzi zaś są konserwatystami krańcowymi. Wszak trwanie żydów na jednym i tym samym stopniu wyobrażeń religijnych, starczy chyba za najlepszy argument. Naprawdę tedy pisarze żydowscy zieją piolunami, naprawdę naukowemi sentencjami biją w dogmaty chrześcijaństwa — raczej winni spojrzeć w siebie, we własne środowisko i odeń, jako od najdawniejszej ciemni, zacząć reformę. Jeden fakt, że żyd dla chrześcijanina jest bliźnim, chrześcijanin zaś dla żyda bliźnim nie jest — rozstrzyga o tem, kędy jest postęp a kędy zacofanie.

Ale rzecz nie w tem, aby zestawiać zakon z ewangelją, a jedynie w tem, aby najsiłniej za-

akcentować, iż wyznanie mojżeszowe nie ma w chrześcijanach wogóle, a w Polakach nadewszystko, ani wrogów, ani antagonistów. Żydzi mogą być pewni i przekonani, że nikt z Polaków ani wtrącać się do ich obrzędów, ani do ich wierzeń nie będzie, jako i faktycznie się nie wtrącał podotąd.

Zdaje się, iż żydzi sami wiedzą o tem, wiedzą i o tem, że ci, nieliczni pośród nich, którzy są Polakami wyznania mojżeszowego, stoją poza szrankami, że nie ku nim idą ostrzegawcze wezwania, że nie ku nim płyną poniższe zapytania.

Żyd, stwierdzający swą przynależność polską, przecina odrazu węzeł gordyjski kwestyi — lecz tych żydów jest mało, tak mało, że na cztery miliony nie ma ich stu tysięcy! I dlatego, stawiając żydów Polaków za nawias, najwyższy czas dogadać się z miljonami żydów... jakich?... Właśnie, iż podobno nazwać ich nie umiemy... a czujemy tylko, iż, z dnia na dzień, z minuty na minutę, kwestya żydowska bruździ nam i w stosunkach socyalnych i w politycznych.

W stosunkach socyalnych żydzi dokuczają nam dlatego, iż nie współdziałają nam, iż nie łączą się z nami, nie solidaryzują, iż nie poczuwają się do obywatelskości, iż, w stosunku do nas są nieetyczni, iż, garnąc się do kultury niemieckiej, są nieczułymi dla polskiej, iż są rozsadnikami i czcicielami kapitalizmu.

W stosunkach zaś politycznych, żydzi, miast interesy polskie podtrzymywać i wspierać, paraliżują je, są krzewicielami niemczyzny i rosyjskości i łączą się raz poraz z naszymi wrogami.

językowi i polskości oddali ten sam kult, który mają dla niemczyzny i dla rosyjskości.

My, wzamian, gotowiśmy niewątpliwie uznać bogactwo i wielmożność starożytną języka hebrajskiego, — ale my nie ścierpimy żargonów, nie ścierpimy gwary, która nie jest mową „narodu“ żydowskiego, lecz nikczemnym potworkiem, lecz jakimś volapükkiem ciemnoty, zajadłego separatyzmu i złej woli.

Nad tymi postulatami zarówno my, jak i żydzi winni się dobrze zastanowić, boć tak trwać dłużej nie może!

Żydzi łudzą się, iż uda im się i w przyszłości na dwóch lub czterech stołkach siedzieć, iż uda im się, bądź przy różnie konstytucjonalizmu rosyjskiego, bądź przy ogniu jakiejś autonomii Królestwa grać się na cudzy rachunek! Żydzi łudzą się! Im się zdaje, iż zsocyalizują naród polski! Żydzi łudzą się, iż ten polski socyalizm, dlatego łączy się z „Bundem“, że wierzy mu, że zdolen jest uwierzyć w możliwość socyalizmu żydowskiego!! „Bund“? Żydowski socyalizm?! Żydowski komunizm?! Żydowski anarchizm?!

Przecież to kpina z logiki, przecież to równie śmieszny dziwoląg, jak dalekowiedztwo ślepych, szybkobiegstwo beznogich, śpiew ryb, lub lot słońi!

O anarchizmie, socyalizmie i komunizmie mówią ci, którzy w każdym tchnieniu swem uchybiają zasadom podziału pracy i zysków, którzy są wrodzonymi czcicielami kapitalizmu!...

O anarchizmie, socyalizmie i komunizmie mówią ci, którzy są osią tego, co anarchizm, komu-

nizm i socjalizm uważa za niemoralne, niespo-
łeczne!

O anarchizmie, socjalizmie i komunizmie, które są wrogami śmiertelnymi pieniędzy, procentów wszelkich, którzy nie znoszą „sprytu“ handlowego, przedsiębiorczości, pośrednictwa, lichwy ani z komornego, ani z dzierżawy, ani z narzędzi pracy, ani z oszczędności, ani z inteligencji, ani z talentów, — zagadali ci, co całą swą moc i ocalałą jaźń gruntują i utrwalają na tych właśnie, zwalczanych przez anarchizm, komunizm i socjalizm, zasadach!

Ależ nareszcie trzebaż wnikać w rdzeń żydowskich pogromów! Czarne sotnie? — zgoda; — ciemnota ludu? — zgoda; — dzikie instynkty? — zgoda; barbarzyńska polityka rządu — zgoda! Tak, tak, wszystko to są niezawodne dźwignie pogromów żydowskich — ale, poza temi dźwigniami, poza temi niegodziwemi skrami jest i materiał palny, materiał spreparowany przez samych żydów.

Chłop rosyjski, a nawet i rosyjski mieszczuch nie zna się na Lassalu, nie ma wyobrażenia o Engelsie, ani o Owenie i chłop rosyjski i rosyjski mieszczuch nie umie wytłumaczyć ani uzasadnić istoty krzywdy, która dzieje mu się ze strony żydów, ale tę krzywdę czuje, ale niesocyalność żydów na swej własnej skórze ocenia. Chłop rosyjski i rosyjski mieszczuch co dnia ma sposobność stwierdzić, iż żyd pracuje mniej, a zarabia więcej, iż żyd nie jest wytwórcą, lecz głównie i tylko przekupniem i pośrednikiem, iż żyd zasklepia się, odgradza odeń, unika go w życiu niekupieckiem, niehandlowem. I chłop

rosyjski i rosyjski mieszczuch, nie potrafiąc wyłożyć jasno swych krzywd, nie potrafiąc walczyć z tem, co jest legalnem bezprawiem, nie potrafiąc wyobrazić sobie, aby wogóle prawo mogło uleść zasadniczemu przeobrażeniu, — szuka ujścia dla swych krzywd!... Juścić tu religijny antagonizm staje się znakomitym pozorem... a jeżeli nadto, na ten podatny grunt, padnie skra z góry, ukaże możliwość bezkarności, wówczas jeden dziesiątek podżegaczy z „czarnej sotni“ starczy, aby ciemną, lecz łagodną, masę zamienić w rozbestwiony motłoch.

Żydzi się łudzą! Im się zdaje, że dość im użyć prawa w Rosyi, aby pogromy stały się legendami!... Żydzi się łudzą, iż nie w nich samych leży socyalny podkład rosyjskiego barbarzyństwa, iż przez symulowanie socyalizmu osiągną błogi spokój państwa w państwie!!

Bund może sobie być organizacją zasobną, może mieć arkana z Alliance Israelite, może być organizacją, kierującą rewolucyonizmem żydowskim, może być organizacją, której siłę chce użytkować i użytkuje ten, lub ów, odłam socyalistów rosyjskich czy polskich, może być organizacją, z którą się dana partya czy dana „władza liczyła czy liczy — ale Bund nie ma żadnego realnego celu ani dla socyalizmu, ani dla komunizmu, ani dla anarchizmu.

Zapewne, wolno nam wierzyć i powinniśmy wierzyć, iż, jeżeli Marks był ex-żydem, to i pośród żydów nie brak i dziś takich, którzyby pragnęli wspólnej własności, złamania kapitalizmu, równego

podziału zysków, zrównoważenia pracy. Ale, oddając sprawiedliwość jednostkom, powinniśmy pamiętać, że ogół żydowski z socjalizmem żadnego związku nie ma, bo socjalizm nie mieści się nadewszystko w jego religii, bo ma wroga w zakonie mojżeszowym. Tak, ogół żydowski uważa socjalizm za środek dobycia się z kąta ograniczeń, za fałę, na której można wypłynąć, której korzystnie jest poddać się, uleść bez złania, bez zmieszania!

Socjalizm żydowski jest to gra, gra ryzykowna, bo nawet wygrana socjalizmu nie mówi jeszcze nic o wygranej żydowskiej!

Lecz ta strona akcji żydów, bodaj przez nich samych jest doceniona, — pozostaje więc tylko jedna i najważniejsza, a jest nią stosunek żydów do rządów zaborczych, stosunek niegodny ambicyi narodu żydowskiego (jeżeli żydzi są narodem) i niegodny Polaków (jeżeli żydzi są Polakami) i niegodny i Rosyan i Niemców (jeżeli żydzi są Niemcami lub Rosyanami).

My wcale a wcale nie powinniśmy narzucać się żydom z naszą polskością, my wcale a wcale nie powinniśmy ich polszczyć, a jeno żądać od nich wyznania wiary politycznej i strzedz, aby nam nie kazili tego, co jest nasze i polskie, aby nie bezczęścili tego, co może być dla nich obcem, obojętnem, ale co oni szanować są obowiązani, jako choćby urojone, ale cudze zawsze, dobro.

Występmy nareszcie ten prawdziwy Wallenrodyzm żydowsko-polski! Dzień i noc strzeżmy się przed tymi, którzy, pozostając żydami, stroją się w barwy polskie, aby czujność naszą uśpić.

Przykładów!... Zapomnieliście może o petycji żydów o utrzymanie języka rosyjskiego w szkołach! Zapomnieliście może o sprawie, wytoczonej przez rodziców-żydów, przełożonym szkoły o to, że wprowadzili język polski a więc zwicznęli karierę ich dzieci... które marzą o tem, aby czempredzej osiąść tam, gdzie ich mordowano i bito!!?

Zapomnieliście może o wrogich okrzykach żydów przeciwko godłom narodowym?! Zapomnieliście o wołaniach żydów „precz z Polską?” — A przecież to jest zbrodnia!!... Zbrodnia, bo w ustach żydów takie zawołanie jest tylko zawołaniem hakatystów, obrusitielej, Tidemanów i Apuchtinów!...

Tak, my Polacy, możemy mieć siakie i takie prądy. My, Polacy, możemy unieść się, możemy w roli pepeesów czy socyal-rewolucyonistów wołać „precz z białym orłem“. Taki okrzyk, w ustach Polaka, może być wytłumaczony egzaltacją, usprawiedliwiony przejęciem się złą czy dobrą ideą — ale ten sam okrzyk w ustach żyda, w ustach żyda, mówiącego o sobie, że nie jest Polakiem tylko żydem — jest zamachem stanu, jest zamachem na nasze swobody, jest solidaryzowaniem się z tem, z czem my walczymy!!

Żydom tych okrzyków nie można wziąć za entuzjazm ku międzynarodowości, bo międzynarodowość należy tam akcentować, gdzie seperatyzm narodowościowy jest tamą dla ogólnu ludzkich ideałów. Niechże w Petersburgu, w Odesie, w Moskwie, w Berlinie czy we Frankfurcie nad Menem spróbują żydzi wołać precz z Rosyą, precz z Pru-

sami, niech tam spróbują się natrzęsać z orłów i godeł!

Żydzi doprawdy ulegli zaślepieniu, przecenili swe siły. Nie pojmują tego, iż chwilowe rozprzężenie Polaków, to ich zubożenie, sterroryzowanie niema nic wspólnego z niemocą, iż nie tylko niegodnym jest ale i nieostrożnym drażnić społeczeństwo polskie, rozkrwawiać cudze rany!

Setki można by tu jeszcze wydobyć przykładów na udowodnienie krzywd, które nam żydzi wyrządzają. Lecz nie o te krzywdy chodzi — tylko o zdecydowanie się żydów stanowcze i ostateczne, z kim chcą iść dalej!...

Bo co do nas — nas stać nie tylko na zapewnienie opieki szczeremu sprzymierzeńcowi ale i na zwalczanie jednego więcej wroga!

Spółeczeństwo polskie, wiedzione instynktem samoobrony, zbliża się bezwzględnie do punktu, na którym ustaje możliwość porozumienia się z żydami. Żydzi lawirują i żydzi nie chcą się przekonać, że niema tu mowy ani o ultrakatolicyzmie ani o gromadce, która stoi pod sztandarem zdecydowanego antysemityzmu. Żydzi tak są oszołomieni, iż nie odczuwają tego fałszu, tego udawania filosemityzmu, tego unikania odpowiedzi na kwestyę żydowską u tych, którzy, symulując postępowość, głosząc liberalizm są zawsze antisemitami ukrytymi. Żydzi, wbrew rzeczywistości, roją sobie, iż gromady polskich robotników, chodzące pod czerwonymi sztandarami, szukające stycznych z takimiż gromadami żydów, topią raz na zawsze swe antisemickie za-
pały!

Czy stąd dla żydów groźba, czy wezwanie do krucjaty? — Nie, jedynie ten wywód prosty, iż obecne stosunki żydowsko-polskie wymagają gwałtownej operacyi, iż dziś jeszcze zdrowa myśl tę operacyę może dokonać, że czy ta operacya będzie rozcięciem węzłów, czy zabliznieniem i spojeniem, obie strony zyskają, boć dla każdego społeczeństwa poznanie i ocenienie zarówno sprzymierzeńców, jak i wrogów, jest zyskiem bezwzględny.

Czy sternicy naszej opinii bodaj w tym jednym razie zdobędą się na hasło, czy i w tym razie będą bezdusznym fonografem, recytującym to, co weń siła echa wrzyczy!?! Czy żydzi, sine ira i bez wykrętów, dadzą nam odpowiedź jasną i szczerą?!

Cisza i głusza i szeplenie oklepanych frazów!?

Ależ — wbijmy sobie i żydom tę prawdę, że tu nie ma mowy o żadnych izmach, o żadnych katolickich, chrześcijańskich, rasowych czy kastowych uprzedzeniach, o żadnych ludzkich czy nie-ludzkich czynach, czy punktach widzenia — jeno idzie o wyraźne i zdecydowane wyjaśnienie, czy żydzi chcą z nami iść, czy nie chcą. Wbijmy sobie i żydom i tę prawdę jeszcze, że to sprawa ważniejsza niż umiastowienie teatrów warszawskich, niż tysiąc spraw, nad którymi głowimy się, boć to sprawa zasadnicza.

W Galicyi wchodzimy w okres powszechnego głosowania, w zaborze rosyjskim zamki całe (oby nie na lodzie) stawiamy dla rzekomego naszego odrodzenia — wyteżamy siły ku rozgałęzieniu naszego ustroju społecznego a tu, u podstaw, u pnia

samego mamy cztery miliony żydów, mamy krzew, o którym nie wiemy czy splotami swych pędów pragnie wzmacniać nasze, czy też, jest tą jemiolą pasożytną, wieszającą się lip i klonów na swój rozkwit a na drzew tych charłactwo.

NASZ SOCYALIZM.

Jurne pisklę. — Zło i dobro. — Atteńczycy rodem z Beocyi. — O utopiach i hasłach zachodu. — Obrona klas pracujących. — Francya. — Międzynarodowość w życiu robotników. — Proletaryat. — O Polsce socyalistycznej. — Rodowód Atteńczyków. Przegrana partya. — Zubożenie robotników. — Socyalizm, jako pełnia teoryi. — Wycofane z użycia stare karabiny. — Oszczędność we Francyi. — Lichota polskich pracowników i próżniactwo. — Ambicje Herostratowych rycerzów.

Młode to bardzo pisklą ów nasz socyalizm, jedno z najmłodszych w Europie, aleć już tak jurne i zadzierzyste, iż, czuj duch, bez arsenału argumentów, lepiej w mysią jamę się zaszyć, w bezbarwność wystroić niż stanąć oko w oko na mównicy, choćby tylko z pepeesem.

I dla tej jurności, zadzierzystości i odwagi przekonań socyalizmowi naszemu należy się szacunek. Szacunek należy mu się jeszcze i za energję i za szczerotę, którą całemu społeczeństwu dojął i którą potężnie do poruszenia go z zaśniedziałości się przyczynił. Lecz obok szacunku należy mu się i potępienie, potępienie nie za tezy, nie za programy socyalistyczne, lecz za politykę, za uchybianie sprawom polskim, celom narodowym, a więc i socyalizm obejmującym.

Klątwą naszego socyalizmu są atteńczycy, atteńczycy, którzy, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dźwignąwszy się na wyżyny ideowości, wracają do ojczystej Beocyi uzbrojeni, w Marksów, Engelsów i Spencerów i zaczynają pracę twórczą tak, jakby ziemia polska nie była domem niewoli i analfabetyzmu.

Atteńczycy nasi wprost z Zürichu, Halli, Milhausy czy nawet Petersburga zjeżdżają do kraju

obładowani humanizmem i ogólnoludzkimi prądami i objawiają swemu, nie umiejącemu chodzić narodowi, że trzeba, aby tańczył i że wogóle chodzić nie potrzebuje wcale!

Spółczeństwo nasze, żywiąc całe uznanie dla tych swoich atteńczyków, na taki ład zgodzić się nie może, — atteńczycy nasi wpadają w pasyę, zieją potokami żółci i jadu, ba, a co gorsza, wiodą na utopje tłumy robotnicze.

Na utopje?! No tak, boć nasi atteńczycy socyjalizmu zgodzą się chyba, że socyjalizm to poprostu bękart anarchizmu, że socyjalizm nie dorasta do pięć anarchizmowi, że cały doktrynerski „kapitał“ Marksa nie wart jest jednej strony ideologii Bakunina, że tam, gdzie socyjalizm sięga po berło, tam się zaczyna albo farsa, albo najstraszniejsza niewola, bo upaństwowienie nietylko mieszkań ludzkich, ale nawet i żołądków.

Na utopje?! — No tak, boć nasi atteńczycy chyba czują to i rozumieją, że my, Polacy, pierwsi w Europie zapalimy illuminacye i na cześć ogólnego rozbrojenia i braterstwa ludów, i federacyi, i równouprawnienia najszerszego... byle... byle tylko ten dzielny przewrót nie zaczynał się od nas, byle jaśnie oświeceni Beble i Jauresi, a choćby wielmożni Pietrowy czy, Iwanowy ład ten u siebie już zaprowadzili. Ba, my nawet gotowiśmy i zacząć, gdybyż jeno był dach własny nad głową, gdybyż nie okoliczność, że każdy z naszej strony krok do braterstwa musi być albo zmoskwiczeniem albo zniemczeniem.

Hasła zachodu!/? Każde podniosłe, wspaniałe,

każde tak świetne, jak palmy nicejskie, jak cyprysy genueńskie, jeno jak te palmy, jak te cyprysy skazane na zwiędnięcie w naszym klimacie.

Hasła zachodu! Któżbo doprawdy z ludzi, siako tako okrzęsanych, wzbraniałby się od pokłonu i hołdu przed majestatem tych hasel. Któż z nas, Polaków, nie roi, aby i nas stać było na orzeczenia w rodzaju: — prawo? — prawem może być dla mnie to, co uznaję, czemu poddam się dobrowolnie, lecz prawem dla mnie nie może być to, co mi rozkazuje, bo to, co mi rozkazuje, jest przemocą; parlament jest dobrem panującej większości, a więc krzywdą uciemnionej mniejszości, a więc złem, które należy zwalczać na równi z autokratyzmem; państwowość jest przejściową formą ustroju, im prędzej zginie, tem lepiej dla przyszłości; narodowość musi stopnieć na wyższym szczeblu, którego miano ludzkość...

Tak, narodowość musi stopnieć! I my, Polacy, podobno wcale a wcale nie będziemy wzbraniałi się przed wskoczeniem do tygla ludzkości, spławimy się w nim chętnie, ale chcielibyśmy nade wszystko mieć coś do spławienia, do złożenia na ołtarzu wszechdobra i nie chcielibyśmy, aby nas spławiono w pojedynek... i tylko nas!

Krótko mówiąc, nasi atenczczyki sześćdziesiąt razy na minutę zapominają o tem, że nasza biedna, skołatana ziemia odstała społecznie od Europy, że chodzi w kajdanach analfabetyzmu, że szamotać się musi o to, co ma najostatniejszy z proletaryuszów rosyjskich!

I nasi atenczycy schodzą ku tłumowi i uświadamiają go i walczą pod dewizą prawa dla pracy...

I w tem bezwzględnie wiele dobrego. Tak, — stosunki robotnicze u nas domagały się i domagają uzdrowienia. Z kapitalizmem trzeba iść na ostre, bo kapitalizm niczego dobrowolnie robotnikowi nie da. Strejki, żądania, ośmiogodzinny dzień, organizacje pracowników, samopomoc, solidarność — tak, to potrzebne, to doniosłe, to nieodzowne... Przed takim socjalizmem głowę schyla każdy rozumny człowiek, bo i każdy rozumny człowiek musi przyznać, iż, skoro przedsiębiorca, fabrykant ma prawo dowolną stawić cenę na swój produkt, skoro przedsiębiorcy, fabrykantowi wolno, bez krępowania się, zawierać umowy, syndykaty, wywoływać zniżki i zwyczajki, to też same prawa przysługują robotnikowi. Ta zasada jest prostą zasadą sprawiedliwości i sprawiedliwości tak oczywiście, iż można jej słusność ocenić i bez Marxa.

Jeżeli socjalizm nasz pretenduje atoli, iż on niepodzielnie zasłużył się w obudzeniu świadomości pracowników, że ich spoił i zwał, — to niech w tem przekonaniu wytrwa. Dla porządku jednak przypomnijmy sobie bodaj jeden fakt ze stosunków Królestwa.

Przed laty siedmioma, jeden z młodych publicystów podjął niewdzięczną podówczas i mozolną pracę okazania społeczeństwu polskiemu okropności stosunków pracy w naszych instytucjach. Przez szereg miesięcy gromadził cyfry, listy płacy, kupował bilanse i rozpowiadał o nędzy, o wyzysku, o niedoli pracowników kolejowych, bankowych,

przemysłowych... Artykuły te bodaj że pomną ci, o krzywdy których ów publicysta się upominał. Artykuły te godne są zaznaczenia dlatego, iż żaden z ówczesnych organów postępowych drukować ich się nie odważył, iż nawet organ jednego z najwybitniejszych naszych socjalistów na ten wykład uwagi zwrócić się nie ośmielił..., a to z przyczyny, iż na artykuły te jeden jedyny tygodnik ultrakatolicki i antisemicki się ryzykował. Kwestya wskrós socyalna, kwestya, która wywołała ruch pośród setek ludzi, kwestya, traktowana bez wszelkiego zabarwienia klerykalnego czy antysemitckiego, u ówczesnych socjalistów nie znalazła ani echa, ani współdziałania.

Ten nawias niech posłuży za uwagę, iż i poza Marxem dążność w kierunku poprawienia stosunków pracy była u nas silna.

Zresztą mniejsza, kto i kiedy dzwonił na kazanie, dość że zwrot nastąpił. Zwrot ten wszakże przekroczył granice, i zwrot ten zboczył na manowce, bo, przez swe wygórowane żądania, doprowadził przemysł do ruiny, bo wpadł w międzynarodowość, bo walkę wewnętrzną przeniósł na zewnątrz, bo pograżył się w takim wirze polityki, że polepszenie bytu klas pracujących nieomal po-grzebał.

Póki robotnicy stawiali fabrykantom żądania logiczne, póty strejki były aktami pożytecznymi, póty można było cieszyć się, iż podział pracy i zysków godziwsze przybiera formy, — ale, skoro ciż sami robotnicy, zaczęli żądać od swoich chlebo-dawców... zniesienia stanu wojennego, konstytucyi,

autonomii, konstytuanty, gdy strejk stał się nieustannie powtarzaniem manifestacyami politycznymi, wówczas to, co winno być się stać pożytkiem, dobrem, bogactwem, zeszło na gorszą od dawnej nędzy, na gorszy od dawnego rozbrat i rozłam.

Socjalna rewolucya? Narodowość i socjalizm? Polska socjalistyczna! Precz z Polską — niech żyje proletaryat?!... itd. — Też są zawołania, któremi samobójstwo strejkowiczów ma być uzasadnionem, a błędy podstawowe naszych socjalistów mają nabrać racyi stanu!

Tymczasem, miast kruszyć kopję o to, że socjalizm jest ruchem ekonomicznym, wewnątrzspołecznym, że nie może i nie powinien udawać ani międzynarodowości, ani gnębić ani podejmować zadań narodowych — godzi się rzucić okiem tam, gdzie socjalizm zażywa pełni obywatelstwa i przyrzec mu się z bliska.

Więc Francya. Wszak socjalizm tam rządzi, wszak ma tam i swoich ministrów i podobno swoich prezydentów. Do czegoż doszedł? Do bardzo wielu czysto wewnętrznych zdobyczy, zdobyczy tych strzeże, zdobycze te kultywuje, stara się hydrę kapitalizmu uczynić jaknajmniej szkodliwą, zabiega o kurę święteczną na stole pracownika i ani myśli cokolwiek ustąpić ze swej francuskiej przynależności, indywidualności.

Socjalizm francuski ma uśmiech dobrotliwy dla zapalów komunistyczno-anarchistycznych, radby ucałować antimilitarystów — ale podczas, choć ze łzami krokodylemi w oczach, ładuje do więzień anarchistów i komunistów z antimilitarystami po-

społu a, choć wzdycha przy podwyższaniu budżetu wojskowego, podpisuje go i uchwała i daje się doń, mimo pozornych grymasów, przekonać zawsze.

I socjalizm francuski czyni to nie dla tego, aby był niedołęznym, słabym lub niedość energicznym, jeno że jest konsekwentnym i pewnym, iż kwiatek, choćby się zwał, wszechludzkość i międzynarodowość, także musi baczyć, aby go przy-mrozek nie zabił przedwcześnie i wraz z łodygą nie zniweczył.

Wprawdzie pan Jaurès odbywa z panem Beblem zjazdy i narady w Brukselli, odgraża się, iż socjaliści nie dopuszczą do wybuchu wojny... ale ani jeden ani drugi w to nie wierzy i głośno wyznaje, że, w razie niebezpieczeństwa... musi dać pierwszeństwo swym uczuciom patriotycznym...

Międzynarodowość proletaryatu?!.. Solidarność wszechświatowa robotników?! To doprawdy tak wytarty szeląg, że chyba na jednej ziemi analfabetyzmu społecznego, na ziemi polskiej, może mieć wyznawców!!

Bo kto naprawdę i raz jeden wniknął w istotę wściekłości, z jaką robotnicy francuscy mordują, poniewierają i prześladują robotników włoskich, kto raz jeden sięgnął, czem jest owa międzynarodowość proletarjacka wobec cichych i wytrwałych chińczyków lub irlandczyków, ten dostatecznie świadom jest tego, że braterstwo proletaryatu tak, jak i braterstwo narodów, ma jeszcze ściśle zakreślone granice polityczne i ekonomiczne. No a granic tych nie zburzy zapewne taki proletariusz, który, jako inteligencja, jako oświata, jako kwalifikacja

pracy, jako dojrzałość obywatelska, „jest niemożliwym.

I któż to jest ów polski proletarjat? Czy gromadą bezdomnych niedołęgów, nieużytków, które na ciele najzdrowszego organizmu pędzą pasożytniczy żywioł? Czy, pod mianem proletarjatu ukrywają się może ci tylko, których dążeniem jest „burżujów“ zamienić w proletarjat a proletarjat wypromować na „burżujów“?... Któż nareszcie ma prawo zwać się proletarjuszem? Jakiż ku temu trzeba mieć cenzus intelektualny a jakiż cenzus majątkowy!?... Boć być dzieckiem niedoli, ciężkiej walki o byt, a nie ugiąć się, nie opuścić rąk toć bodaj tyle, co być „burżujem“...

I ten dziwny a pośpieszny sąd, to dowolne dzielenie społeczeństwa na proletarjat i klasy uprzywilejowane, to sztuczne budzenie antagonizmu do urojonych nieprzyjaciół jest klątwą naszego ruchu socjalistycznego. Jest tą samą klątwą, jak i dziwołagi o międzynarodowości, jak wypieranie się patriotyzmu, jak łączenie go, assymilowanie z socjalizmem. Ten obłąd jest równie niebezpiecznym dla naszej niepodległości, jak każdy fanatyzm sekcjarsko-religijny i jest o tyle groźniejszym, że gdy fanatyzm religijny znaleźć może punkt wspólny w dogmacie, fanatyzm socjalny posiada u kresu rozbieżność warunków ekonomicznych.

Dotąd, dopóki świat dzieli się na Francuzów, Niemców, Rosyan, Włochów, Anglików itd. dotąd i my najpierw musimy być Polakami a dalej dopiero możemy dzielić się tak, jak nam się podoba; najpierw musimy wspólnie dbać o całość dachu

nad głową a dopiero wolno nam myśleć, komu jaki kąt w domu się należy. Dachem jest cel narodowy a kątami idee socyalne. A niechby się idee socyalne jaknajgoręcej kątami izb polskich zajmowały — ale niech nie sięgają tam, gdzie ani ich prawo, ani ich zadanie, ani siła.

Polski socyalizm!?! Polski socyalizm ogarnia niepodległość, odrębność narodową Polaków?! — Nie — nie ogarnia, nie ogarnia, choćby się jeszcze dziesięćkroć razy sam do tego przyznał, choćby najszczerzej tego pragnął. Bo cel narodowy jest takim celem, do którego bezwzględnie, żywiotowo dąży 20 milionów ludu polskiego — cel zaś socyalistyczno-narodowy jest celem grupy, gromady, która uzależnia dobro powszechne od dobra gromady. Gdyby polska partya socyalistyczna istotnie myślała o Polsce, bodaj socyalistycznej, toć wcale a wcale nie posuwałyby się do wrogich wystąpień przeciwko tym, którzy swą polskość zaznaczają. Polskiej partyi socyalistycznej nic a nic nie przeszkadzałyby pochody, wiece i wyznania polskiej wiary!.. Polska partya socyalistyczna widziałyby w tem atut dla siebie, wzmożenie się! — Polska partya socyalistyczna nie dopuściła by do nonsensu dzielenia Polaków na socyalistów i narodowych demokratów, zważywszy oczywistość, że pierwszy powinien być i drugim a drugiemu wolno nie być pierwszym. Podział taki u nas jest kwiatkiem na kożuchu. Podział taki we Francyi, w Niemczech, gdzie każdemu obywatelowi wolno być i całym Francuzem i całym Niemcem, jest uzasadniony, bo, pod mianem narodowców, kryje już szowinistów, często

wsteczników lub wyznawców odrębnej gospodarki wewnętrznej. U nas, gdzie byt polityczny musi być alfą, o którą opiera się każdy, poszczególny dział rozwoju — przeciwstawienie takie jest karykaturą logiki.

Nasi socjaliści chyba słyszeli o tem, kim był Zelabow? Otóż, godziłoby się im pamiętać, że ten znakomity socyal-rewolucyonista póty bronił się, póty zwalczał akt oskarżenia, póki na okrzyk jego — „Jako i wy, Rosyaninem jestem!” — sala, wypełniona żandarmami, nie warknęła złowrogo... Tu Zelabow padł wyczerpany na ławę, rozumiejąc, iż nie ma dyskusyi z ludźmi, zaprzeczającymi mu najprostszyc uczuć.

Lecz z jakichże to żywiołów składają się nasi socjaliści?!... Z atteńczyków u steru, u wierchołka, a z zaślepieńców, z bezkrytycznych fanatyków u spodu. Miazgi zaś trzeźwej brak im — brak.

I atteńczykom naszym nie dziwić się, iż tak myślą, jak myślą, wychowały ich wszak bardzo wyjątkowe stosunki — wychowały ich czasy przesładowań, wychowało tchórzostwo uczuć narodowych.

Wniknijmy w życie przed laty dwudziestu naszej młodzieży. Wszak, pomimo „patriotyczności“ rodziny polskiej, taż sama rodzina pracowała z całych sił na to, aby w swych synach przytłumić żywość uczuć, aby, broń Boże, nie dać im narazić się... I rodziny polskie dziesiątkami całymi stały swych synów do Rosyi, do Niemiec, do Szwajcaryi, aby, zdala od terenu walki kształcili się... I młodzież nasza kształciła się, wzorowała na tych, którzy,

mając w bród i chleba powszedniego i mięsa, myślą o wetach... I do kraju wszystkimi porami napłynął nie tylko socjalizm, lecz i doktrynerstwo, lecz utopje, owe wielmożne ideały, owe figle akademickie, zdolne zaprzeczyć nie tylko pojęciu o tem, co jest dobrem, złem, pożytecznem a godziwem, ale i zaprzeczyć pierwszemu z brzegu fizycznemu zjawisku.

I ta młodzież wytworzyła właśnie to pokolenie atleńczyków, rezonerów, frazesowiczów, nie znających ani swego własnego ludu, ani swego kraju, ani ponurej rzeczywistości porania się i walczenia z tem, o co nie potrzebuje walczyć nawet muzyk rosyjski.

A, nadobitek, ta młodzież znalazła jeszcze współdziałanie innego swego odłamu a mianowicie tych, których za książkę, za skrawek papieru wychowywał Szliselburg, Cytadela i wygnanie. Ten odłam męczenników barbarzyńskiej przemocy, męczenników ślepego despotyzmu w jurtach jakuckich spotykał się, obcował z bólem rosyjskim, z tym bólem, któremu obcym jest patryotyzm, z bólem, który patryotyzmu, jako już zdeprawowanego na narzędzie władzy, nieznosi, niecierpi, nienawidzi. I ten odłam męczenników polskich dał się porwać owemu bólowi rosyjskiemu, boć miał go sobie za większy od własnego, za wszechludzki. I ten odłam męczenników dał się nawrócić na prawosławne wyznanie wiary politycznej i społecznej i zamarzył o wspólności niedoli, o potrzebie równorzędnego działania i zwalczania wspólnego wroga i kołatania o też same przywileje.

Podczas, na ziemi polskiej sprawy robotnicze układały się ociążale, dola klas pracujących była istotnie smutną, gorzką. Polski robotnik miał najczęściej za chlebodawcę bądź Niemca, bądź żyda, bądź mieszzańca, który jeszcze miłości obywatelskiej dla polskiej ziemi nie żywił a sympatij dla cudzoziemskiej swej kolebki nie stracił. I stąd stosunki robotnicze układały się ciężko, bo i ci nieliczni przemysłowcy polscy, ci nieliczni, którzy do serca brać chcieli potrzeby robotnicze, ci znajdowali tamę w konkurencyi i obojętności większości a znajdowali mur w postaci inspektorów fabrycznych. Opiekuńczy rząd rosyjski poddał zakłady przemysłowe kontroli, kontroli, której celem i zadaniem było nie zezwolić nigdy na żadne porozumienie między chlebodawcą i pracownikiem. Wszystko odtąd w tym kierunku dzieć się mogło z rozporządzenia inspektora... Więc daremnie fabrykant godził się na żądania robotników, daremnie robotnicy czynili fabrykantowi ustępstwa — inspektor nie dozwalał, nie dopuszczał nawet cienia pojednania a natomiast, w najniestosowniejszej chwili, dyktował swoje prawa... Celem tych praw było wdrożenie robotnikowi wiary, iż jedynie pieczołowitości rządu winien jest obronę swych potrzeb, iż chlebodawca każdy jest jego bezpośrednim i nieubłaganym wrogiem.

Jakoż robotnik zaboru rosyjskiego był bliskim uwierzenia w szczerotę opieki cesarskiej, uwierzyłby jej może całkowicie, gdyby nie porywy satrapów, którzy, wpadając w zapał utożsamniania strejków z polskimi buntami, — zaprzepaszczali jezuickość

programu i uczyli robotników równej nienawiści do fabrykantów i chlebobawców, jak i do samych siebie.

Na ten zsocjalizowany i podminowany materiały padły hasła atenczyków, hasła, rojące o czemś potężniejszym niż rok 1848, boć wypowiedające walkę nie tylko autokratyzmowi, nie tylko biurokracyi ale i wszystkiemu temu, z czem zachód Europy dotąd rozprawić się nie zdołał, z czem uwieźął na znaku zapytania.

I polski socjalizm zaboru rosyjskiego wyrzekł się ostentacyjnie myśli o swej odrębności politycznej, wyrzekł się i Galicyi i Księstwa Poznańskiego i wszelkich praw do ziem Podola, Litwy, Wołynia i Ukrainy i stanął na gruncie braterstwa z Rosyą, na gruncie troszczenia się i walczenia o równe prawa dla całej monarchii carów.

Chwila klęsk wojennych była znakomicie wybrana. — Rząd drgnął i zagadał o ustępstwach, widmo solidarnych strejków stało się dlań widmem upadku... Już nie jedna kwestya robotnicza, lecz tysiąc kwestyj naraz targało stopniami tronu...

Socjalizm rozpierał się, panoszył i przybierał postawę dowódcy. Bez niego, w jego mniemaniu, nic się nie działo — ruchy Finlandyi, mordy armeńsko-tatarskie, bunty wojskowe itd. wszystko to socjalizm brał na karb swej mocy, swej zasługi. Ludziom szło o cel, o przywileje, o prawa, nie ścierali się więc o te laury, unikali rozdzwiku, starali się zlewać w związki i związki te znów między sobą spajali...

Socjalizm wpadł w manję wielkości, nie poj-

mując zgola korzyści, jakie nastęrczała mu panika rządu, który miał przesadzone wyobrażenia o sile rewolucyi a który nie był pewnym wojska... Socjalizm ogłosił nowy strejk powszechny... i strejkiem tym ogłodził samego siebie, i strejkiem tym odsłonił wszystkie swe słabe punkty, i strejkiem tym zniweczył krwawy dorobek milionów.

Strejk powiódł się częściowo tylko, strejk wywołał rozłam wewnętrzny i doprowadził do sprowokowania przez rząd wybuchu rozruchów w Moskwie, rozruchów, które tysiące ludzi wydały na rzeź, a rząd pouczyły, iż wojsko trwa przy nim...

I odtąd rząd zmienił front, boć mieć wojsko znaczy panować i rozkazywać... I odtąd rząd tyle akurat myśli i troszczy się o dotrzymanie przyrzeczeń, ile te przyrzeczenia mają dla kapitalistów zagranicznych wartość ewikcyjną...

A socjalizm? Socjalizm, widząc swe plany zburzone, wpadł w terror, w terror, zwrócony, jak u nas, nie tylko przeciwko autokratyzmowi ale i przeciwko wszystkiemu, co w kraju nie zmarniało, nie wyszło na dziady, nie uznało Marksa...

Socjalizm rosyjski szamocze się, jeszcze odgraża się wiosną, jeszcze marzy o wyrokach, choć podobno rozumie, iż bodaj dziesiątek mordów politycznych nie ocali go już od wieloletniej niemocy, iż na jedno skinienie rządu, miliony muzyków, za ochłap ziemi, pójda mordować miasta, równać z ziemią ogniska socjalizmu, tępić bez litości każdą niezdeprawowaną myśl, każdy nie zgięty kark.

A socjalizm polski!?... Socjalizm polski w swej zaciekłości nawet nie chce postrzedz, iż stał się

nieomal narzędziem terroru rządowego, uprawnieniem kozacko-skałonowskich represyj, okazyją do podsycania w Rosyi przeświadczenia o polskiej intrydze a sobie samemu wrogiem i zabójcą.

Socjalizm polski nie pojmuje swej porażki, nie widzi, iż bezwzględnie zubożył polskiego robotnika, bo, przez nieopatrzność strejków, doprowadził do podwojenia cen najpierwszych potrzeb a więc na zero wy kierował podwyżkę płacy zarobników; bo zrujnował przemysł, otworzył granice dla wwozu, a więc zmniejszył zapotrzebowanie pracy, a więc na nędzę skazał tysiące rodzin!

Socjalizm polski nie pojmuje, iż jego terror z dnia na dzień przysparza mu wrogów, iż, drażniąc uczucia narodowe, gotuje dla samego siebie mogiłę, iż z dnia na dzień zdwaja szeregi swych wewnętrznych przeciwników.

Socjalizm polski myśli, iż dotrze do bezrolnego włościactwa! Socjalizm pewno nie zawaha się użyć tu bardzo prostego środka i obwieścić. Kto chce ziemi, kto chce mieć własną chatę, własny zagon, ten niech idzie z nami! I socjalizm polski znów polskiej ziemi wyrządzi niezawodnie wiele złego, ale ludowi bezrolnemu dobra nie przysporzy. Dlaczego?! Czyżby u nas klasa „wsteczników“ była tak potężną, aby zmogła ruch bezrolników? Nie. Jenó, że najpierw rząd zaboreczy nie dopuści do zmiany stosunków, a powtóre, bezrolni albo wpadną w silniejszy od obecnego klerykalizm, albo powiększą kadry bezcelowych gwałtowników, z którymi już i socjalizm się nie upora, jak zresztą i dziś

uporać się nie może z nadużywaniem swego imienia dla pospolitego rabunku i rozbojów.

Socjalizm polski zaboru rosyjskiego, miał być tem, czem być powinien, stopniem (jednym z niższych), wiodącym do rozwoju, stał się ciasnem, tyranizatorskiem doktrynerstwem, nie liczącem się ze stosunkami, z warunkami. Socjalizm ten dla tłumu głodnego, egoistycznego, ma niby na przynętę polepszenie jego bytu, ale ma to tylko, co zapewnia każdy godziwszy ustrój społeczny, ale i ma dlatego, aby ten tłum za sobą pociągnąć i zamienić go w miazgę, w mięso dla armat, karabinów i nahajek! A dalej — socjalizm polski ma tylko to, co ma każdy socjalizm, a więc niewolę, tylko przemoc, tylko szpiegostwo, biurokratyzm i autokratyzm gorszy od samowładztwa cesarskiego; bo samowładztwo jest choć tą wielką, niezdarną, pierwotną młockarnią, która, bijąc na oślepy snopy, nie ma możności wszystkich wyluskać kłosów — socjalizm zaś jest tym wymyślnym aparatem-argusem, żadnemu nie przebaczącym ziarnu. A dalej — socjalizm polski jest tym jednostrzałowym karabinem, który w rękach dzikiego murzyna, nabiera wartości ostatniego wyrazu mechaniki puszkarskiej!

Tak, socjalizm, jako pełnia teorii, nie jest nawet tem światłem, które by zdolne było dźwignąć nas, bodaj w skórze międzynarodowców, ku lepszemu ustrojowi, — bo socjalizm, jako pełnia teorii, jest burzujstwem, ciasnotą, jest strzępem wielkich myśli, jest już miernotą.

Podznaczmy wyrażenie jako pełnia teorii,

podznaczmy je dlatego, iż nawykliśmy bezwzględnie wszelkie robotnicze ruchy utożsamiać z socjalizmem, iż nawykliśmy, nie wiadomo dlaczego, każdą dążność do sprawiedliwszego podziału zysków zapisywać na dobro socjalizmu!

My, na ziemi polskiej, żyjemy w warunkach wyjątkowych, my tu musimy być tymi rolnikami, którzy, napatrzywszy się z poza płota siewnikowi sąsiada, sięgają po płachty i z miłością cerują je i łatają — łatają, bo w nie przyjdzie ziarna sypać i z nich garściami siać... I my, jak ci rolnicy biedni, znamy doskonałość siewników ale my, jak ci rolnicy, zniewoleni jesteście nasze płachty podarte i z miłością je cerować...

I tych prawd wzbraniają się poznać, atłascy menezysy socjalizmu.

I tym menezysom zdaje się, iż, wysuwając stare prawdy o małej wartości patriotyzmu, o wszechświecie, ludzkości, odkrywają Amerykę, że kształcą lud, że go nie odrywają od płachty siewczej, bez której ten lud nie zdolny jest nigdy zarobić na siewnik.

I lud słucha — i zdaje mu się, że istotnie socjaliści niemieccy, rosyjscy lub francuscy uczynią dlań coś, coś poświęcą, coś wywalczą!! I lud myśli, że doprawdy pan Bebel jest tą siłą, która zgniecie hakatę, że socjalizm Gorkiego przeszkadza mu w żywieniu ku Polakom, lekko mówiąc, niechęci, że socjalizm udaremni wybuchy *judenhecy* i *pohlenhecy*, że ten socjalizm jest już tem braterstwem ludów, które, w imię tego braterstwa, bez upominania się, bez sporów i walk,

będą oddawały sobie wzajem obszary nieprawnie nabytej ziemi a współzawodnictwo ekonomiczne przekują na berło miłości bliźniego!

Bo i lud polski zaboru rosyjskiego nie dźwignął się jeszcze tam, gdzie sięgnął lud poznański, ten lud, który już zrozumiał, że i za socjalizmem staje hakatysta, że socjalizm ma swą rację bytu na krótką metę poprawienia i unormowania bytu i że klątwa niewoli wymaga, aby i ten mały socjalizm był patryotycznym i aż do zapamiętania o tradycje narodowe zazdrosnym.

Tak, tak socjalizm! A zatem i zasada przeciwdziałania nadprogramowej pracy, przeciwdziałania gromadzeniu przez jednostkę bogactwa, zmuszanie jej do wydawania, do nieoszczędności...

No tak, i w tym kierunku, naród polski jest zupełnie socjalistycznym... bo pracuje mniej niż wymaga program, wydaje nad stan zawsze, no, a o oszczędności myśli chyba tam, gdzie jest wyznawcą Starego Zakonu.

„Socjalistyczna“ Francja, Francja proletaryacka pięćdziesięciofrankowymi wkładami robotników, rzemieślników, drobnych wyrobników i kupniów pokryła wszak siedm miliardów pożyczki rosyjskiej (o czym u nas mało kto wie), no i podobno, z tego wyniku oszczędności, żaden socjalista francuski uczynić zarzutu swemu narodowi by się nie ośmielił.

Socjalistyczna Francja, — na to upomina się o wypoczynek niedzielny w fabrykach... aby robotnik i robotnica tem zajadłej mogła pracować

w dzień ten dla domu, aby mogła mieć dodatkowy zarobek, lepiej płatny z posług świątecznych.

Socjalistyczna Francya! Wszak ci całe jej bogactwo, cała jej widoczna przewaga wytwórcza tkwi właśnie w nieświętowaniu, w zredukowaniu dni świątecznych do połowy, w wyrzeczeniu się drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek, w wykreśleniu trzech czwartych świąt na cześć Matki Boskiej. A wykreślenia te nastąpiły, za zgodą duchowieństwa, a nie, jak myślą nasi świętoszkowie, dla dania wyrazu bezreligijności.

U nas poczucie obowiązkowości jest rozwinięte słabo. Polak przeciętny jest lichym pracownikiem, nie mogącym dotrzymać w dokładności i systematyczności ani Anglikowi, ani Niemcowi, nie ma zęczości i zapachu Francuza, nie ma flegmy zawziętej muzyka. Polak nietylko nie wyrzeka się świąt, ale rad je sobie stwarza, wynajduje dla usprawiedliwienia żyłki próżniaczej.

Juści tam, gdzie, jak w Poznańskim, twarde warunki bytu potrafiły pracownika polskiego przeobrazić, tam pracownik polski jest innym, ale jest i tak innym już, że nieomal niepodobnym do rodaka z zaborów rosyjskiego lub austriackiego.

Przeciętny pracownik polski, przyciśnięty do muru, nadrabia niby nerwami czas zmarnowany, ale na tem nadrabianiu jakoś pracy nie wychodzi dobrze, ale to nadrabianie sprawia to, że przemysłowiec chętnie sprowadza robotników-cudzoziemców, że, płacąc im drożej, zyskuje na nich więcej.

U nas zaaklimatyzowało się przekonanie, że prze-

mysłowcy Niemcy, Belgijczycy i Francuzi bojkotują polskie siły robocze, że z celem politycznym, że dla szowinizmu do zakładów przemysłowych na ziemi polskiej sprowadzają ziomków! Tymczasem to przekonanie mogłoby być stosowaniem do kilkudziesięciu naczelnych posad w hierarchii przemysłowej, do Poznańskiego wreszcie, ale nigdy do zaboru rosyjskiego. Przemysłowiec cudzoziemiec jest najpierw groszorem, a potem patriotą... Przemysłowiec cudzoziemiec wyrzekł by się swych rodaków, gdyby na miejscu znalazł siły odpowiednio uzdolnione a mogące konkurować! Uczynił by to nie z poczucia obywatelskiego dla ziemi polskiej, lecz z interesu. Ta ostatnia pobudka jest zaś zawsze niezawodną.

I w tej kwestyi tkwi groza położenia polskich pracowników i z tą kwestyą ruch robotniczy polski, w opętaniu swem rewolucyjno-socyalnem, nie liczy się; nie pojmuje, że gdyby dziś mocen był objąć wytwórczość na kolektywną własność, to jeszcze byłby parjasem, to i jeszcze byłby proletaryuszem Europy. Pracownik polski nie świadom jest podobno, że taryfy protekcyjnej, z której korzysta przemysł jarosławski i środkowo-rosyjski, na pogńębienie Łodzi, nie da sobie odebrać brat, kompan, współbojownik, robotnik-Rosyanin... Bo ta taryfa protekcyjna jest dlań omastą i jest zyskiem. A czy z tego zysku korzystają jednostki czy gromady robotników rosyjskich, to, w tym razie, zarówno jednostki jak i gromady staną murem przy rządzie i nie ustąpią nic zarówno dla polskich przemysłowców, jak i dla polskich związków robotniczych.

A menerzy socjalizmu polskiego, atteńczycy!?!...
Ich ideowość — ich ideowość ociera się nade-
wszystko o chęć władzy, chęć panowania. Mene-
rzy socjalizmu są tym samym żywiołem, który
w monarchiach tworzy republikańców,¹ w republi-
kach monarchistów, bezwyznaniowców w Rzymie,
męczenników chrześcijaństwa wśród bałwochwal-
ców. Menerzy socjalizmu są tymi zdolnymi, lecz
niekarnymi, duchami, które szukają dla siebie wła-
snego tronu, które, miast walczyć o palmę pierw-
szeństwa w powszednich szrankach, wycofują się
z zapasów i głośzą, że zapasy nie mają sensu, są
tymi utalentowanymi samolubami i egoistami, któ-
rzy własną pychę umieją tyłu osłonkami skrom-
ności, tyłu szyldami dobra publicznego otulać, że,
zanim lud postrzeże się, oni już dźwignęli się,
porośli w pierze, na nowych panów i magnatów
się wypromowali.

I tacy menerzy w społeczeństwach zwartych,
wolnych politycznie, bywają nawet bardzo poży-
teczni, bo przyczyniają ruchu, bo pracują na ewo-
lucję, bo są tymi rękoma, które zapierają się
o szprychy kół ugrzęzłego woza i ciągną go na
to w tył... aby wóz tem łatwiej i szybciej mógł
być pociągniętym przez konie naprzód. Lecz tacy
menerzy, w naszych oplakanych stosunkach pol-
skich, to rozłam, to nowa rysa na splekanym murze,
to nowa waśń w domu niezgody, to Herostratowi
rycerze, to ratownicy, naftą gaszący pożar, to o tyle
nie przestępcy, o ile silną w nich jest dobra wiara
w głoszone przez się zasady.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

DZIECI CZOŁEM NARODU.

Wypowiedzenie posłuszeństwa. — Potęga sztuby. — Łzy i skargi.
Rodzina i szkoła. — Strejk dzieci. — Uprzymnienie blizkiej
przeszłości. — Kto uświadamiał. — Wyższe zakłady naukowe. —
Września i Lublin. — Szkoła bez praw. — Drożyzna i brak
ofiarności. — Przykład o księciu. — O smarkateryi sztubackiej
i niedoważonej młodzieży.

BIECI CZOFEM NARODU

Województwo podkarpackie — Podgórze Karpackie — 127 i 128
Województwo polskie — Górniki — 129 i 130
Województwo śląskie — Katowice — 131 i 132
Województwo łódzkie — Łódź — 133 i 134
Województwo mazowieckie — Warszawa — 135 i 136
Województwo pomorskie — Gdynia — 137 i 138
Województwo wielkopolskie — Poznań — 139 i 140
Województwo zachodniopomorskie — Szczecin — 141 i 142
Województwo świętokrzyskie — Kielce — 143 i 144
Województwo lubelskie — Lublin — 145 i 146
Województwo lubuskie — Zielona Góra — 147 i 148
Województwo łódzkie — Łódź — 149 i 150
Województwo pomorskie — Gdynia — 151 i 152
Województwo wielkopolskie — Poznań — 153 i 154
Województwo zachodniopomorskie — Szczecin — 155 i 156
Województwo świętokrzyskie — Kielce — 157 i 158
Województwo lubelskie — Lublin — 159 i 160
Województwo lubuskie — Zielona Góra — 161 i 162
Województwo łódzkie — Łódź — 163 i 164
Województwo pomorskie — Gdynia — 165 i 166
Województwo wielkopolskie — Poznań — 167 i 168
Województwo zachodniopomorskie — Szczecin — 169 i 170
Województwo świętokrzyskie — Kielce — 171 i 172
Województwo lubelskie — Lublin — 173 i 174
Województwo lubuskie — Zielona Góra — 175 i 176
Województwo łódzkie — Łódź — 177 i 178
Województwo pomorskie — Gdynia — 179 i 180
Województwo wielkopolskie — Poznań — 181 i 182
Województwo zachodniopomorskie — Szczecin — 183 i 184
Województwo świętokrzyskie — Kielce — 185 i 186
Województwo lubelskie — Lublin — 187 i 188
Województwo lubuskie — Zielona Góra — 189 i 190
Województwo łódzkie — Łódź — 191 i 192
Województwo pomorskie — Gdynia — 193 i 194
Województwo wielkopolskie — Poznań — 195 i 196
Województwo zachodniopomorskie — Szczecin — 197 i 198
Województwo świętokrzyskie — Kielce — 199 i 200

Dzieci, ku zgrozie naszych statystów, wysuwają się na czoło narodu, dzieci rządzą, dzieci tyranizują partye, dzieci ferują wyroki, dzieci panoszą się, wypowiadają posłuszeństwo!

Oto skargi i żale, głoszone nietylko przez poczciwych ojców zaściankowców, ale nawet i przez sterowników opinii publicznej.

Tak, do niedawna, gołowasa młodzież darła się do wywierania wpływu nawet na politykę, dziś młodzieży uniwersyteckiej przybyła z sukcesem sztuba, i sztuba nie żadna wyższa, lecz pospolita, bakalarska, gryząca dopiero orzechy czterech działów i *accusativusa cum infinitivo*, sztuba.

I na nic wszelkie wywody naszych pedagogów, na nic akcja rodzicielska, na nic moralne nauki przewodników duchowych, dzieciarnia się rozbiurmaniała i słuchać nie chce!

Rodzice załamują ręce, nawołują ojcowie ojczyzny, otrząsa się z goryczą mąż zasłużony, — sztuba wpada w szał, buntuje się, wypowiada posłuszeństwo, puszcza w obieg obwieszczenia, wydaje świadectwa nieproszone, potępia, karci, skazuje w tłoku niewinnych, drwi z pogróżek, strejkuje, stawia warunki, układa polityczne programy.

Sztuba staje się siłą, potęgą, stanem.

Statysta, poseł, przewodnik partyi, pan gabinetowy truchleje, drży przed sztabą, dobiera wyrazów, lawiruje, a choć w ciszy czterech ścian klnie smarkateryę, pomstuje na żakostwo, na dzieciarnię, jednak boi się jej zadrasnąć, boi potępić, boi tknąć, gdyż instynktownie zgaduje, że przed tą sztabą, przed tą smarkateryą nie obroni go nawet legjon dojrzców tak samo, jak on, mąż gabinetowy, czujących, myślących i pomstujących.

I sztaba wysuwa się na czoło narodu, a naród wzdycha, biada na „nieusłuchanie“ dzieciaków i, niby kwoka, która wysiedziała kaczęta, gdacze nad stawem, zdumiewa się odwadze pływackiej swego pokolenia, lecz ledwie na bieganie na brzegu wody zdobyć się potrafi.

Naród utyskuje na swe własne dzieci! Akrobata cyrkowy, który pół życia strawił na łamańcach, wyrzeka na syna, ileże ten woli chodzić na nogach niż na rękach.

Naród utyskuje na swe własne dzieci! — Paw, któremu obcięto skrzydło, skarży się na to, że piskłeta jego mają skrzydła. Kaleka bez ręki nie pojmuje, jak śmie jego potomek nie być kaleką przed okaleczeniem.

Naród utyskuje na własne dzieci! — Ogrodnik zasiał groch i biada, że mu nie wyrosła marchew. Zmurszały jawor nie może pojąć, dlaczego młode jego pędy grają sokami, dlaczego nie rodzą się tak jak on zmurszałe, tak jak on skrecone, a sękatę.

Naród utyskuje na własne dzieci! — Toć rzecz śmieszna, równie śmieszna jak smutna, jak boleśna, boć znacząca, że naród, skarłały w jarzmie,

już własnej wyrzeka się przyszłości, już by chciał w dzieciach swych widzieć cherlaków, już zatracą wyobrażenie o tem, co jest naturalny, nie niewolniczy odruch, już wypiera się, aby mógł zdrowe wydać pokolenie, już wzdycha, że jego młodzież, jego potomstwo nie rodzi się z fałszem, obłudą i tchórzostwem w zanadrzu!

Tak, to zaiste, sprawa bolesna i smutna.

Ową krnąbrność polskiej dziatwy nasi wychowawcy zwałają na szkołę, w długich a pięknych wywodach przypisują całą winę germanizatorskiemu i rusyfikatorskiemu szkolnictwu, wyrzekają na pedagogję, na ustrój zakładów naukowych itd. itd. I nasi wychowawcy, ojcowie i przewodnicy tak przemawiają wymownie, tak podniosłe, że zdawać by się mogło, iż gdyby na ziemie polskie spłynęła gromada jakichś idealnych nauczycielów Niemców i Rosyan, gdyby na rzecz szkoły polskiej jakieś drobne poczyniono ustępstwa, dzieci polskie zaniechałyby krnąbrności, młodzież polska przestała by psuć i łamać szyki naszym politykom, a wybuchami swych protestów narażać na spazmatyczne zwroty całe społeczeństwo!

I, według tych znawców, wina cała spada na szkołę!...

I zaiste możnaby się dać przekabacić na wiarę tej mimowolnej kazuistyki, możnaby nawet zapomnieć o tem, że dzieci polskiej szkoły galicyjskiej, szkoły ani nie wrogiej, ani nie wynaradawiającej, potrafią zdobywać się na ruchy bardzo podobne do ruchów zaboru rosyjskiego i pruskiego, można by poddać się temu twierdzeniu, gdyby nie okoli-

czność, iż szkoła w wychowaniu młodego pokolenia zajmuje miejsce wtóre, że pierwsze miejsce przypada rodzinie, że nieposłuszeństwo dzieci polskich w równej mierze, a bodaj w większej, dotyka rodziny.

Wszakże ostatni strejk dzieci był strejkiem, skierowanym tak samo przeciw szkole, jak i przeciw rodzinie i najbliższym opiekunom. Wszak ci osmdziesiąt procent najbliższych opiekunów strejkujących dzieci dokładało starań, aby zażegnać burzę, aby powrócić zbuntowanych szkole i wszakci cała powaga rodzicielska rozbiła się o upór i zapamiętałość „smarkateryi“... i cała powaga rodzicielska musiała ustąpić przed „smarkateryą“...

— Ach, bo pan nie masz pojęcia, co to za niesforna ciżba! — Ach, panie, jak żyję, nie słyszałem czegoś podobnego, niedorostek, panie, mnie, człowieka starego, uczyć chce patriotyzmu! — Panie, toż z tem rozwydrzeniem ani prośbą ani groźbą, sam prowadzę paupra do gimnazjum i cóż z tego! Jeden drugiego psuje, zaraża!

Oto wzór skarg rodzicielskich, których chyba głuchoniemi nie słyszeli!

Ba, a gdyby do tych skarg dodać jeszcze żale na młodzież wyższych zakładów naukowych, wspomnieć bodaj jedną tysięczną część tych gorzkich uwag o zwichniętych karyerach, o szalonych głowach, o toć już zaiste możnaby nabrać przekonania, że młodzież polska jest klątwą własnego narodu, że jest hamulcem, udaremniającym wszelki jego rozwój, że jest taranem, druzgoczącym wszelką pracę twórczą mężów i obywateli. I przekonanie

takie byłoby niezawodnie słusznem, gdyby ta dzia-
twa polska i ta młodzież była żywiołem wycho-
wywanym i wzrastającym w dali od polskiej ziemi,
polskiej rodziny, gdyby niemowlęta polskie odbie-
rano matkom i gdyby je skazywano na życie i prze-
bywanie wśród żywiołu obcego!... Ale przecież tak
nie jest, ale przecież dziecko polskie najpierw ulega
wpływowi rodziny, a potem szkoły!...

Tak rodzice, a za nimi naród cały wyrzekają na
dzieci i przypisują winę szkole... A szkoła rusyfi-
katorska i germanizatorska zgrzyta zębami, wypiera
się ze swej strony własnych błędów i wskazuje na
polską rodzinę, jako na konspiratorkę, jako na fa-
natyczną krzewicielkę patryotyzmu, jako na roz-
myślną burzycielkę spokoju szkoły!

Obie te racje znajdują zwolenników. Jedna po-
śród rodzin polskich, druga pośród władz zabor-
czych rządów, i obie te racje, co zabawniejsze,
dla każdej ze stron są uzasadnieniem postępowania...
Więc rodzina polska wierzy istotnie w swój
patryotyzm, a szkoła w celowość swego systemu.
Żadnej ze stron wojujących nie przychodzi na myśl,
że buntury dziatwy polskiej są buntami najpierw
przeciwko tchórzostwu i ugodowości polskiej ro-
dziny, a potem przeciwko bezcelowości rusyfika-
torskich i germanizatorskich szkół.

Patryotyzm rodzin polskich?! Bezwątpienia
przykładów dość możnaby nanizać, lecz przykła-
dów, które zdolne są dać sporą ilość pięknych wy-
jątków, ale które nie zezwolą na dobyte z nich
żadnego ogólnika, żadnego prawidła. Natomiast,
dość na chwilę zapomnieć o tych przykładach,

dość w najbliższym rozejrzeć się otoczeniu, aby postrzedz, iż cechą naznamienniejszą polskiej rodziny jest tchórzostwo polityczne, jest dążność do dławienia w dzieciach ideałów, do wtlaczania ich w karby niewoli, do wskazywania im na karierę materyalną, jako na jedyny cel, do zaprawiania ich do fałszu, obłudy i kłamstwa.

Spróbujmy, dla lepszego pojęcia, przypomnieć sobie czasy Hurków i Apuchtinów, jako chwile zaczątków stanowczego rozłamu między szkołą, rodziną i młodzieżą.

Przeciętna rodzina polska, wbrew wszelkim mniemaniom, wcale a wcale nie troszczyła się o unarodowienie dzieci... Ojciec z matką strzegli się rozmów politycznej natury wobec dzieci, na dziesięć zamków zamykali każdy skrawek zadrukowanej bibuły, mogącej rozniecić jakieś nielojalne uczucia w młodych umysłach, a jeżeli przypadek zdarzył, iż w czterech ścianach padł jakiś śmielszy wyraz, to oboje rodzice starali go się wyrwać z pamięci dziecka.

Dziecko uczyło się niby czytać i pisać po polsku, lecz uczyło się tyle, aby mogło tem łatwiej i dzielniej zabrać się do kiriliczy i wypisów rosyjskich Poliwanowa.

Zjawienie się tych wypisów było kresem domowej nauki polskiego języka, bo rodzina cała, wraz z przygotowywanym do szkoły malcem, wpałała w odmęt udarenja, zabiegała byleby korepetytor ciągle z chłopcem po rosyjsku mówił, byleby chłopiec w niczem czystości rosyjskiego języka nie uchybił. Praca rodzin polskich była w tym

kierunku tak gorącą i zabiegliwą, że tylko głupota Apuchtina mogła nie mieć dla niej uznania.

Chłopak, podczas, z mniejszem lub większem posłuszeństwem poddawał się inkwizycyi i może by raz na zawsze wsiąknął w poglądy wypisów *Le w Poliwanova*, gdyby bystrość dziecka nie czuła fałszu, gdyby ciekawość nie kłoniła je do podsłuchiwania, szeptem prowadzonych rozmów, gdyby instynkt nie dał mu odgadnąć wymijających półsłówek, któremi zbywano je, ilekroć zawadzało mi-mowoli o jakąś kwestyę narodową.

Wejście chłopca do szkoły bywało zazwyczaj pierwszym dlań uświadomieniem, boć wejście to było zazwyczaj taką burzą rozpraw o wakansach, łapówkach, plecach i protekcyach, że najczujniejszy ojciec nie był zdolny ustrzedz przed nią syna.

Po tem pierwszym uświadomieniu następowała już wręcz unaradawiająca praca obrusitielej... Nauczyciel z każdej sposobności korzystał, aby w dziecku „patryotyzm, wyspany z piersi matki“ zgasić, no i był tym moralizatorem młodzieży, tym spowiednikiem, który, docierając do zła, usiłując skarcić zepsucie, — zadaje pytania, podejrzeniami zasypuje, nieci skry, chcąc zagasić te, których nie było.

I chłopak wracał ze szkoły, wracał z rozterką i skarżył się rodzinie i w niej szukał rozwiązania dla swych zwątpień. Rodzina najczęściej, wobec własnego dziecka, politykowała, unikała starannie jasnych odpowiedzi, a w wypadku silniejszego podniecenia, zdobywała się na słowa potępienia dla szkoły.

I chłopiec bardzo wczesnie przyzwyczajał się

do łajdactwa szkoły i rozumiał, że cała kwintesencja jej polega na walce zjadłej nauczyciela z uczniem, walce, w której pierwszy ma zadanie drugiego zmiażdżyć i w walce, w której rodzina jest tylko bezsilnym i biernym widzem. I chłopiec bardzo wcześnie rozumieć zaczynał, iż tam, gdzie wymagania szkoły ma podkład polityczny, choćby podkładu tego pozór, tam milknie zarzut, tam ojciec nie ma prawa do wymówek, tam on, sztubak, staje ponad żądaniami rodziny i wymaganiami szkoły.

Rodzice i opiekunowie, postrzegając odruchy dzieci, biadali, wyrzekali, wszelkich sił dokładali, aby do rozsądku przemówić i do bezwzględnej obłudy dzieci swe nakłonić. Bogatsi złotem mościli drogę swym synom, oddawali ich na opiekę nauczycielom, stali do zakładów w głębi Rosyi. Biedniejsi wpadali w szal perswazyi, której osiã było przyznanie synowi słuszności, ale i tem większe wystawienie zasady, że głową muru nie przebije, że na niegodziwość szkoły nie ma sposobu, że patriotyzm jest piękną ideã, ale chleb i stanowisko pewniejszã i ważniejszã i że droga kłamstwa jest jedynym punktem wyjścia, że wszelki protest jest bezcelowym i zabójczym, że każde drgnienie jest dobrowolnem zaciskaniem wężła na szyi, że stracić można i to jeszcze, co jest, a nic nie zyskać.

Posiew ten plonował i plonował długo. Młodzieniec, jeżeli zdołał przebyć Scyllę i Charybdę pierwszych kursów wyższego zakładu naukowego, był ocalonym dla planów rodziny! Juści był tem pewniej ocalonym, o ile zamożność ojca pozwalała

wysłać syna za granicę lub wcisnąć go między młodzież rosyjską w Petersburgu, Moskwie lub Charkowie!

I plon był, był obfitym — całe pokolenie samolubów, Piłatów, bezwyznaniowców politycznych, lawirantów idejowych, tchórzów wypływało na widownię życia społecznego.

Student pierwszego kursu był płomieniem — ale i ten sam student, u progu ostatnich egzaminów, był tylko żuzłem, był już, upragnionym przez rodzinę, linoskokiem, rojącym o posiadach w Rosyi, o plecach u moskali, a lubiącym przebąkiwać o nierozwadze młodzieży. — Cha, i dobrze i szczęśliwie jeszcze bywało, gdy niedawny, wczorajszy zapaleniec nie przedziegtał się wprost w obrusiciela, gdy nie stawał sam w szeregach nauczycieli gimnazjalnych, gdy na wybitnem stanowisku nie zapominał o swem polskiem pochodzeniu.

Długo pierwsze kursa wyższych zakładów naukowych były jedynym wirem, w którym młodzież polska, niby żegnając się ze swą ideowością, niby stojąc u progu obskurantyzmu narodowego, wpadała w konwulsyjne wybuchy patryotyzmu. Wir ten długo trwał w miejscu, daremnie usiłował pójść wyżej, ku starszemu, dojrzałszemu pokoleniu — aż, szukając dla się ujścia, zaczął staczać się, ogarnął sześcio i ośmioklasistów, wreszcie sztuby, wstępniarstwo, bakalarnie... A choć kresem tego wiru został po dawnemu karjerowiczowski rozsądek, owe westchnienia faryzeuszowskie tych, co radziby żakostwu przyklasnąć, gdyby pełne misy

chodziły w parze z ideałami, jednakże ten wir już targnął ustrojem społecznym... I jak targnął!!

Nic tu nie pomogą wykręty, łgarstwa i kazuistyka rozmaitych wielkich i małych prowodyrów społecznych, usiłujących w ten lub ów sposób sobie przypisać to, co stało się i dzieje za sprawą serdecznego, szczerego porywu dzieci i młodzieży polskiej.

Rodzina polska (szczególnie zaboru rosyjskiego) nie uczyniła nic, aby energicznie poprzeć skargi i żale swej dziatwy. Rodzina polska ani razu nie umiała zrzeszyć się dla categorycznego wyłożenia swych żądań. Rodzice przyjmowali potulnie wszelkie, bodaj najbezprawniejsze zarządzenia władz szkolnych, nie próbowali nawet wówczas kołatać o prawa, gdy kołatać było można. Nasi wpływowi rozmaitego pokroju, nasi bojownicy od zrównania przywilejów rosyjskich z przywilejami polskimi, nasi apostołowie katolicyzmu, nasi działacze od pomników i sztuk, nasi twórcy doniosłej polityki, nasi panowie, mający otwarte wrota do zamków i pałaców cesarskich i wielko-książęcych, — sponowali sprawę dzieci polskich, ani myśleli, aby dołą młodzieży można było poprawić, aby zabieganie, bez widoków powodzenia, miało sens.

I dziatwa polska sama rzuciła się do walki, do protestów, młodzież dorwała się steru opinii publicznej.

Jedna Września uczyniła podobno więcej dla imienia polskiego niż całe trzydziestolecie pozytywnego podawania pleców na baty, realnego przekonywania się o samoniedołęztwie i bezsilności!

W odpowiedzi na jęk dzieci wrześnińskich serca młodzieży jeszcze żywszem uderzyły tętnem; w odpowiedzi Wrześni dzieci lubelskie zażądały wykładu religii po polsku i dopięły celu, dopięły tak szybko, iż mężowie statyści ledwie nadążyli przypisywać się do... „smarkateryi“... Tu był początek strejku szkolnego — był już przed kilku laty.

Ale nasze społeczeństwo jeszcze z tych zapowiedzi nadciągającej burzy nie myślało brać dla się wskazówek, jeszcze spało, jeszcze drzemało na postulacie, iż choć tak, jak jest — jest źle, ale może być tylko gorzej...

I cóż potem?... Wszak to czasy ledwie minione, ledwie przebrzmiały. Kto miał oczy ku patrzeniu, ten widział i odwagę dziatwy i przestрах rodziców i bezradność, i ciągle ugodowe westchnienia ku obrusicielom, i mitygowanie uporu dziatwy i skrajność tej ostatniej, i wiecie, na których rodzice z obrusicielami pospołu mówili sobie o patriotyzmie polskim, i rezultat strejku, rezultat bezwzględnie, w ogólnej sumie wielki, potężny i tak potężny, iż szczyby, poniesione przez młodzież i dziatwę wskutek stracenia bodaj i dwóch lat nauki, są niczem, są drobną krzywdą jednostek.

Lecz kto miał oczy ku patrzeniu, ten widział jeszcze i to uczucie zawodu, z którem społeczeństwo polskie zaboru rosyjskiego powitało zmartwychwstanie polskiej szkoły! I wielkiego zawodu, boć szkoła polska była szkołą bez praw! Bez praw! Bez praw! — Społeczeństwo polskie nie wahało się z całą otwartością wyznać, że szkoła polska bez praw nie ma dlań wartości, że dla dzieci swych

pragnie nie wiedzy, nie nauki, nie moralności, nie rozwoju umysłowego, ale najpierw kwitów na państwowy rozum, na państwową drogę życia! Szkoła polska „bez praw“ aż rozgoryczyła zabór rosyjski, rozgoryczyła nawet i tych, którzy tak często i tak głośno lubili rozpowiadać o tem, czem by się szkoła stać mogła, gdyby w godziwe oddaną była ręce! Aż dopiero nielada trzeba było perswazyi, aby obudzić nadzieję, iż owe upragnione „prawa“ przyjdą, aby wskazać na oczywistość prawdy, że rząd nie może sam zgodzić się na wytwarzanie klasy inteligentów „bez praw“, że przyznawanie praw choćby i Polakom jest jego celem, otwarciem klapy bezpieczeństwa, a nie żadną cnotą. Aż dopiero, po wylaniu oceanu łez, zasmarowaniu stosów bibuły dezycydatami na temat, co robić ze szkołą bez praw, zabrano się do pracy i zabrano się znów pod naciskiem i gniotem dziatwy, gniotem już spotęgowanym, bo nareszcie wspartym i przez odłam stronnictwa politycznego.

Ale i tu jeszcze zawiódł by się ten, kto by, z oddali sądząc o sprawie szkolnictwa, mniemał, iż, jeżeli ono nie zdołało, dzięki gadzinowej władzy, ruszyć pełną siłą pary, to przynajmniej stosunek rodziny do dziatwy i młodzieży uległ radykalnemu uzdrowieniu! Gdzie tam. Nadewszystko unarodowiona szkoła polska stała się geszeftem, obliczonym na ruble i duże ruble. Mimo frekwencyi i właśnie dla frekwencyi jest drogą, ponieważ od poświęcającego się dla ojczyzny przełożonego poczawszy, a na ostatnim pedlu polskim skończywszy, każdy z pracowników szkoły polskiej chce nietylko

bytu, ale i dobrego bytu. Na drożyznę wpływają niezawodnie i względy uboczne — aleć względ na własną kieszeń panów przełożonych waży najtężej.

Podczas rodzice ubożsi bokami robią i czekają, aby gniot opinii osłabł a z nim razem nastąpiła albo rządowa szkoła polska, albo żeby wróciła możliwość oddania dziecka do tej samej, dawnej szkoły.

Tak czy owak obecna szkoła polska w zaborze rosyjskim jest dla większości niedostępną i przechodzącą możliwość przeciętnego człowieka pracy. Węzeł mogłaby rozstrzygnąć ofiarność — ale ofiarność polska, wbrew naszemu przeświadczeniu, jest i była zawsze skąpą — a, już wobec nędzy i ruiny przemysłowej Królestwa, bezsilną. Nauka jest wprawdzie chlebem dla ducha — ale tam, gdzie brak chleba dla ciała, głód ducha schodzi na plan drugi.

I zaiste rzecz dziwna, rzecz osobliwa! Wszak i nasi nieliczni miljonerzy cierpią na manję wielkości, wszak i nasi magnaci łamią sobie głowy bardzo często, jakby istnienie imienia swego przedłużyć, mówiąc po ludzku, uwiecznić! A przecież w żadnym podobno kraju na kuli ziemskiej nie może taki milioner łatwiej zostać wiekopomnym dobrodziejem!! Toć, jeżeli takiego księcia Czartoryskiego obliczają na siedmdziesiąt czy pięćdziesiąt milionów majątku, a więc majątku, który już staje się bezwładną kolubryną kapitalistyczną, której właściciel ani nie zdolen jest ogarnąć pamięciowo ani uczuć w niej straty, bodajby dwumilionowej — toć chyba żaden człowiek na świecie równie łatwo, i lekko nie mógłby zarobić sobie na nieśmiertel-

ność, jak ten właśnie książę Czartoryski! Toć dwumilionowa fundacya, przy piątym procencie, opłacała by naukę dziesięciu tysięcy dzieci polskich rocznie (licząc po sto rubli na wpis)! Toć mogłaby zagwarantować dwudziestu tysiącom anal-fabetów (licząc po pięćdziesiąt rubli na głowę!) naukę bezpłatną, roczną! Toć za dwa miliony rubli możnaby uzdrowić Królestwo, na równe nogi dźwignąć Galicyę, mieć pomnik na Skalce, stanąć pośród *patres patriae!*...

Ach, taka ofiara! Takie ofiary przechodzą miarę altruizmu, myśl o takich ofiarach znaczy urojenie tego człowieka, który nie posiadał nigdy i tysiąca rubli w majątku! A przecież, bez takiej ofiarności bogactwo jednostki jest tylko prowokacją nędzy, jest usuwaniem się dobrowolnem tam, gdzie jednostka wyrzeka się obowiązków dla społeczeństwa ale i gdzie społeczeństwo ma prawo usunąć się od jednostki.

Ale bo nie w tem rzecz, aby księcia Czartoryskiego dręczyć szczególniejszą pretensją o to, czego uczynić nie chce, nie może, lub, według innego światopoglądu, nie powinien — a w tem jedynie, iż ofiarność nasza jest ubogą, iż duch obywatelski nikłym, bo dalekim od czynów, bo zdobywającym się na ćwierćśrodki.

Wieloliczne, niewyczerpane nasze potrzeby zapewne aż nadto dokuczają naszym potentatom finansowym. Nasi potentaci dają — ale ta ich ofiarność rzadko bywa radykalną, ledwie czasami połowiczną, częściej jest tylko wpływaniem na spo-

radyczne zahamowanie rozwoju danej niedoli niż na jej zmniejszenie.

Myśl, iż wielkie poświęcenie może jedynie wielkich dzieł dokonać, nie ma jeszcze u nas i tyle siły, aby rozwiązać worki.

Sprawa szkoły polskiej w zaborze rosyjskim jest jeszcze więc na rozliczne wystawiona przeszkody i może zginąć tak dobrze w nurtach reakcyi czy hakaty, jak uwięznąć na braku funduszków.

Jeżeli atoli szkoła polska pod zaborem rosyjskim przetrwa, to zasługa stąd cała tylko dziatwy polskiej, tylko tej wątlej, krnąbrnej i „nieusłuchanej smarkateryi“, tylko tej, psującej kanwę polityczną naszym statystom, a i dalej „niedoważonej“ młodzieży.

I ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedoważona“, jak szła, tak i iść będzie dalej na czele narodu i ona dalej stanowić będzie prawa zarówno w Warszawie, jak i w Krakowie, Wilnie, Poznaniu i Lwowie.

I przed tą smarkateryą sztubacką i przed tą młodzieżą niedoważoną drzeć będą i partye, i luminarze partyj, i posłowie, i mężowie stanu, i obrusители, i germanizatorowie, i klerykali, i wolnomyślni i postępowcy, i konserwatyści, i ludowcy, i demokraci i socjaliści, obojętni i samolubni i polakożercy.

Tak, będą drżeli, jak drżą w tej chwili, jak drży kłamca wobec prawdy, jak drży każdy najdrapieżniejszy zwierz, wobec siły mu nieznaney, nie dającej się ogarnąć, przewidzieć.

A dlaczego? Dlatego, że i ta „smarkaterya sztubacka“ i ta „młodzież niedoważona“ egoizmowi

przeciwstawi altruizm, fałszowi otwartość, zajęczym sercom odwagę, przesadzonym legendom o wczorajszej grozie wiarę w siebie, samowoli bunt, podstępowi pogardę, bezcelowości cel.

I dopóty ta „smarkateria sztubacka“ i ta młodzież niedowarzona“ będzie czołem narodu, dopóki naród nie ocknie się, dopóki nie pojmie, iż nie wolno mu mieć podwójnego oblicza, iż nie godzi mu się posługiwać się zaprzaństwem, samolubstwa stroić w pióropusze dobra ogólnego, iż trzeba, aby podniósł głowę i szedł, a nie pełzał.

I ta „smarkateria sztubacka“ i ta „młodzież niedowarzona“ będzie na ziemi polskiej włądała, będzie dotąd włądała, podokąd głos sumienia, głos prawdy i sprawiedliwości łomocze pod czaszką człowieka...

Z drogi, rzezańcy polscy, z drogi bezduszni faryzeusze, czciciele kompromisu, wyznawcy samolubstwa! z drogi przed własnymi dziećmi! Załamcie ręce, zawodźcie, skarżcie się, iż to młode pokolenie nie rodzi się robaczywem, iż wprost na świat nie jawi się tchórzliwem i obłudnem! iż, zanim nabierze waszego szacunku dla kajdan, targa niemi, rwać je próbuje! — Załamcie ręce, wyrzekajcie, iż nie wszystko jeszcze w was zaustryaczało, zniemczało, zmoskwiczało, zniewolniczało, skrzepło, wystygło i skarłało!

POLSKIE BURŻUJSTWO.

Czy neologizm? — Skądże burżujstwo? — Wiara w rubla. —
Dążenie do bogactw. — Pokolenie przybyszów i neopolaków. —
Różnica między Warszawą i Warszawą. — Ucieczka zagranicę.
Burżujstwo i socyalizm. — Walka w Szwajcaryi. — Żółty pro-
gram. — Drzwi otwarte. — Hajże, wywalajmy drzwi!!

W ostatnich czasach przedmiotem bardzo zwyczajnych rozpraw stało się „burżujstwo“, a raczej kwestya, czy owo burżujstwo, przeciwko któremu nasi socjaliści co chwila wrogie wznoszą okrzyki, istnieje w społeczeństwie polskiem. Rozprawy te mają podobną dwa przeciwne sobie krańce, bo gdy jedne gubią się w wywodach o tem, że „burżujstwo“ jest poprostu neologizmem językowym, przeszczeniowanym przez niemowlęctwo naśladowcze naszych dekadentów, drudzy usiłują mieć je we wszystkim tem, co nie zdołało zasklepić się w stęchłym liberalizmie Marxa. Prawda zaś, według obyczaju, pozostała pośrodku ścierających się.

„Burżujstwo“, „burżuazya“?! — Toć są neologizmy i neologizmy aż zgrzytające cudzoziemczyzną... Toć wyrazy, z któremi ani oswoić się, ani ich adoptować nie podobna! Ale, niestety, wyrazy, które zaczynają razić nas zbyt późno, abyśmy byli w stanie skazać ich na banicyę, na wygnanie tam, skąd do nas przywędrowały! Sąć to bowiem niezaprzeczenie wyrazy, stwierdzające obecność tego, co jest, co zakradło się do nas bezimiennie, a na co słownictwo polskie nie znajduje dostatecznego określnika.

Podznaczamy wyraz „dostatecznego“, ponie-

waż i u nas istnieje wyraz „łyk“, mocno przypominający „burżuja“.

Nazwa „łyk“ wywodzi się, według „Obyczajów“ Kitowicza, z pogardliwego przezywania tych, których nie stać było na jedwabne żupany, a którzy posiadanie ich symulowali tandetą — ale już od kilku dziesiątków lat znaczy wszak zubożonych samolubów miejskich czy podmiejskich, ludzi okrzyszanych powierzchownie, lecz w głębi surowych, ludzi, którzy, wypierając się sukmany czy kubraka, zdołali pozbyć się prostoty obyczajów a pnać się do wyższej hierarchii społecznej, wnoszą do niej swe dawne uprzedzenia.

Łyk bezwątpienia jest niższym stopniem burżuja, — boć łykowi dodać nieco wiadomości, towarzyskiej ogłady i pieniędzy, a urośnie z niego burżuj w całym znaczeniu klasycznym.

Pomimo tego wielkiego podobieństwa między nowoczesnym łykiem a burżujem, ten ostatni począł się u nas równolegle i niezależnie od pierwszego.

Polski burżuj?! Wszak ci dla pewnego odłamku naszego społeczeństwa zakrawa to na kalumnję, na pomawianie mieszczaństwa o niepopelnione winy.

Bo i skądże polski burżuj, gdy stan trzeci na ziemi polskiej nie istniał, gdy rozwój miast naszych w niczem nie podobny jest do takich miast cudzoziemskich, które wydały z siebie burżuja, gdy mieszczaństwo nasze, odżywiane silnie przez rozbitków ze wsi, naogół nie wyodrębnia się tak silnie, jak mieszczaństwo innych krajów, gdy nakoniec mie-

szczaństwo nasze, z natury swego charakteru polskiego, winno mieć aż za mało pędu do gromadzenia bogactw, zasklepiania się w dążeniach do rent i procentów?!

Te argumenty radzi jesteśmy poczytywać za tarany, zdolne zmiażdżyć wszelką myśl o istnieniu polskiego burżuizmu!... A przecież, na przekór tym argumentom, na każdym szczeblu społecznym spotykamy samolubnych, zimnych, wyrachowanych parwenjuszów duchowych, a przecież, co kroku, musimy porać się z indferentyzmem a przecież, co chwila, na drodze myśli obywatelskich spotykamy zawały żuzli burżujskich.

Polskie burżuizm?!!... Polskie, boć w polskich rozpierające się miastach a o tyle nie polskie, o ile nie polskim jest rdzeń polskiego mieszczaństwa!

Burżuizm, więc nadewszystko dobrobyt, bo rozmilowanie się w materyalizmie — stąd, gdzie dobrobytu mniej tam i burżuizmu nie wiele. I stąd skromnem jest burżuizm poznańskie i nielicznem galicyjskie a stąd jedynie pod zaborem rosyjskim burżuizm krzewi się i kwitnie.

Na niezaprzeczonego rozwój burżuizmu pod zaborem rosyjskim wpłynęła nadewszystko niewola i nie tyle sama niewola, ile istota niewoli rosyjskiej.

Niewola rosyjska bowiem była i jest najpierw niemoralną, nikczemną, przekupną a dopiero potem polakożerczą, nieubłaganą, konsekwentną. Rząd rosyjski, rzec można, dlatego zabiegał o wydawanie nowych, gnębiących Polaków, praw, aby z nie-

wykonywania, z obchodzenia tych praw ciągnąć dla siebie zyski. A jeżeli rząd i nie miał takiej intencji, to już niezawodnie każde nowe prawo było tak właśnie rozumianem przez administrację państwową. Rubel panował i rozstrzygał i tylko rubel. Cała drabina hierarchii państwowej rosyjskiej korzyła się przed rublem, za rubla nietylko można było policzkować najniższych pachołków policyjnych, ale i drwić sobie z zawziętości kacyków. Kto miał zadość rubli, a umiał być odpowiednio hojnym, temu niewola ani razu nie dokużyła, temu żółwio-obstrukcyjną formalistykę zamieniała na piorunowe i zaprzeczające wszelkiemu ładowi państwowemu rozporządzenia, temu pozwoliła drwić sobie już nie z polakożereczych ustaw, ale ze wszystkiego, co się zwało prawem.

Czarodziejska siła rubla, siła przechodząca wszelki ogólnie-wszechświatowy bakczysz, siła wprost brutalnie urągająca każdemu autorytetowi, musiała deprawująco oddziaływać i na poddane społeczeństwo polskie, musiała silniej niż gdzieindziej wpajać przekonanie, że pieniądz jest jedynym władcą, że wszystko, co nie jest z rubla, jest słabem, lichem i nie wartem uwagi.

Więc dążność do bogacenia się wzmagala się pod zaborem rosyjskim, coraz szersze zjednywała sobie koła wyznawców, więc dążność do bogacenia się potężniała i rozpierała się tem samowolniej, iż nie znajdowała przeciwwagi w krzewieniu ideowości, rząd bowiem każdą myśl, poza kultem rubla, prześladował, tępił, niweczył.

Dążność do bogacenia się?! — Tak, ta dążność,

w zasadzie ani zdrożna, ani zła, a nawet bardzo pożyteczna, boć mnożąca siły ekonomiczne kraju, ale zawsze groźna, gdy jednostronna, stała się wyrazem rozsądku i dobrze pojętej pracy obywatelskiej.

I z tej dążności można było się poniekąd radować, bo kraj wyniszczony rewolucjami, zdystansowany przez rozwój ekonomiczny zagranicy, potrzebował odrodzenia się przemysłowo-handlowego, poprawienia swego materialnego bytu.

I tę dążność można było poczytywać za zapowiedź hartu, o ile jawiła się ona jako wytrzeźwienie, o ile wdrażała przekonanie o potrzebie pracy, o ile całe koliska pasożytów zamieniała w pszczelne roje, o ile tępiła rozrzutność, o ile zbroiła masy oszczędnością, o ile ściągała je z obłoków próżniactwa i niezaradności na czarną ziemię trudu.

Ale też sama dążność do bogacenia się miała już w miastach i miasteczkach zaboru rosyjskiego zdawna rozrosłe pokolenie, pokolenie obce, pokolenie, które aż nadto nawykło widzieć swą moc w bogactwie, pokolenie, które, w spadku moralnym po ojcach i dziadach swych, odebrało tylko przykazanie strzeżenia i mnożenia fortun, pokolenie, które nie zdołało jeszcze wyzbyć się rodzinnych tradycyj, ciężących ku Saksonii, Westfalii, Brandenburgii, lub które jeszcze nie otrząsnęło się ze swej obcości narodowo-żydowskiej, a które nie zapalało jeszcze poczuciem obywatelsko-polskiem.

Prawda, to pokolenie przybyszów, w chwilach przełomowych, dawało się pociągać zapałowi, umiało wydawać z siebie nietylko takich zawadyackich,

a dzielnych oficerów i żołnierzy, jak Tremo, Blumer, Hempel, Berko Joselowicz i Kurtz, ale i takich obywateli, jak Steinkeller i Deckert, ale to pokolenie, w rdzeniu swem, bywało aż nadto obcem, zimnem, obojętnem dla spraw i porywów polskich.

Patryotyzm tego pokolenia, jeżeli wogóle w raz patryotyzm użytym tu być może, polegał, po większej części, na bierności, na sprzyjaniu wysiłkom zapaleńców, na składaniu nieodzownych haraczów, na przyzwoitem lawirowaniu między rządem zaborczym a narodowymi celami.

Pokolenie przybyszów, więc neopolaków, więc rdzeń polskiego mieszczaństwa zawsze stawało w szeregach umiarkowania, zawsze chyliło się do lojalizmu, do ugody, bo zawsze dla swych realnych zdobyczy ekonomicznych obawiało się przewrotów, ofiar.

Wina tu niezupełna tego pokolenia, boć polszeniu się napływowców przeciwdziałały mocno przesady, boć trzeba było dziesiątków lat, tysięcy wyrzuconych na bruk miejski szlachciców, aby nawet nazwisko Fukier przestało razić wrażliwe ucho polskie.

Tak czy owak, dość, iż pokolenie przybyszów rozmaitych hołdowało święcie celom, które ich przodków skłoniły do osiedlenia się na polskiej ziemi. A za tem, gdy ku temu pokoleniu padły i ze strony rdzennie polskiej ludności zawołania ku zabieganiu o dobrobyt, wówczas pęd pokolenia przybyszów wzmógł się, podwoił, bo już i współzawodnictwo postrzegał. Następstwem tego pędu stało się burżujstwo...

Burżujstwo! Gdzie go szukać, w czym go upatrywać?! Juści nie w tem, na co wskazuje socyalizm, gdyż ten jest sam i najpierw najzjadlejszym, najzawziętym burżujem, gdyż ten, jako ciasny doktryner i małpoman wielkich, doniosłych idei anarchistycznych, jest tym wywrotowcem, który dlatego powstaje przeciwko władzy królewskiej, aby samemu władzę zagarnąć i królem zostać.

No i nie w tem należy szukać ogniska burżujów polskich, na co, do niedawna, wskazywała histerya literacko-artystyczno-dyletancka, ta histerya która pigmejów zaraziła myślą o nadczołowieczeństwie, która, nie znajdując uznania dla zamierzonego przez się zakucia piękna w pstrokaciznie zginiętych barw, plwała na zasłużoną obojętność. Ale, za to, tam burżujstwa polskiego trza patrzeć, kędy panoszy się pokolenie nowobogatyh, kędy rozposciera się polski neofityzm narodowy, kędy gnieżdżą się całe rody ludzi „zgodnych“, bezpartyjnych, opłacających się nietylko rządowi, ale i socyalistom i realistom i narodowcom, kędy całą udręką życia jest myśl zrobienia karyery, osiągnięcia ideału tyłu a tyłu tysięcy rocznie, bodaj na krańcu Rosyi, bodaj przy uwzględnieniu ubocznych i zgoła „łapowniczych“ dochodów!! Tu jest środowisko polskich burżujów, tu ich kolebka.

Weźmy, dla przykładu, Warszawę i zważmy jej potrzeby intelektualne i wogóle kulturalne nawet w dotychczasowych warunkach oświaty! Zapomnijmy o chwilowym jej nienaturalnym stanie, a przypomnijmy sobie Warszawę z przed trzech lat! Więć Warszawę bogatą, kipiącą werwą do-

brych interesów, lojalną, cichą. I nie zagłębiajmy się w jakieś specjalne liczby statystyczne, nie wypominajmy jej jakiegoś 60% analfabetyzmu, a rozjeźdźmy się w życiu tych 40% ludzi oświeconych, a uderzy nas piekielnie mizerny ruch czytelniczy, wprost nędzny stan instytucji, zawistnych bezpośrednio od dobrej woli mieszczaństwa, wprost niemożliwa bezradność na każdym kroku zagadnień ogólnospołecznych i nawet takich zagadnień, które nie zależą bezpośrednio od braku samorządu czy zwolnienie kajdan niewoli. Ba, a równocześnie, uderzy nas zdanie, że Warszawa jest miastem ofiar, miastem zabiegającym o nowe zdobycze społeczne, miastem nie tylko nie zimnym, lecz aż przeczulonem. Ba, ale równocześnie, uderzy nas, iż ta kochana, serdeczna, a fraszująca się i gorliwa Warszawa nie ma związku żadnego z Warszawą geograficzną, siedmioletnią!... No tak! Ponieważ Warszawa, ta prawdziwa, ma 60% analfabetów przy 350 tysiącach ludności bez zaprzeczenia polskiej! Ponieważ ma 300 tysięcy Żydów i to Żydów, z których ledwie 10% przyznało się do języka polskiego w czasie ostatniego spisu jednodniowego! Ponieważ Warszawa ma, wobec tego, 270 tysięcy ludzi (poza Rosyanami i cudzoziemcami), stroniących od życia polskiego, nie biorących udziału w polskiej pracy społecznej, a jedynie cisnących się do niej na pożywanie owoców! Ponieważ te 270 tysięcy łącznie z analfabetami Polakami czyni 470 tysięcy, a z Rosyanami i cudzoziemcami aż 520 tysięcy!

No tak! Warszawa jest Warszawą, jest mia-

stem kulturalnem polskim, ale za ledwie w jednej szóstej części swej ludności — a poza tem, trwa w obskurantyzmie, ciemnocie, indferentyzmie, samolubstwie i burżujstwie...

Rosyanie warszawscy toć najpierw poszukiwacze złota, a potem dopiero obrusители. Żydzi warszawscy toć tylko zorganizowani cudzoziemcy, myślący o z bogaceniu, a przyglądający się zresztą obojętnie wszystkiemu, co polskie, co nie rosyjskie, nie ogólnopolskie, nie żydowskie, a dopiero w lepszym czy wyższym (oczywiście dla nas) swym odłamie przedewszystkiem burżuje, a u szczytu za ledwie już i obywatela. Neofici narodowości polskiej, toć znów groszorozy, toć znów nieomal że gapie roboty społecznej polskiej, toć znów ani „ziemi ani gorący“.

Lecz gdybyż burżujstwo poza te warstwy nie sięgało, gdyby samolubstwo nie sączyło już nietylko do pokładów mieszczańskich, gdyby choć oszczędziło tych, którzy mienić się lubią chlubą narodu!

Burżujstwo polskie! Wszak ci, dzięki ostatnim rozruchom, wypełzło niby robactwo, spłoszone płomieniem łuczywa, wszak ci wypełniło po brzegi wszystkie szlaki zagraniczne, wszak ci tam, przy stołach rulety w Monte-Carlo, w nicejskich szuleriach, w domach publicznych Paryża, Wiednia i Berlina lamentuje nad niesfornością smarkateryi, której się zachciało polskiej szkoły, nad awanturami chłopskimi w gminach, nad mankietnikami, nad rozmaitymi izmami no, a w szczególności nad „bessą“ „lilpopów“, „wagonów“ itp.

Tak, tam to burżujstwo polskie wyległo, tam

czeka zmiany kursu, tam wzdycha do „uspokojenia się umysłów“, tam, w podobnym sobie gronie uciekinierów Rosyan, myśli, rychło wrócą złote czasy zwyczajki, dobrych interesów, giełdowej lichwy, pa-
sożytnictwa społecznego.

Burżujstwo polskie. Wszak ci go pełno i śród tych, którzy już i z socyalistami gotowi się układać, byle okiełznać dążenia separatystyczne narodowców, dążenia gotowe przeciąć świetne zarobki w Rosyi, zredukować stopę procentową.

Burżujstwo polskie! — Zrachujcie no tych wszystkich na ziemi rosyjskiego zaboru, którzy zdolni są dobro polityczne kraju nie mierzyć własną rentą, którzy zdolni są to dobro widzieć i tam, gdzie ich własna fortuna mogłaby uleść zniszczeniu!

W tych pokładach dopiero gnieździ się i pleni burżujstwo polskie.

Lecz dzisiejsze burżujstwo polskie to jeszcze naogół zło nie wielkie, bo hamowane i strzeżone przez silny prąd narodowy, więc, choć pod przymusem, ale niewolone do ulegania, do miarkowania swego samolubstwa.

Ale i burżujstwo polskie, to już zapowiedź groźna dla jutra, dla najbliższej przyszłości, groźna, bo posiadająca za sobą socyalizm.

Burżujstwo i socyalizm?! Tak, — napozór dwa prądy wrogie, dwa kierunki przeciwnie, a w istocie swych dążeń ani wrogie, ani przeciwnie. I nie dlatego pokrewne, że *les extrémés se touchent*, — lecz, że za ideał wspólny mają dla siebie przeciętność, gruboskóre średniactwo,

szarą jednostajność, samolubną przemoc nad bliźnim.

Owe wrogie okrzyki socjalizmu, zwracane niby przeciwko burżujom, — są tylko sentymentem biedaka, urągającego magnatowi nie za to, że bogactwo jest złem, lecz za to, że on, biedak, jest biedakiem, a nie magnatem. Zresztą fakt, że burżujstwo tam najwięcej kwitnie, gdzie się rozwielił socjalizm, że więcej ma burżujstwa Francya niż Niemcy, więcej Niemcy niż Anglja, Anglja więcej niż Hiszpanja najlepiej dowodzi, że burżujstwo jest pupilem socjalizmu, a nie jego wrogiem.

Najdzielniejszym zaś przykładem jest Szwajcarya. Tak, ta Szwajcarya wolna, zdemokratyzowana do szpiku, skupiona na najdalej sięgającej pracy organicznej, troszcząca się o najostatniejszego ze swych obywateli, z miłością macierzyńską zabiegająca o pełnię praw człowieka dla najgorszego z nieużytków, ta Szwajcarya od lat tępi, niszczy, śmiertelną toczy walkę z socjalizmem!

Ba! O tym „szczególe“ u nas nie ma się pojęcia! Ba, u nas, najniestuszniej, Szwajcaryę poczytuje się za państwo, w którym *pacta m i c o n v e n t a m i* jest „Kapitał“ Marxa!! U nas, szwajcarska wolność przekonań, szwajcarska gościnność dla ucikiniarów politycznych, dla ideowców uważana jest za niehybny wpływ wychowawczy socjalizmu!

A tymczasem, żadne społeczeństwo tak dzielnie i zawzięcie nie potrafi bronić się przed doktrynerstwem marksistów, żadne tak umiejętnie nie zdołało wyrwać broni socjalizmowi, bo i żadne nie zdołało na swem ciele społecznem zobaczyć

tylu liszai burżujstwa, które wykwitły na zarażonych przez ciasnotę marksizmu miejscach!

I dzisiejsza Szwajcarya już otacza się strażami, już wypędza tych, którzy, nie szanując praw gościnności, chcieli jej pracę owocną burzyć, już ma zwarte szeregi obywateli, czuwających i nad świętością swobód gminy i nad uchronieniem jej od inwazyj socjalistycznych. Dzisiejsza Szwajcarya posiada już, tak zwany, „żółty program“, program, który przy najszerszym demokratyzmie, przy najzacieklejszej walce z kapitalizmem obocznie zwraca się przeciw socjalizmowi.

Tak, dzisiejsza Szwajcarya już przejrzała, już otrząsała się z chorobliwego urojenia i w najświatlejszych, w najdzielniejszych swych jednostkach idzie na bój z tem, co u nas niektórzy mniemają być wyzwoleniem pracy. A nie jest ten ruch szwajcarski żadną reakcją czarnych sotni, lecz jest prądem jasnym, prądem rozumiejącym, iż dać się wzmódz socjalizmowi znaczy pogrzebać wolność, znaczy skazać obywatela na niewolę, zakuć dusze w kajdany burżujskiego średniactwa, myśl zatruć jadem jednostronnej, biurokratycznej doktryny.

Czy doświadczenie Szwajcaryi, czy ruch anti-socjalistyczny wolnych duchów Francyi, czy echa walki, toczonej z marksizmem przez wszystkich myślicielów współczesnych i filozofów, — zdoła przeniknąć do nas, czy uchroni nas od tracenia czasu i sił na budowanie gmachu, który zgóry jest skazanym na zburzenie?! Czy i w tym wypadku nie odstępimy od zasady wywalania drzwi otwar-

tych i wycofywane z kursu karabiny poczytamy za ostatni wyraz mechaniki?! Czyż za mało nam istniejącego już między nami burżujstwa?! Czyż dopuścimy, aby nas nawiedziło burżujstwo międzynarodynarodowe, gorsze, bo już i łgające wszechludzkie ideały, burżujstwo socyalistyczne?!...

TANIEC PARTYJ.

Stronnictwa i naród. — Bezpartyjność. — Walka wszechpolaków z ugodowcami. — Przegrana i zwycięstwo bezwyznaniowców. — O ukrytym celu politycznym. — Atut z wyższości polskiej kultury. — Świadectwo historyi. — Arysto- i plutokracja. — Zawsze taż sama. — Garść ideowców w tłumie samolubów. — Ciężenie realistów ku socyalistom. — Kto bliższy. — Wspólny punkt. — Stałość przekonań. — Gubernjalne ideały. —
Nowe sklepiki. — Przeciętny pęcherz.

Do niedawna, do wczoraj jeszcze, ogólną cechą naszych stronnictw politycznych była ich bezwplywowosc na spoleczenstwo, ich zgoła akademickie stanowisko, ich zupełna nieraz dysharmonja z poglądami ogółu. Stronnictwa były sobie stronnictwami a naród polski był sobie narodem-widzem albo zgoła obojętnym i nieznającym się na rzeczy albo sarkastycznie uśmiechniętym.

Oczywiście, w zaborach pruskim i austryackim, gdzie kierownicy stronnictw i mężowie polityczni, na drodze wyborów i agitacji elekcyjnej, mogli i musieli obojętność tę niweczyć lub burzyć, stosunek stronnictw do ludu danego zaboru był lepszym a węzły siako tako zadzierżgniętymi — ale za to w najrozleglejszym zaborze rosyjskim stronnictwa były a i są jeszcze poniekąd czemś, co się ze sobą bije, ściera, kłóci a w czem ogół żadnego nie bierze udziału. Na ten stan wpływała i oświata i brak kardynalnych swobód i nieodzowne samozwaństwo przedstawicieli narodu ale i brak klajstru organizacyjnego w stronnictwach i autokratyzm kierowników i walka, częściej zwracana ku osobistościom i prywacie niż ku zasadom, pracy i jednaniu sobie wyznawców.

Stronnictwa nienawdziły się, obdzierały z pierzy,

wyszły, dokuczały tak, iż przeciętny Polak, bodaj odrobinę dbający o spokój i równowagę, umywał ręce i usuwał się od wszelkich „robót“ i powiększał szeregi bezwyznaniowców politycznych a, wraże noża na gardle, wędrował sobie od białych do czerwonych, od czerwonych do panów w kratkę postępu lub w paski konserwatyzmu. Bezbarwność, brak programów, nieświadomość dążności, była wyrazem całego społeczeństwa pod zaborem rosyjskim a dowodem niezbitym tego wyrazu, była prasa... Ta prasa w swych zaściankach redakcyjnych lubiła mówić o swoich szlendarach i barwach — lecz na zewnątrz, nawet w granicach swobód cenzuralnych, była tylko i zawsze szarą, tylko zdążającą za bezwiednymi odruchami tłumów. Na ugodowości, postępowości lub konserwatyzmie i nieprzejednaniu prasy warszawskiej znali się podobno ci tylko, którzy znali i prywatne poglądy publicystów.

Stronictwa nasze były długo tylko temi chmurami, które kłębią się pod wierzchołkiem góry. Stronictwa nasze pracowały nie na wyrabianie polityczne tych żywiołów, które były już zdatnym po temu materiałem, lecz na odstraszenie ludzi od siebie, na obrzydzanie im wszelkiej politycznej roboty, na powiększanie kadrów bezpartyjności...

Tak, bezpartyjność, bezwyznaniowość przekonaniowa pośród tańca partyj nabrała u nas nie tylko wartości zmysłu samoobrony ale i rozumu społecznego i cnoty obywatelskiej. Bezpartyjność, więc brak przekonań, brak sądu, więc sobkostwo, tchórzostwo, obskurantyzm, głupota, bydlęca obo-

jętność nabrała szanownej wartości, stawiała ludzi na stopniu niedosięgłym. Kto umiał milczeć i słuchać cierpliwie, jak mówią inni, i nigdy ani na lewo ani na prawo się nie deklarować i nigdy żadnego poglądu zdecydowanego nie wyjawiać, ten urastał na Katona, ten był, w wyobrażeniu polskiego analfabetyzmu społecznego, perłą urjańską, gwiazdą nad gwiazdami. Ba — ba, a jeżeli nadto taki czcigodny bezwyznaniowiec był dość bogatym, aby od czasu do czasu rzucić jakiś grosz na cel społeczny — wówczas bekowi uznania nie było końca.

Bezpartyjność!!!... Bezpartyjność może być niezawodnie cnotą, o ile wyraża bezstronność człowieka wobec kości, o którą walczą inni, o ile dana kość jest dlań obcą lub może być obojętną. Francuz może być bezpartyjnym w sporze Prusaka z Duńczykiem, lecz, w tym samym sporze, więcej bezpartyjnym będzie niezawodnie Arab lub Hiszpan. Ale bezpartyjność Polaka, wobec stronnictw polskich, dążących do takiego czy innego rezultatu dla polskiej sprawy — musi wyrażać się jakimś innym zdeklarowanym zdaniem. Jeżeli zaś bezpartyjny zdania tego nie wyraża, jeżeli, nie godząc się na żadną z istniejących partyj, na żaden z programów, na żadną z dróg politycznych, nie przedkłada własnego programu, własnej nie kreśli drogi — toć jest tylko grabarzem własnego społeczeństwa, tylko chmyzą!

Ta prawda była obcą popowstaniowemu pokoleniu, była już zwyrodniałą i w epoce porewolucyjnej i w epoce ponapoleońskiej i pokościuszko-

wskiej. Hen, gdzieś, w zapalonych głowach młodzieży buchały płomienie — tam, gdzieś, w umysłach garści, kłuły się postulaty — ale ogół był ani zimnym ani gorącym, był bezpartyjnym!

Na świeczniku życia społecznego nie było stąd miejsca dla umysłów dzielnych, energicznych, skrytalizowanych, ileż te nie mogły dla natury swej pozostać obojętnymi, bezbarwnymi — na świeczniku za to rozpierały się (czy rozpierały?!) miernoty, bezkrwiste ślimaki, zacne niedołęstwo, ukochana bezwyznaniowość polityczna, podszyta tchórzostwem.

Na taki stan złożyło się wiele przyczyn — ale i pośród tych przyczyn podobno najdzielniej przyczyniła się zła organizacja stronnictw politycznych, samozwaństwo przedstawicieli i trwanie sił na ścieranie się wzajemne, miast wyłączenie ich ku wzmocnieniu swych partyj.

Walka stronnictw najsilniej uwidoczniła się w konfliktach między, tak zwanymi, „ugodowcami“ i „wszechpolakami“. Pierwsi zwali się spadkobiercami polityki Wielopolskiego, drudzy czerpali swe programy z puścizny powstańców. Pierwsi wystawiali swe „realne“ cele, dążące rzekomo do *modus vivendi* z Rosją, drudzy odrzucali wszelką myśl porozumienia się z Rosyanami.

Ugodowcy wytykali wszechpolakom zbrodniczość zamiaru wydania narodu polskiego na rzeź — wszechpolacy dowodzili ugodowcom skwitowania z narodowych ideałów i poddawania pleców polskich na rosyjski knut.

Ugodowcy byli silni pieniędzmi, wpływami,

solidarnością z odnośnemi stronnictwami zaborów austriackiego i pruskiego — wszechpolacy byli słabi, ileże ani pod zaborem pruskim, ani pod zaborem austriackim nie mieli zwartych szeregów a całe ognisko swe czerpali z garstki emigranckiej.

Ugodowcy byli jeszcze silni plonem, który wydał pod zaborem rosyjskim pozytywizm a z nim skwitowanie z ideałów na rzecz twardej troski o byt ekonomiczny. Ugodowcy byli jeszcze bardzo silni pokoleniem Polaków, którzy, dochrapawszy się stanowisk i pieniędzy w głębi Rosyi, żyli się z nią, zbratali i zaczynali nie pojmować wszechpolskiego wstępu do Wołgi, do kawioru, do złotodajnych przedsięwzięć, do świetnych interesów na kolejach, do „szerokiego“ życia Moskwy, Petersburga, czy Krzywego Rogu. Ugodowcy byli jeszcze silni temi dziesiątkami i setkami Polaków, którzy na kresach Rzeczypospolitej, zmordowani, przygnębieni, zdemoralizowani zajadłą walką z łotrami tej miary, co Murawiewy, Ignatiewy, von Wahle, Klingenbergi, Klejgelsi — stracili wiarę w siebie, zgłuszyli w sobie świadomość, iż są wedetą dwudziestomiljonowego narodu i, ratując się i szukając punktu wyjścia, zaczęli wykrywać „zacnych“, „porządnych“ Rosyan. I ugodowcy byli jeszcze silni zyskami, które małokulturalna Rosya zapewniła przemysłowi polskiemu. I ugodowcy byli jeszcze silni sobkostwem tych wszystkich, którym musiał uśmiechać się taki plan, przez który można było jakoby zyskać wiele a nie stracić nic.

Tak, ugodowcy mieli swoją „czapkę z pawich piór“. Boć dość sobie przypomnieć, iż przez całe pano-

wanie Aleksandra III i początki panowania Mikołaja II rozpierali się i przywodzili ludność zaboru rosyjskiego do stóp tronu, iż, nie pytając nigdy nikogo o upoważnienie, koncyrowali wiernopoddańcze adresy, ślali lojalne wynużenia! Dość sobie przypomnieć, iż tak potrafili zamagnetyzować krocie „ani zimnych ani gorących“, że te aż wyły, aż pełzały u stóp Mikołaja II w pamiętnym dniu wjazdu tegoż do Warszawy! Dość sobie przypomnieć ten bezmiar naiwności, aby wyrozumieć, z jednej strony, siłę ugodowców a z drugiej ocenić przepaść głupoty rosyjskiej!...

Ugodowcy runęli — runęli, nie dzięki wytrzeźwieniu społeczeństwa polskiego ale dzięki płytkości polityki rusyfikacyjnej. Toć, gdyby wówczas cesarz Mikołaj II kazał swej orkiestrze zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła“ — to na dziesiątki lat zagrzebały w zaborze rosyjskim wszelką myśl o niepodległości, toć by posiadał krocie czerkiesów, gotowych nawet Moskwę uczyć poszanowania dla cesarskiego majestatu.

Ugodowcy runęli — ale runęli niezupełnie, przegrali wielką batalję, lecz przegrali ją wskutek zdrady swego sprzymierzeńca a raczej wskutek wyparcia się ich przez tego, dla kogo pracowali. Ugodowcy runęli — ale ich upadek nie był zwycięstwem wszechpolaków, lecz tryumfem bezpartyjnych... wzmożeniem się impotensów politycznych, rzezańców.

Bezbarwność społeczeństwa polskiego pod zaborem rosyjskim była tak wielką, iż za zdobycz sobie miała nawet rosyjską politechnikę, nawet

pomnik Mickiewicza, — ten pomnik, okupiony spó-
dleniem się, ten pomnik, wyżebrany wyciem na
cześć caratu, ten pomnik wyszachrowany przewrot-
nemi a hańbiącemi pamięć wieszczą zaręczeniami,
że Mickiewicz był „po prostu“ pisarzem... „nawet“
w Moskwie i Petersburgu uznawanym, a więc nie
żadnym, broń Boże, rewolucjonistą!!

A wszechpolacy? — Wszechpolacy, rzućni
w dal życia emigranckiego, pochłonięci wycieczkami
osobistemi, wzięli ciągle, zrażający ludzi swą bez-
względnością, — szamotali się, nie czuli istotnych
słabych stron ugodowców, pozwalali rozpościerać
się socyalistom, mniemali w nich znaleźć soju-
szników.

I kto wie czyby wszechpolskość nie utonęła,
nie skonała z konwulsyjnych wysiłków, gdyby nie
zapamiętałość rządu rosyjskiego, który, odwróciwszy
się od ugodowców, wytrzeźwił niejednego z zapa-
leńców, pozwolił spokojnie przyjrzeć się ugodzie...

Nikłość i kruchość ugody objawiła się w całej
pełni, a nikłość i kruchość jej wynikała z tego, iż
ugoda zapierała się plecami o trójlojalizm, że nie-
tylko była programem pojednawczym dla zaboru
rosyjskiego, ale szukała i znajdowała popleczników
w ugodowcach austryackich i pruskich. A za tem,
jako program zewnętrznej, ogólnopolskiej polityki,
albo skłaniała się do absurdu, albo raz na zawsze
zrywała z myślą połączenia się zaborów i sankcyo-
nowała rozbiór Polski. Bo, jeżeli nawet ugoda kryła
w dalszym ciągu zgoła inne zamysły, a narazie,
w uzyskaniu ulg, chciała szukać wzmocnienia sił
polskich, — to nie mniej zapominała, iż taktyki

podobnej może się trzymać pojedynczy mąż stanu, ale stronnictwo musi mieć jasno zadeklarowany cel, inaczej, stoczyć się może po pochyłości i pchnąć naród tam, gdzie nie zamierzało.

I najmocniej wypada zapamiętać, iż, naprzykład, Wielopolskiemu wolno przypisywać najlepsze intencje, wolno żałować go i ubolewać, iż naród go nie zrozumiał, bo wolno ufać, że Wielopolski, trzymając w ręku nici władzy, odżywi naród, podniesie — a potem, już i sam zażąda dalej idących ustępstw. A jeżeli komuś nie przypadałoby do gustu domyślanie się w Wielopolskim Wallenroda, to jednakże trudno by mu było zaprzeczyć możliwości takiej hipotezy. — Ba, a rozbierając pojedynczo postać Szczęsnego Potockiego. Czyż wiele trzeba doprawdy zręczności, aby zeń wykroić dumnego, pysznego, ale ożywionego najlepszemi chęciami pana! I Szczęsny Potocki, póki jest mężem stanu, człowiekiem marzącym o władzy, póty godzi się wierzyć rzetelności jego planów, póty najostrzejszy sąd uczyni mu zarzut warcholstwa za ledwie. Dopiero, gdy też same wyobrażenia Szczęsnego podzieli gromada ludzi, gdy ta gromada, nie ogarniając ukrytych zamiarów Szczęsnego, realizować zacznie widome i wpadnie w samobójczą Targowicę, wówczas i plan polityczny, po swojemu zbawczy, staje się zdradą.

I w tych przykładach nikłość i słabość polityki ugodowej i pojednawczej. A raczej nie polityki, lecz programu narodowego. Gdyż ostatecznie społeczeństwu polskiemu zupełnie wszystko jedno, co i jaka samozwańcza deputacya powie w Peters-

burgu, ale temu samemu społeczeństwu nie może być obojętnem, dokąd ma iść za stronnictwem.

Wykład credo ugodowców i żądań ich aż nadto często był ogłaszany, aby go tu powtarzać, lecz przypuśćmy, iż urzeczywistnił się już, iż mamy już to utęsknione zrównanie praw z Rosyą, iż posiadamy nawet jakąś karykaturę autonomii — ale co dalej?!

Ugodowcy z łatwością potrafiliby odrzec, iż, posiadłszy autonomję i zrównanie praw, doprowadziwszy społeczeństwo do tego punktu, „zastanowimy się i ruszymy naprzód“...

Odpowiedź taka byłaby uzasadnioną, gdyby lud był masą bezwładną, gdyby, raz dzwignięty, nie parł sam, gdyby ten lud nie był z natury swej skłonny do uniesień, do oszołomienia, gdyby nie był polskim ludem!

Odpowiedź taka byłaby zupełnie słuszną, gdyby ugodowcy zdolni byli przewidzieć, gdzie się skończy równouprawnienie, gdzie zbratanie poważnionych nie zamieni się w zlanie.

Wyższość naszej kultury?! Piękny frazes na użytek małomiasteczkowej inteligencji!... Kulturę, i wyższą od naszej, miał i Egipt i Assyrya, Grecya i Rzym, a przecież nie ocalało to żadnego z tych państw. A zresztą, zaczynamy mieć więcej analfabetów od Rosyi, a przecież na polu nauk ścisłych ledwie już dorastamy Rosyi, a przecież coraz mniej mamy do powiedzenia Rosyi i w dziedzinie przemysłu, — powie ktoś, iż to dzięki niewoli, dzięki niegodziwości naszych kacyków — ba,

ale stąd nie masz argumentu przy rozpatrywaniu zagadnienia, o ile przewyższamy Rosyę kulturą.

Ugodowcy nasi nadto zapędzili się we wzorowaniu się na zachodzie Europy, a już ugodowcy zaboru rosyjskiego zbyt pochopnie symulowali swoich rodaków i jednowierców z Poznańskiego i Galicyi!... Bo, *primo*, ugodowcy polscy wogóle zapomnieli, iż to tylko stronnictwo może pociągnąć za sobą naród, które zdolne będzie ogarnąć wszystkie zabory, które, wykreślając cele bliższe dla jednego zaboru, zjednoczy myśl polską wszystkich zaborów w jakimś celu, może idealnym, trudnym do ziszczenia, ale wspólnym. A, *secundo*, ugodowcy zaboru rosyjskiego, przeciwstawiając realne postulaty mrzonkom, sami szli drogą urojenia o tem, że rząd zgodzi się na jakieśkolwiek ustępstwa dobrowolnie.

Błąd pierwszy, ogólno-ugodowy, był i jest wielkim, bo w każdym poszczególnym zaborze prowadzącym stronnictwa ugodowe na potępienie i zgubę. Bo nietylko naród polski, ale i każdy naród wówczas tylko stanie mocno pod sztandarami, jeżeli te sztandary powiodą go bodaj po stopniach najpozytywniejszych, ale ku ideałowi. I każdy naród nie tylko polski, gdy mu każą wybierać między krótką metą realnych korzyści, a mgłami spowitym ideałem, pójdzie za drugim, a nie do pierwszej. — Ugoda przy sprzyjającym rządzie, jak w Galicyi lub do niedawna w Poznańskim, może osiągnąć i wpływy i znaczenie i przysporzyć dobra, — ale dość jednego drgnienia, aby naród zerwał pęta i podeptał swoich proroków. Prorokom tym majaczy się świa-

dectwo historyi! Daremnie, bo i historia zawsze schyli głowę przed Rejtanem i nie uzna, że poseł Suchorzewski, targowiczanie, był nieposzlakowanej uczciwości i w dobrej wierze działającym człowiekiem, zawsze hołd złoży Andrzejowi Zamojskiemu i daruje mu to niepowodzenie, którego Wielopolskiemu nie przebaczy, zawsze po macoszemu obejdzie się z Gołuchowskim, a Sapieszemu laurów przysporzy.

Błąd drugi ugodowców zaboru rosyjskiego, czy, tak zwanej, polityki realnej, najdosadniejszy znalazł wyraz w dziejach roku 1905!! Rząd poczynił koncesye, lecz w jakich warunkach?! Dlaczego? Czy dlatego, iż w roku 1905 uwierzył w lojalność Polaków? Czy zachowanie się Polaków podczas wojny tureckiej r. 1877—78 nie było o wiele lepszym? Czemuż teraz uwierzył?!...

Zastanawiać się nad temi pytaniami znaczyłoby dowodzić tabliczki mnożenia, czy znęcać się nad powalonym.

Ale nie tu koniec nikłości i słabości polityki ugodowej—a raczej największej jej nikłości i słabości. Partję ugodową podkopać musiało to, co stanowiło jej główną siłę i czoło, partję ugodową musiała poderwać też sama siła, która ku wzmożeniu jej się przyczyniła, która kompromituje każde stronnictwo zachowawczo-konserwatywne w każdym państwie...

Bo i któż to stanowił u nas ugodę, bo i któż to składa się na miazgę dzisiejszej polityki realnej?! A więc nadewszystko arystokracja, magnateria i plutokracja wogóle, czyli, żywiol, obawiający się, jak ognia, wszelkiego zamętu, żywiol w każ-

dem państwie dążący do pojednania ludu z monarchią, a zarówno monarchii, jak i ludu, ze swoim uprzywilejowaniem stanowiskiem.

I ani nasza arystokracja, ani też nasza plutokracja, czy to ziemiańska, czy przemysłowa, niczem a niczem nie różni się i nie różniła się od swoich siostrzyc francuskich, niemieckich, czy rosyjskich. Nasza arystokracja i plutokracja może objawiać sporadyczne zapały — ale wogóle swym hołdowała i hołdować będzie idei, że starczy, aby dany rząd zaborczy szerzej rozwarł wrota zaszczytów dla uprzywilejowanych, aby uprzywilejowani już zgola otwarcie stanęli po stronie rządu. Nasza arystokracja i plutokracja, w ciągu całej epoki porobiorowej, szukała zawsze ugody i o tyle dała się porywać wirowi rewolucyjnemu, o ile ten wir łudził ją nadzieją zdobycia wyższego stanowiska.

I błędem byłoby kuć z tego pioruny na miążdżenie arystokracji i plutokracji naszej — ileż to ich zachowanie się ma bezpośrednie wytłumaczenie w egoizmie ludzkim, w tym egoizmie, który tem łatwiej wyrzeka się altruizmu, im ten ostatni przez swe przywileje silniej gwałci. I błędem jeszcze byłoby potępiać za to naszą plutokrację z arystokracją, ileż sfery te sięgają już ku granicom władzy, ileż zaczynają mieć moralność państwową, ileż moralność społeczna wydaje im się, z piedestału ich przywilejów, czemś niemilem, bo chłonnym ich wyniesienie.

I plutokracja jest wszędzie jednakową służką arystokracji i kandydatką do wciśnięcia się w jej szereg. I arystokracja jest wszędzie jednakową

służką władzy i znów kandydatką do wciśnięcia się w jej szeregi. Na tych trzech fundamentach wspierają się i monarchie i republiki... Boć syn Carnota jest takim samym arystokratą i stronnikiem siły, która wyniosła jego ród, jak i syn Bismarcka, jak i wnuk Bonapartego.

W pewnych warunkach życia ludzie normalni i zdrowi łysieją, tracą zęby, głuchną lub ślepną... Ludzi takich umiemy doceniać, potrafiemy ich wyodrębnić a stawiać pod kątem warunków życia, które ich do takiego stanu a wyglądu przywiodły! Wszak głuchemu nie uczynimy zarzutu z tego, że nie reaguje na muzykę, bo i ślepemu nie będziemy wymawiali nieznajomości kolorów, bo wybaczymy łysemu czapeczkę na głowie i w ciepłym pokoju, bo od bezzębnego nie będziemy żądali, aby gryzł dziąsłami orzechy!...

Też same racje powinniśmy stosować do arysto- i plutokracji naszej a więc i pamiętać, że nie można od niej wymagać tego, co zaprzecza jej naturze. Arysto- i plutokracja zawsze będzie miała na względzie swe własne przywileje i zawsze ku ugodzie z rządem będzie dążyła. Prawda, niekiedy uroszczenia arystokracji mogą spotkać się z dobrem całego ludu, lecz spotkanie takie jest zawsze zbiegiem wyjątkowych okoliczności. Prawda, nasza arysto- i plutokracja radaby z całego serca doczekać się zmartwychwstania państwa polskiego, ale pod warunkiem, iż to zmartwychwstanie nie zmiażdży jej, nie zepchnie w tłum, lecz wzmocni jej stanowisko. Miłość szlachty francuskiej do Burbonów, zaciekłość, z jaką szlachta francuska zabiegała,

ha i zabiega, o wskrzeszenie tronu jest tylko zabieganiem o własną skórę błękitną, o własne przywileje, o przywrócenie uroku rodowodowi, ale nie o żadne dobro Francji! Wszakże arystokracja stanowi kadry tych, którzy z dnia na dzień gotowi są wyrzec się i wiary swej i ziemi i imienia, byle zostać władcami! Wszakże duński książę bez namysłu został Norwegczykiem, niemiecki Rumunem. Wszakże korona usprawiedliwia każde renegactwo—no, a wszakże arystokracja jest podporą i najbliższą sojuzniczką korony.

Cały ten wywód zmierza ku temu, aby nie żądać od ludzi tego, czego dać nie mogą, aby wyodrębnić cel narodu od dążeń kasty, aby nie zdumiewać się, że ślepi nie znają się na barwach, a głusi na muzyce.

Partya ugodowa zaboru rosyjskiego, opierając się na sferach arysto- i plutokratycznych i z konieczności te sfery mając na czele, musiała w każdym jaśniejszym umyśle budzić podejrzenie, musiała przy pierwszej sposobności wzniecić nieufność... I nieufność ku ugodzie rosła, rosła tem szybciej, im częściej rząd rosyjski składał dowody swej pa-mięci o interesach polskiej pluto- i arystokracji.

Niezawodnie, partya ugodowa posiadała i posiadała garstkę ludzi, których trudno pomówić o widoki kastowe, których dobrej wiary nie godzi się poddawać w wątpliwość — lecz ta garstka bojowników nie ocala Sodomy kastowej, nie chroni Gomory ambicij od potępienia.

Aby zgoła dokładnie wyrozumieć kruchość i nikłość ugody, — należy przyrzec się wprost

nieprawdopodobnemu zjawisku, bo ciężeniu i skłanianiu się „realistów“ ku socyalistom!! Arystokratyczno-plutokratyczna ugoda, przyciśnięta do muru, woli poczynić koncesye dla Marksa i Engelsa... niż zbliżyć się do, tak zwanej, narodowej demokracji!...

Taki zwrot byłby wprost trudnym do uwierzenia, gdyby nie był zadokumentowanym wielokrotnie w słowie i w piśmie, gdyby co dnia w zabiegach realistów się nie ujawniał.

Narodowa-demokracja i socyalizm!! Więć zasadniczo dwie skrajności dla arysto-plutokratycznych realistów, więc pozornie, z dwojga złego, dla ugody bliższymi powinni się wydawać endecy!... Ale to tylko pozornie — gdyż w istocie utytułowany możnowładca polski ma styczny punkt z socyalistą — a za to z narodowym-demokratą posiada jedynie zastarzałe obrachunki osobiste...

No, tak! Bądźmyż szczerzy! Wszechpolacy tyle razy menerów ugody i pojednania wypominali, jako łotrów, obwiesiów, sprzedawczyków, szpiegów i kajdaniarzy, iż realiści w narodowej-demokracji widzą nadewszystko nie program, nie ideję, ale swych nieubłaganych wrogów, no i stąd z góry wykluczają możność połączenia usiłowań!...

A dalej — dalej, punkt styczny zdolny skojarzyć realistów z endekami dałby się znaleźć, ale pod warunkiem obustronnych wielkich ustępstw! Na cóż tedy ten trud i może daremny, gdy, podczas, punkt taki dla ugody i socyalizmu wynika sam przez się!

Jakiż to punkt?! Bardzo prosty — „precz z Polską!“ —

Ugoda zaboru rosyjskiego podczas ostatnich wypadków z całej mocy zaprzysięgała rządowi, iż Polacy nie myślą o żadnej Polsce, że przyszłość swoją uważają w nierozdzielności politycznej z Rosją, że dopominają się o prawa kulturalne dla swej narodowości, lecz, poza tem, nawet w rewolucjonizmie idą ręką w rękę z rdzenną Rosją!! I ugoda bardzo przemyślnie posługiwała się dla swych widoków międzynarodowością socyalistów Polaków i przyklaskiwała ich wszystkim wystąpieniom, akcentującym braterstwo jednej wszechrosyjskiej doli i tych samych dążeń.

Naturalnie, realiści są ludźmi dobrze wychowanymi, ludźmi, którzy niezdolni są do okrzyków „precz z Polską“... ale jedynie z tej przyczyny, iż okrzyk taki jest nieostrożnem budzeniem tego właśnie polskiego licha, które ugoda radaby uspić.

Zachodzi pytanie, jakże plutokratyczni realiści mogą znów przystać na sojusz z ludźmi, zagrażającymi kapitalizmowi i przywilejom? Ach, najpierw, jeżeli demokracja narodowa nie zapomni o demokracji, to, w tym będzie groźniejszą i silniejszą od socjalizmu, a następnie socjalizm panrosyjski jest sobie tylko przysłowiowym „polskim mostem“ i „niemieckim postem“. Socjalizm panrosyjski (a w nim polski) dla pluto- i arystokracji ma znaczenie równie groźne, jak wystygnięcie kuli ziemskiej, zgaśnięcie słońca lub możliwość końca świata. Monarchja rosyjska ma tyle jeszcze ziemi, leżącej odłogiem, tyle nieobsianych pól, nietkniętych bogactw, tyle materiału na wytworzenie czarnych sotni, tyle sposobów nawet i pokojowego s tłumie-

nia ruchu, iż byle ułagodziła żywioł muzycki, to z socjalizmu może jeszcze dziesiątki lat drwić.

O tych faktach wiedzą ugodowcy, wiedzą i o tem, że gdyby nawet wybuch rewolucyi potrafił zniweczyć dynastję, to podobno dlatego, aby ustanowić drugą. Ugodowcy wiedzą i o tem, że, gdyby wszyscy inteligenci z socyalistami razem zgodzili się na Rzeczpospolitą rosyjską, to nie ostali by się muzykom, to nie starczyli by z siłami na opanowanie wybuchu pod hasłem cesarza. Ugodowcy zatem nie myślą dociekać do rdzenia programu socyalistycznego, im chodzi o wytrzeźwienie się Polaków z mrzonek narodowych, bo o zapalach ku Marksowi w ostateczności pouczy Polaków równie dobrze konstytucyjny jak i niekonstytucyjny żandarm. Ugodowcy nasi doceniają socyalizm! Jeszcze kilka strejków coraz mniej solidarnych, jeszcze kilka zamachów, kilka wybuchów rozpaczliwych -- no i tuż wyczerpanie, zmęczenie, korrupcyja wewnętrzna no, i mniej mocy państwowej socyalistów niż w Niemczech. A potem, odrobina mniej zaślepienia rządu, odrobina więcej przewrotności i sprytu, a naród sam sobie do reszty obrzydzi socyalizm.

Ugodowcy nasi nie przyznają się głośno do podobnego rozumowania, — lecz przyznawać się nie potrzebują, — samo ich zezowanie ku pepeesom i esdekom najlepszym jest tu dokumentem wyłożonego światopoglądu.

I doprawdy trudno się łudzić, aby stronnictwo polityki realnej mogło mieć jeszcze widoki powodzenia i już dziwić się przychodzi, iż po tylu zawodach zrywa się do lotu, iż mu własna nie zbrzy-

dła robota... Ta wytrwałość realistów wynika podobno z wielkiego uzdolnienia i wielkiego wytrwania gromadki ludzi, którzy za uchybienie by sobie poczytali cofnięcie bodaj jednego wyrzeczonego słowa! Gromadki ludzi, która z całym fanatyzmem trwa tem silniej na swym biegunie, iż na biegunie przeciwnym widzi najpierw swoich osobistych nieprzyjaciół... Raczej ledz, niż wyrzec się własnego przekonania, bodajby to przekonanie stało się przytkiem!...

Ach, taka wytrwałość zasad ma w polskim społeczeństwie nawet mir, nawet wysokie uznanie i aż takie uznanie, że biada ludziom, których mózgi pracują, których serce bije, których myśl nie skrzepła na raz wygłoszonym zdaniu.

I szkoda i żal tej gromadki fanatycznej, która wraz z realistami trwa, bo szkoda na zmarnowanie ludzi zdolnych i godnych. Szkoda jeszcze i tych, co uniesieni „wykryciem“ porządnych Rosyan pośród wczorajszych „moskali“, wyciągają ku nim równie bezmyślnie ramiona, jak wczoraj bezmyślnie ich potępiali!

Tak, ugodowcy mieli „czapkę z pawich piór“ — „został im się tylko sznur“ i to sznur, który sami sobie zaciskają na szyi! Dzisiejsi zaś przemianowani realiści nie czują łączności z tym fatalnym sznurem i, że skupili tyle a tyle pod swoim sztandarem tytułów, bogactw i włók ziemi, gotowi za tryumf sobie mieć każdy osiągnięty mandat poselski! Tak, realiści, w izbie rosyjskiej, mają wszelkie dane do zdobycia mandatów, — mogą za pomocą nich i dobra przyczynić ale, realiści, jako

wyznanie wiary narodu polskiego, jako zawołanie jutra, jako wszystko, co naród polski zwie lub zwać będzie swoją przyszłością, są skazani na zagładę, na niepamięć nie tylko rodaków, ale i swoich własnych dzieci! Tak, bo my, Polacy, musimy czegoś innego żądać od naszych stronnictw nad program wewnętrzno-społeczny jednego zaboru! Kto u nas uderza we dzwon, kto na wiece naród wzywa, ten musi iść dalej, niż sięgają realne ulgi dla jednej części polskiej ziemi.

Uгода, pojednanie z Rosyą?! No, tedy dążność bezpośrednia do oderwania od pozostałych zaborczych państw polskich prowincyj?! Więc unja dobrowolna, ale całego narodu?!... — Nie, nie! Realisci w takie mgły nie sięgają!... Realisci nie mieszają się do „ościenych mocarstw“, są dumni z austriackości Polaków i boleją, iż realna polityka Poznańskiego uległa naporowi ludu. Realisci naród polski mierzą tylko gubernjami i mają dlań gubernjalne ideały. Tego dość dla mieszkańca warszawskiej czy mińskiej gubernii, — lecz za mało dla Polaka.

Gubernjalne ideały, gubernjalne programy i gubernjalna polityka, — oto dorobek realistów, dorobek posiewu dawnej ugody, a żniwo obecnych spadkobierców zmodyfikowanego stronnictwa. Gubernjalne ideały, przykrojone oddzielnie dla Kijowa, Wilna, Mińska, Witebska i Warszawy — a cechą tych ideałów rzewna przysięga, iż Polacy ani marzą o czemś, coby mogło rozdzielić ich z monarchją rosyjską, że wyrzekają się raz na zawsze wszelkich separatyzmów i tym podobnych „głupstw“.

I tych gubernjalnych ideałów namnożyło się, boć zbyt wiele mamy ambicyonowanych pseudo-polityków, aby ci mogli wyrzec się myśli stworzenia własnego stronnictwa!... Jakoż co dnia przybywa jakiś potworek partyjny, pstrzący swój „nowy“ kierunek oklepanymi frazesami i przybierający za szyld jakiś przymiotnik, mniej więcej, nic nie mówiący. I co dnia, na linii trzech wybitnych partyj: ugodowców, wszechpolaków i socyalistów ukazują się różnorodne umiarkowano-pojednawczo-bezkościste kadłuby, posiadające już i wodzów i apostołów tylko wcale wyznawców. Są więc ludzie, którzy zwą się „postępowcami“, inni „katolikami“, trzeci „socyalistami z Polską“, a jeszcze są i tacy, którzy chcą socyalizmu bez Polski, narodowości bezwyznaniowej, nacyonalizmu niedemokratycznego, ugody proletaryackiej.

Istny taniec partyj wszczął się na ziemi polskiej zaboru rosyjskiego i taniec na krzywdę polskiej sprawy, bo na zaćmienie jeszcze większe tych, którzy zdolni są przejrzeć i stać się obywatelami. Doświadczenie, zdobyte w Galicyi i Poznańskiem jest dla zaboru rosyjskiego bezwładnem, dzieje ostatnich stu lat są martwą literą, bo potężniejszą jest myśl o naśladowaniu Europy, o zmałpowaniu podziału na partye, szyldy, frakcye, lewice i prawice, choćby całemu ciału narodu polskiego brakło, po dawnemu, korpusu!...

I stąd przeciętny umysł Polaka, poddanego Rosyi, umysł, wychowany na polityce „Gazety Politycznej“, po dawnemu strzeże swej bezpartyjności, po dawnemu daje odczepne pepeesom, płacze na

„Obronie Częstochowy“, podpisuje adres lojalny, zawiera przymierze z rewirowym, śpiewa na manifestacji patriotycznej, woli nie zadzierać z „Czerwonym sztandarem“, w Warszawie wielbi pruski porządek, w Poznaniu chwali szeroką naturę rosyjską, zazdrości w Wilnie galicyanom swobód konstytucyjnych, a we Lwowie wzdycha do świetnych interesów w Rosyi!

I stąd przeciętny umysł Polaka, zagadnięty kategorycznie, — sięga do zapasu frazesów i wydyma nimi swoje bezpartyjne godło — pęcherz.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

LUD I LUDOMANJA.

Piękne hasła i zawsze tylko hasła. — Lud bez osłonek. — Kto doń trafia. — Monopoliści. — Sukmany, jako dekoracya zabaw. — Kwestya jednego wyrazu. — Urodzeni arystokraci. — Polska równość. — Czarodziejska konstytucya. — Demokracya. — Endecy w Galicyi. — Trzy prądy podaustryackie. — Wpływ kleru. — Mankietnicy. — Głód duszy.

W żadnym społeczeństwie tylu pięknych apofrof, tylu gromkich wezwań a uroczystych zapowiedzi pod adresem ludu nie wyrzeczono, co w polskim, no i w żadnym też, stosunkowo do hasań, nie uczyniono tak mała dla ludu, jak w polskim.

„Lud“, „dla ludu“, „z ludem“, „przez lud“ — toć chyba jedno z najmilszych przypadkowań, któremu oddajemy się od wieku z góra, bo od konstytucyi trzeciego maja prawie. Ale, niestety, to przypadkowanie nasze wyrazu „lud“ jest w rzeczywistości równie pustem, jak odmiana słowa *a m a r e* w ustach pierwszoklasisty. Przestrzeń bowiem czasu, dzieląca nas od Raclawic, już w jednym stuleciu się nie mieści — a lud ledwie dźwiga się, ledwie oczy przeciera, ledwie ośmiela się głoś zabrać a o swoje upomnieć się prawa!

Ach, my sami zdajemy sobie sprawę z tego smutnego stanu, my, inteligenci, przyrzekamy sobie pracę żarliwą, byle nieco zelżały, krępujące nas więzy — ale pocieszamy się myślą, że chcieliśmy, lecz nie mogliśmy, bo zaborcze rządy... itd.

Prawda, prawda, zaborcze rządy wiele nam szyków popsowały, no, ale i znów nie mamy potrzeby nadto naszemi chęciami się chwalić ani słowami z aktów niedokonanych się sumitować. Po-

wiedzmy sobie szczerze, iż tak bardzo to i nie chcieliśmy, iż usiłowań jednostek nie wspieraliśmy i trwaliśmy tylko na słodkiem westchnieniu „gdybyż lud nasz!...“ To nasze westchnienie było pobożnym życzeniem sobie cudu, ale nie wezwaniem do zakasania rękawów.

Rządy zaborcze paraliżowały nasze zabiegi a raczej, myśmy tak głęboko uwierzyli w siłę paraliżującą nas, że i tam, gdzie ona nam nie groziła, nie czyniliśmy nic...

Ale już nie wypominajmy sobie tych błędów niezliczonych, kołyszmy nasze sumienie narodowe naszym ubezwładnieniem, zapomnijmy o tem, czyśmy mogli co zrobić dla ludu w czasach Księstwa Warszawskiego lub Kongresówki, wierzymy żeśmy potężnych zadań dokonali w Galicyi, wierzymy, iż to nie Prusacy uświadomili lud poznański, wierzymy, iż wiele uczyniliśmy w zaborze rosyjskim, wierzymy wszystkim legendom, byleśmy z nich czerpali otuchę do pracy, byleśmy nie zaczęli myśleć o odpoczynku, byleśmy ogarnęli raz ogrom, leżących odłogiem, niw, byleśmy spostrzegli, iż walka o te niwy nie tylko nie ustała ale wybuchnie silniejsza...

Lecz, aby praca nasza była owocną, wyprzyjmy się ludomanii, zerwijmy z histeryą, która nam chłopa „tworzy“ takim, jakim byśmy pragnęli go mieć a jakim nie jest, zaniechajmy poetyzowania tego, co jest twardym i gorzkim orzechem, stawajmy do warsztatu z jasną świadomością, co nas tam spotka.

Lud polski?!... Rzec prawdę trudniej, niż skłamać... Lud polski jest złym. Jest złym, bo w lwiej

swej części jest mściwym, nieufnym, chytrym, podejrzliwym i upartym. Jest złym bardzo, bo jest ciemnym — jest takim zresztą, jakim uczyniła go nasza obojętność i bezradność a rządów zaborczych polityka waśnienia.

Takim jest lud polski, poza ramami Poznańskiego i kilku wyspami innego ładu i obyczaju w Galicyi i w zaborze rosyjskim.

Tej prawdy smutnej u nas się nie wyznaje, bo u nas chłopem zajmuje się mieszczech, mieszczech koncypuje dlań literaturę, mieszczech rozprawia o tych, których ani zna, ani rozumie. Ziemianin zaś inteligent, albo, żywiąc niechęć dla przywar ludu, odgradza się odeń, albo, jako nowicjusz, garnie się, lecz, przy bliższem zetknięciu się, rozczarowuje się i wyrzeka czemprowadzaj pałów.

Do chłopca dociera tylko ludoman — ale ludomanów czynu mamy wogóle mało, a pośród nich wielu takich, którzy raczej zła niż dobra przysparzają, bo, posiadłszy odrobinę miru u ludu, na tym mirze lubią wypływać, bo, miast jednać i godzić niesnaski, kują z nich dla siebie oręż. A przecież nie w tem rzecz, aby lud przerabiać na kastę, lecz aby go dźwignąć ku oświeconym i z nimi zlać.

Ludomanja ma podotąd monopol, ma monopol dlatego, iż w zacietrzewieniu swem nie roi o podniesieniu ludu, lecz stara się ku niemu niżyc; ma go i dlatego, iż nasze społecznikostwo zraża się brakiem wdzięczności ze strony ludu... bo nasze społecznikostwo nie rozumie pracy dla przyszłości, bo nasze społecznikostwo, siejąc, chcia-

łoby samo rząć. A więc, albo są tacy, którzy od ludu stronią i nie czynią nic ku jego podniesieniu albo są, którzy póty garną się do ludu, póki się z nim nie zetkną, póki tą lub ową stroną jego charakteru się nie zrażą. Fakt, że zła, wytworzonego przez dziesiątki lat, nie może wytepić wpływ jednego pokolenia, sprowadza naszą energię do zera.

I cała nasza praca nad ludem redukuje się do entuzjastycznych wybuchów, do teatralnych efektów, do fajerwerków nastrojowych. Sukmanami radziśmy zdobić rozmaite fety i uroczystości i podczas tych uroczystości radziśmy, na intencję ludu, wpadać w konwulsje historycznych wynurzeń. Ale, gdy chwila uniesienia minie, gdy brzask poranku wytrzeźwi nam głowy, wracamy znów bezwiednie do dawnej apatii, co gorsze, wracamy przeświadczeni, żeśmy „coś“ dla ludu i to „coś wielkiego“ uczynili.

Uprzytomnijmy sobie te wszystkie malownicze obchody, jubileusze, a rocznice warszawskie, lwowskie czy krakowskie, w których świty chłopskie sadowiliśmy na poczesnem miejscu, w których nie przychodziło nam na myśl, że te świty są albo elementem, wyodrębniającym się z masy ludu albo potulnym materiałem, umiejącym zręcznie wywiązać się z wyznaczonej mu przez panów roli. Uprzytomnijmy sobie te sławetne uroczystości i wspomnijmy bodaj na jeden jedyny wyraz, na ten wyraz, którym szafujemy tak obficie, który wypisujemy przy każdej zdarzonej okazji na naszych chorągiewkach, którym od stu lat pstrzymy wszystkie akty naszej obywatelskiej działalności! Wspomnijmy na wyraz — „równość!“

Żaden chyba naród na świecie w podobnie papuzi sposób nie zaprzysięgał równości, żaden naród nie nadużył tak bardzo potężnego zawołania, nie sprowadził wielkiego hasła do wartości pustych, bezbarwnych głosek!

Równość! — Ach, wszakże to my, my, Polacy, jedni z najpierwszych, wykryliśmy ten drogocenny kruszec! Ach, gdybyż niegodziwe knowania mocarstw nie zgasiły nam ognia równości, którym płonęła konstytucya trzeciego maja!.. Gdybyż pieczęć Kościuszki wyszła zwycięzko z maciejowickiej rozprawy... ach, wówczas, pokazalibyśmy światu, czem powinna być równość w dobrze urządzonem państwie!

Oto ulubione nasze westchnienia do równości! A następstwem tych westchnień jest to, że, nie mogąc „pokazać światu“ ideału równości, wyrzekamy się równości nawet tam, gdzie ona jest wyrazem wcale nie spotęgowanej cywilizacji i uprawiamy obyczaje godne czasów niewolnictwa, poddaństwa i możnowładztwa. I co dziwniejsze, iż ten barbarzyński obyczaj poniewierania słabszym i wywyższania się nie jest złem uprzywilejowaniem jednej kasty, lecz głupotą, ogarniającą nawet tych, którzy nie mają prawa i do urojonych danych na społeczną wyższość.

Prawda, Polacy należą do ludzi najczęściej całujących się ale i do ludzi najrzadziej podających sobie dłonie do uścisku.

Ba, i gdybyż choć manja wywyższania się nie przybierała form obelgi i zabijania w ludziach godności, gdybyż była sobie nieszkodliwą, płytką

dumą ludzi, wyobrażających sobie, iż są z innej ulepieni gliny!... Gdybyż choroba umiejscowić się chciała w jakiejś wyjątkowej warstwie! Gdybyż istniała tylko w tem, co, zwolennicy walki z nieistniejącym przeciwnikiem zwać lubią „szlachtą“... Gdybyż ta szlachta dała się dziś pochwycić, gdybyż nie była rozbitą na strzępy gromadą, której potomkowie zarówno siedzą na wykrawkach fortun, jak i na poddaszach, zarówno u warsztatów jak i za stołami kupieckimi! Wówczas, wiadomem byłoby przeciw komu ostrze zwrócić, kogo dosięgać!

Polak jest urodzonym arystokratą. Polak na najniższym stanowisku szuka dla siebie wywyższenia a szuka nie przez zasługę własną, nie przez swe przymioty serca, lecz przez ciemnienie i poniewieranie i poniżanie innych.

Polak jest urodzonym arystokratą — ale nie dla tego, żeby istotnie przychodził na świat ze zboczeniem, z jakimś guzem arystokratycznym, lecz że od dzieciństwa wsyssa zarazek, że od najmłodszych lat zaprawiają go do uniżenia, lokajstwa i tłumienia w sobie godności wobec silniejszych, a za to, do wyładowywania bezkarnego fałszywej ambicyi na karki słabych i zależnych.

Polska równość! — No tak, zaproszona głowa, dobry humor a wówczas nie tylko kmieć jest dla pana „bratem“, ale i bankier dla kantorowicza „kolegą“, ale i stróż domu dla kamienicznika „przyjacielem“, ale i sługa w winiarni dla rozbawionego amfitryona kandydatem do „bruderszaftu“... Ale, niechże ten sam „brat“, „kolega“ i „przyjaciel“

zechce z tego zbliżenia wyciągnąć dla siebie wskazówkę towarzyską lub wyprowadzić wniosek o równości i zaniechać płaszczenia się i pokory!!..

Zabór rosyjski ma w tym wypadku swój wyłączny argument, mianowicie, w chwili ubolewania nad poniewieraniem równości, wskazuje na Rosyan, jako na tych, którzy udaremniają pracę w tym kierunku, którzy, przy zetknięciu się z polskim ludem, psują go datkami a wybrykami samowoli przytłumiają rozwój poczucia godności.

Argument byłby słusznym, gdyby nie Poznańskie a nadewszystko Galicya!!..

Kraków, Lwów całe Koło Polskie z godziny na godzinę radeby do serca przycisnąć wszystko, co się zwie ludem... byle ten lud chciał, po dawnemu, patryarchalnych strzedz obyczajów!!.. Ba, ale, ponieważ lud zaczyna być... „zepsutym“, ponieważ sługa nie tylko ma lepszy kapelusz od „swej pani“, ale nie uczuwa żadnej wdzięczności za to, iż za swą pracę otrzymuje liche wynagrodzenie, ciasny kąt na mieszkanie i resztki ze stołu, ponieważ służba wogóle jest „zgangrenowaną“, bo kancelista chciałby równie wygodnie żyć, jak sam radca, parobek jak dziedzic a „baciarz“ niczem magnat — przeto jedyny sposób wyjścia unikać „hołoty“. A że, dalej, hołota jest określnikiem dowolnym, bo mającym akurat taką nieskończoność wyobrażeń, jak nieskończoną jest hierarchiomanja Polaków podaustriackich, więc stąd i pogrzebanie równości i stąd dobywanie jej na pokaz w chwilach uroczystych, i stąd chowanie jej do składu

godowych emblematów wraz z umilknięciem ostatniej fanfary.

My podobno już wszyscy zdajemy sobie sprawę z dobra, którego by nam równość społeczna przysporzyła, my wogóle na tym punkcie gotowiliśmy do zgody, byle równość zapanowała w oka mgnieniu, za jednym dotknięciem różdżki czarodziejskiej i od krańca do krańca. Byle człowiek, mniej od nas kulturalny, nie pojął równości opacznie, byle nie wziął jej za prawo uchybiania nam! I my łudzimy się, iż byle nam rozwiązano ręce, to przez jeden akt konstytucyjny potrafimy uczynić tak, aby stała się światłość, iż zrzucimy z siebie stwardniałą skorupę obyczaju, iż wyzbędziemy się odrazu tego, co wzrastało latami w naszą krew, iż podniesiemy lud, sami i pierwsi, nie pomnąc o potrzebie podniesienia nas, inteligentów, ku szczyblom równości.

A tak ci jest przecież — równość jest wyższym stopniem rozwoju społecznego, a w pełni swej niedosięglym. Wyznawać równość i ku równości dążyć, toć znaczy ziszczać wszechludzkie ideały, toć, w naszym życiu, znaczy nadto ruszyć z posad obkurantyzmu dwadzieścia milionów ludu, zlać go raz jeszcze w bryłę niepożytej mocy, o dziesiątki lat dźwignąć ku miejscu, gdzie nasz wpływ, nasza jaźń narodowa sięgnęłaby i poza literaturę i sztukę.

Demokracja?! Niezawodnie demokracja ma ten cel wskazanym, ma go wytkniętym, lecz czy ku niemu dąży z tem napięciem, z jakim powinna, czy nie nadto wiele ogląda się ku rozmaitym inteligentom, czy dość silnie pojmuje, że cała potęga narodu polskiego w ludzie spoczywa, że jeden kmieć

polski znaczy więcej od dziesięciu wynaturzonych łyków miejskich?! A czy wogóle duch demokracji w naszej demokracji jest skryształizowanym? Wszak mieliśmy na ziemi polskiej i niegdy aż nadto demokratów, mieliśmy w roku 48 i takich, co na to palili uroczyście swe szlacheckie indygenaty, aby w kilka lat później zrujnować się na zbieranie materiałów do ustalenia swych zniszczonych legitymacyj! Mieliśmy do licha deklamacyj demokrackich, bodaj nie pośledni księgozbiór moglibyśmy utworzyć z samej demokratycznej... poezyi!... Jakież z tej puścizny dorobek na dzisiaj? — piękne utwory literackie, ślady skier zagastych na nieopalonych nawet, bo pleśnią wciąż okrytych, gałęziach.

Demokracja działa, demokracja zdołała osiągnąć rezultat tak znamienity, jak wiec chłopski, jak walkę o język polski w gminach. Są to świadectwa znakomite, ale, na ogrom zaległych obszarów — ubogie. Ubogimi zaś są i dlatego jeszcze, iż narodowa demokracja zbyt zawile streszcza drugą część swego sztandaru, że nie staje po stronie upośledzonych, że pozwala na krzewienie bajek o socjalizmie, jako jedynym obrońcy uciśnionych, że politykuje z możnowładztwem, że, nakoniec, wytężając siły ku zaborowi rosyjskiemu, nie pracuje dość energicznie w Galicyi, a ledwie kołacze się w Poznańskim.

Poznańskie, bezwzględnie, najmniej potrzebuje wpływu narodowej-demokracji, bo narodowość tam wzrasta równolegle do hakaty, a demokracja dzielnie przepoiła tę ongi wskroś rycerską i naj-

starszymi rodami szlacheckimi usianą ziemię Wielkopolską.

Ale, wzamian, Galicya, ten skład austryackich obywateli, austryackich nadradców, starostów i cesarsko-królewskiej tromtadracyi, jest polem zaległym a przecież ze wszystkich ziem polskich do pracy wdzięcznem, bo otwartem.

Możnaby rzec, iż narodowi demokraci, a wczorajsi wszechpolacy, w Galicyi właśnie mieli swą główną strażnicę. I istotnie, tylko ta strażnica była tak wysoką, iż panując nad bardzo odległymi horyzontami, nie troszczyła się o to, co się wokół niej dzieje, była organizacją na wywóz, a wewnątrz chodziła w tyle, za tak zwanymi, ludowcami.

Coś od roku dopiero, gdy dowództwo narodowo-demokratyczne mogło jawnie wystąpić pod zaborem rosyjskim, gdy Galicya przestała być rezydencją endeków wszechrosyjskich — ci ostatni, w Galicyi zamieszkali, ozwali się mocniej do swych najbliższych. Ale ozwali się niekoniecznie zrzęcznie. Endecy galicyjscy bowiem po latach tolerancyi, objawianej galicyjskiemu socyalizmowi, poszli z nim na ostre, na gwałtowne, na nieubłagane. A przecież socyalizm galicyjski tylko po dawnemu był sobą, tylko, że, uczuwszy się na siłach, próbował czynami stwierdzać, swą społeczno-polityczną wiarę.

Zbyt gwałtowne starcie endeków z socyalizmem w Galicyi miało dla pierwszych to fatalne następstwo, że, przez zapalczywą taktykę, osłabiło znaczenie celu demokracji a wysunęło na pierwszy plan samą narodowość. A przez to dało socyali-

zmowi potężny argument o tem, że on jeden dąży do reformy społecznej, że on jeden broni uciśnionych, że on jeden zstępuje ku maluczkim i upomina się o prawa dla nich.

Powiedzmy otwarcie, — porywczosć endeków galicyjskich wzmocniła socyjalizm galicyjski, wzmogła wpływ ludowców a narzuciła narodowej demokracji wsteczniectwo i hołdowanie konserwatyzmowi. Lud, nie znajdując dla swych najbliższych potrzeb wyraźnego programu wśród demokratów, zwrócił się ku socyjalizmowi i, tak zwanym, ludowcom, tembardziej, że nietylko ostatni ale nawet pierwszy obiecuje mu Polskę!... No, a sprawa rusińska!... Ile endecy galicyjscy działali ku jej przytłumieniu a ile ku zaognieniu niechęci?!

Ale endecy galicyjscy mają wielki argument na swe usprawiedliwienie. Endecy galicyjscy byli nieomal podotąd żywiołem napływowym, byli rozbitkami po większej części z zaboru rosyjskiego, którzy dla zaboru rosyjskiego pracowali!... Tak, narodowa-demokracja była tylko gościem w Galicyi, gościem najczęściej przez prawowiernego galicyjanina poważanym, ale i nierozumianym... I narodowa demokracja, po dzień dzisiejszy, w Galicyi jest partją najśłabszą, najuboższą.

W Galicyi panują trzy prądy: stańczyków rozmaitych odcieni, międzynarodowych socyjalistów i ludowców. Pierwsi zabiegają tylko o to, jakby w austriackości utuczyć swe samolubne widoki i ambicje, drudzy burzą wszelką najlepszą pracę społeczną dla zasady opozycyi a sieją nienawiść klasową, trzeci lud przerabiają na kastę i znów

judzą i znów drażnią i są takim samem złem, jak niegdy szlachta, jak możnowładztwo.

Na pociechę, możnaby zauważyć, iż lud galicyjski waha się, że jeszcze nie jest zdobytym, nie jest jeszcze podzielonym. Lecz i z tej pociechy ta prawda, że walka o lud w Galicyi zaostrza się, że wybuchnie lada dzień w całej pełni.

Zapowiedzi groźnych nie brak. Socjalizm ani jednej nie zaniedbuje okazji, aby bezwzględnie i z zasady stawać po stronie proletaryusza, socjalizm każdy zatarg kapitału z pracą umie przekuwać na oręż wojny domowej, socjalizm nie cofa się bodaj być wrogiem swej własnej narodowości. Ludowcy sekundują socjalizmowi, a o tyle odeń się różnią, iż ku swej stronie ciągną proletaryuszów, iż są znów fanatyczną zawziętą partya, nie zdolną zapalić pochodni miłości i braterstwa.

Stańczycy nakoniec różnych odcieni żywią ścieranie się socjalistów z ludowcami, wierzą, iż te partye na to rosną, aby się wzajem zadławić i stańczycy szukają dla siebie ościeni w religii, w klerze. Jakoż kler galicyjski chodził dotąd w kieracie stańczykowskim i chodził tak, że wpływ swój własny poderwał, osłabił. Dopiero dziś, gdy odłam grecki katolickiego kleru galicyjskiego stanął po stronie „riezunów“ rusińskich, gdy sylwetka metropolity Szeptyckiego coraz pełniej zarysowuje się na tle rusińskich separatyzmów, gdy głowa unii religijnej dostaje zawrotu wielkości, marzy o tem, że lepiej być pierwszym wśród Rusinów niż czwartym wśród Polaków — dopiero dziś kler polski w Galicyi budzi się!

Budzi się podobno ten sam kler i pod zaborem rosyjskim i w Poznańskim. Ale bodaj to budzenie się kleru nie było spóźnionem, bodajby było czemś więcej niż żalem po niewczasie, bodajby nie wszędzie budził się przy odgłosach mankietnictwa.

Podotąd kler katolicki panował ludowi, on jeden miał do niego dostęp, on jeden mu przewodził, on jeden nań wpływał. Lecz czy zawsze i wszędzie wpływał tak, jak był powinien? Smutne rezultaty najlepiej tu objaśniają. A rezultaty są bardzo smutne, gdyż, jeżeli na jednej połaci ziemi kler położył zasługi, jeżeli przyczynił się znakomicie do podniesienia ludu, to, wzamian, na drugiej zniweczył ten dorobek, który przed laty oddziedzyczył.

Najwymowniejszym dokumentem jest pomienione mankietnictwo, reakcyja fanatyzmu, wywołana rozkrzewieniem się indferentyzmu. Wybuch ascetyzmu, spowodowany brakiem ascetyzmu...

Najwymowniejszym dokumentem głodu duchowego ludu polskiego jest właśnie ten jego, niepostrzegany dotąd, zwrot do sekciarstwa, to jego zaciekle obstawanie przy księżach - odszczepieńcach!

Nic tu nie pomogą słowa otuchy, nic obliczenia, że mankietnictwo jest słabym płomykiem, że, w najgorszym razie, umiejscowi się!...

Tylko nieopatrzność i krótkowidztwo może nie postrzegać grozy, tylko zaślepienie zdolne jest łądzić się, iż skra, padająca na tak wypalony suszą duchową żywiol, jakim jest nasz lud, nie wzniesi pożaru!

Tylko zaciętrzewienie może nie widzieć, iż

jedynym punktem wyjścia z odmetu mankietnictwa jest wielka miłość, wielka dobroć, jest jaknajszybsze wyciągnięcie ramion ku odszczepieńcom, jest pojednanie, bodaj okupione ambycją dostojników kościoła.

Tak, głód duszy ludu polskiego stał się wielkim!

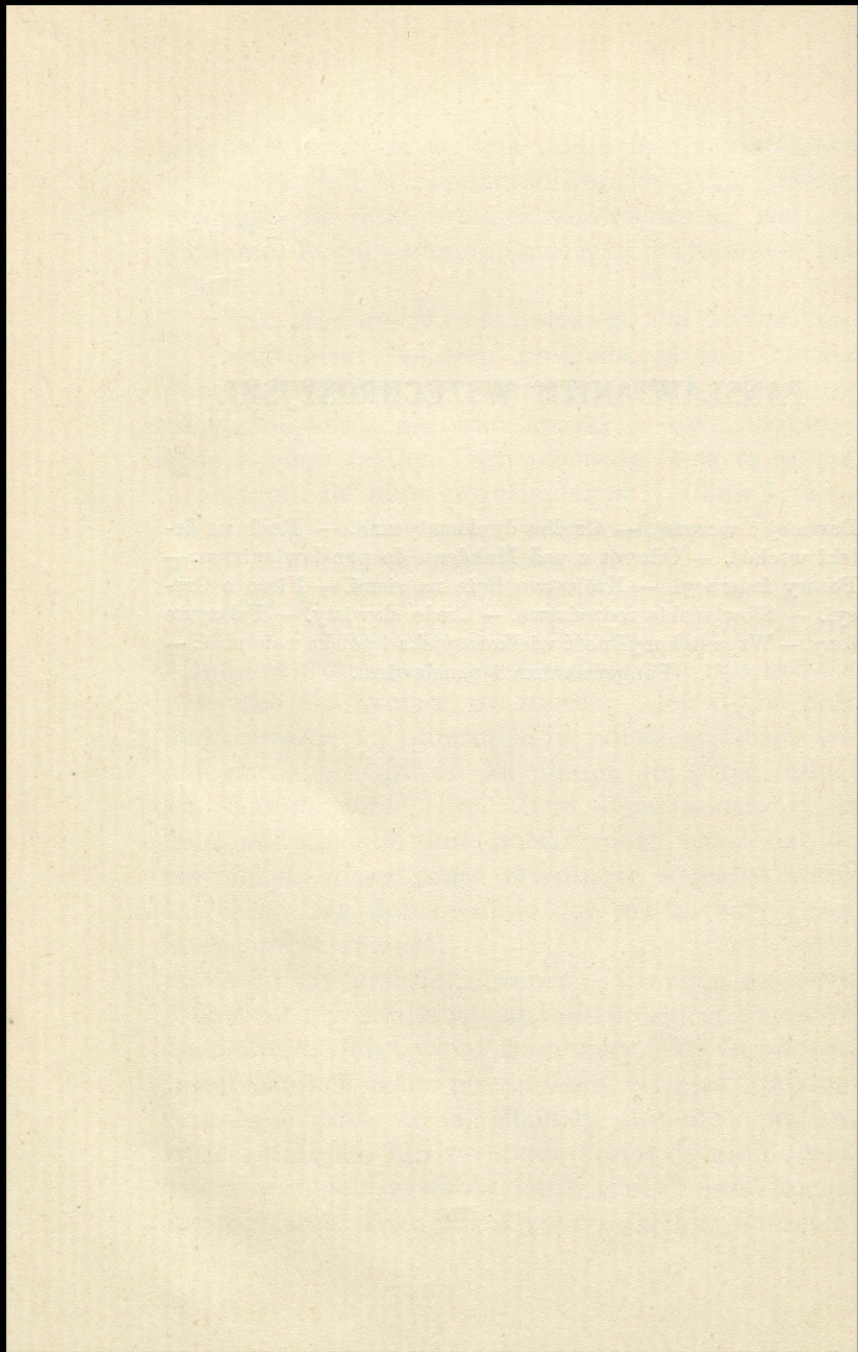
Anarchista Bakunin powiada, iż lud, chcący porwać krępujące go łańcuchy a tem samem dołą swą polepszyć, ma trzy środki — dwa fantastyczne i jeden realny. Dwa pierwsze — są to religia, więc szukanie dóbr pozaziemskich i alkohol, więc szynk poprostu, więc oszołomienie. Trzecim, realnym środkiem jest rewolucya!

Lud polski aż nadto uciekał się i ucieka do środków fantastycznych, aż nadto gorliwie ufał i ufa, że życie pozagrobowe nagrodzi mu stokroć wszystko zło zaznane na ziemi... Aleć chyba dość nadużywania tej ufności ludu polskiego, dość, bodaj nie przez miłość ku niemu, ale przez miłość ku samym sobie, ale przez świadomość, iż za lada podmuchem lud polski może rzucić się do rewolucyi, może przez rewolucyę socyalną wziąć to, czego mu dobrowolnie dać nie chcemy i nas, inteligentów zgnieść!

Ach, my przecież chcemy!... Przysięgamy sobie pracować, aby analfabetyzm ludu polskiego przeszedł do historyi! Jeno wciąż pomijamy fakt, że obocznie i sami w sobie powinniśmy wytepić analfabetyzm społeczny, że nie idzie tu głównie o to, aby kmieć, parobek lub zarobnik umiał czytać i pisać, lecz aby nadewszystko z nami czuł, z nami kochał aby był nam równym, aby przestał być chłopem!

PANSLAWIANIZM WSZECHROSYJSKI.

Dawniej i wczoraj. — Groźba dyplomatyczna. — Ruch na daleki wschód. — Odwrót z pod Mukdenu do panslawianizmu. — Pozory federacyi. — Królestwo Boże na ziemi. — Nieco o Grecyi. — Słowiańskie rodzeństwo. — Credo slawisty. — Falszywe tony. — Wspaniałomyślność wielkorusyjska i polska naiwność. — Pangermanizm i panslawizm.



W szeregu rozmaitych prądów, wymierzonych przeciwko odrębności politycznej polskiej, zajmuje wcale niepoślednie miejsce panslawizm, a więc idea zwania wszystkich szczepów słowiańskich w jedno wielkie państwo.

Cechą charakterystyczną tej idei była podotąd ta okoliczność, iż garnęła się do niej bardzo skwapliwie Rosya urzędowa, oficjalna! Ba, i garnęła się, całc poważnie wypominając swe wielkie zasługi, położone na polu obrony słowiańszczyzny, ba, i z każdej sposobności korzystając, byle pouczyć uboższą brać słowiańską o tem, ile to zawdzięczają Rosyi Bulgarzy, a ile Serbowie.

Panslawizm rosyjski miał podobno niepośledni swój wyraz w polityce zewnętrznej, a już na Bałkanach posuwał się do sutych zapomóg, udzielanych rozmaitym instylucyom i osobom, pracującym na urobienie, rozmiłowanych w powołaniu opiekuńczem Rosyi, serc. Jakoż od folwarku księcia Mikołaja Czarnogórskiego począwszy, a na Pradze czeskiej skończywszy, panslawizm wszechrosyjski znajdował licznych stronników, a już w rozmaitych aktach politycznych urastał na groźny argument.

Jakoż utarło się śród słowiańszczyzny, że w każ-

dym momencie zaszachowania Czarnogórza, Serbii czy Bułgarii przez dyplomację austriacką czy turecką, poczucie wszechrosyjskiego panslawizmu wybuchało nawet na szpaltach Katkowsko-barbaryńskich „Moskiewskich Wiadomości“. Utało się nadto, że, przy lada zatargu, swój panslawizm wszechrosyjski nie tylko Czesi nauczyli się manifestować, ale nieomal Węgrzy, nieomal Madziarzy umieli nim wygrażać austriackiemu gabinetowi!! Nie dość, panslawizm wszechrosyjski nawet w starciach niemiecko-polskich znajdował oddźwięk...

Ba, ale w rzeczywistości i na tem kończyła się cała dotychczasowa doniosłość panslawizmu wszechrosyjskiego. Straszono Rosyą tych, którzy Rosyi się bali, odwoływano się do Rosyi tem silniej im była dalej. Rosya zaś podczas miała sobie panslawizm za wytyczną dla swych najbliższych apetytów zaborczych, no i miała panslawizm za naukę moralną dla tych słowian, których usiłowała prawosławić i rusyfikować.

Zresztą, panslawistyczne zapęły Rosyi oficjalnej były aż nadto doceniane i pojmovane przez słowian. Obłąkanie zaś tam tylko miało miejsce, gdzie zawsze i w każdej sprawie obskurantyzm paczy trzeźwość sądu. Boć nikt bodaj ze słowian myślących nie wątpił, że panslawizm wszechrosyjski jest tylko dążeniem do rusyfikacyi, do pochłonięcia ziem słowiańskich i narzucenia im nie tylko hegemonii rosyjskiej, ale i rosyjskiej narodowości i rosyjskiej kultury. Przykładem tu najoczywistszym wartości słowianofilstwa wszechrosyjskiego byli już nie tylko Polacy, jęczący w okowach

pobratymców, ale i Małorusini, od wieków pozbawieni praw do ojczystego języka, i Białorusini, zlewani w jedność wielkorosyjską.

Lecz, pod koniec wypadków wczorajszych, panslawizm wszechrosyjski ustał. Polityka zaborcza rządu przerzuciła się na daleki wschód, Rosya oficjalna coraz rzadziej wypominała swą pansłowiańską zwierzchność, coraz obojętniej spozierała ku Bałkanom, rozumując, iż równowaga europejska nie uwierzy tak łatwo w rosyjskie prawa do ziem słowiańskich, a podczas bogate i żyzne obszary mandżurskie, kwantuańskie i koreańskie są zdobyczą o wiele bogatszą i łatwiejszą.

Dzieje ostatniej doby pouczyły, iż Rosya o całe sto lat spóźniła się na dalekim wschodzie ze swą pochodnią cywilizatorsko-zaborczą, że tam nietylko nie ma kogo uczyć poszanowania dla swej potęgi i kultury, lecz samemu raczej można zjaponić się, czy bodaj i zchińszczeć.

Ta prawda już się uwidomiła, objawiła i stężyła. Rosya musi na dalekim wschodzie myśleć dziś nie o odwecie, boć ten stał się prawie niemożliwym, lecz o obronie skurczonych swych granic, o wzmocnieniu tego samego muru chińskiego, który tak gwałtownie zburzyć niedawno usiłowała. Zachępczo-zachłanna polityka Rosyi na dziesiątki lat, a podobno i raz na zawsze, zesłała w Azji na pojednawczo obronną. Nikogo tam już nie ma dla Rosyi do nawracania na wszechrosyjskość, a raczej i ci, co zostali w granicach zielono wymalowanych, obudzić się gotowi dla separatyzmów buriatskich, kameczadalskich, kurdskich, czy ogólnosyberyj-

skich. Odwrót z pod Mukdenu zaczął się, ale nie skończył, bo może skończyć zarówno nad Amurem, jak i na Uralu, a prędzej na drugim, jak nad pierwszym.

Lecz, stawiając bodaj najoptymistyczniejsze horoskopy dla odrodzenia Rosyi, wierząc, iż Chiny i drugie tysiąc lat prześpią pod bambusami mongolskiej dynastyi, jeszcze trudno zaprzeczyć prostemu wynikowi dziejów, że ciężar polityki rosyjskiej musi wrócić wraz z niedobitkami Kuropatkina i musi skupić się na zachodzie. Powrót tego ciężaru będzie więc i powrotem do zarzuconych niedawno haseł, więc zezowaniem ku Bosforowi, przez pryzmat braterstwa z bałkańskimi słowianami, więc wspomaganiem i ubolewaniem nad Rusinami austriackimi, przy gnębieniu Rusinów rosyjskich, więc zapijaniem kuzynowstwa z Czechami, więc szukaniem związków rodzinnych nawet u księcia Mikołaja, a duchowych choćby u abissyńskiego Menelika. No a sztandarem tej fali powrotnej, odepchniętej przez Ocean spokojny będzie znów panslawianizm... i panslawianizm wzmożony, stężony, gdyż mający za sobą ustępstwa dla Polaków, mający pomocniczy ruch tych liberałów rosyjskich, którzy o federacyi słowian już rozprawiają, mający nadto germanofobię ludów romańskich, które za wszelką cenę gotowe są przyłożyć rękę do uformowania słowiano-romańskiej koalicyi, bo nakoniec, posiadający nawet w samym społeczeństwie polskiem, jeżeli tylko dziesiątki słowianofilów, to za to tysiące skłonnych do zawarcia przymierza

z ludem rosyjskim na warunkach autonomii, praw kulturalno-polskich itp. oklepanych postulatów.

I napozór federacya wszechsłowiańska po-
winnaby doprawdy znaleźć dla się serca wszyst-
kich ludów słowiańskich i napozór idea pansła-
wizmu wydaje się puklerzem, zdolnym osłonić
ludy słowiańskie przed wszelkimi zakusami zabor-
czo-wynaradawiającymi i zapewnić im pełnię kul-
turalnego rozwoju. I napozór federacya taka byłaby
i odrodzeniem słowiańszczyzny, i okiełznaniem ger-
manizmu, i jutrzeńką na ołowianym wiecznie fir-
mamencie politycznym Europy, i zagojeniem całego
tuzina bolączek nietylko polskich i małorusińskich,
ale i czeskich i horwackich i słowackich i bułgar-
skich i serbskich i białorusińskich i kroackich!

Lecz dlaczegóż „napozór“? — Czyżby myśl
utworzenia Wolnych Stanów wszechsłowiańskich
nie była sama przez się wielką, czyżby nie zna-
mionowała postępu ku celowi wyższemu... bo czyż
w istocie dźwignięcie patryotyzmu z zamkniętych
ram Czech, Rosyi lub Polski ku szerokiemu prze-
stworowi jednej wszechsłowiańskiej ojczyzny nie
byłoby drogą ku tej prawdziwej ojczyźnie czło-
wieka, ku ludzkości?!... Czyżby wyrzeczenie się
przez odnośne państwa i państewka zewnątrzno-
rządowych odrębności nie było tylko prostem
uwolnieniem się od jakichś Karadźordzewiczów,
Obrenowiczów czy Koburgów?!... A w rezultacie
pewne skwitowanie z maskaradowo-narodowej
barwności dekoracyjnej na rzecz demokratyczno-
federacyjnej szarzyzny, czyżby któremu z ludów
słowiańskich przyniosło uszczerbek?! Wszak ci na

każde z tych pytań można odpowiedzieć bez namysłu, bo na żadne z tych pytań nie ma dwóch odpowiedzi, tylko zawsze jedna, a wszak ci legion jeszcze takich pytań da się wysnuć i tak je spoicie sformułować, tak niemi mózg uzbroić, iż w oka mgnieniu rozewrze przed nami wrota rajska kraina wszechsłowiańskiej szczęśliwości, iż w oka mgnieniu, ziszczą się tęsknice słowiańszczyzny, znikną udreki i stumiljonowy z górą sojusz ludów spłytnie nieskończonem dobrodziejstwem.

Toćże i historia daje nam znamieny przykład! Bo, ileż to razy, wczytując się w dzieje starożytnej Grecyi, ubolewamy nad waśniami Aten ze Spartą, ileż to razy widzimy Grecyę zawsze silną, gdy zjednoczoną, i zawsze drżącą w posiadach, gdy rozszczepioną na państwa i państwka! Bo, ileż razy postrzegamy tylko, że poprostu Grecy walczą z Grekami! I jakże często, przenosząc się myślą od dziejów Grecyi do dziejów słowiańszczyzny, poddajemy ucho na wykład, że my, Polacy, jesteśmy temi Atenami słowiańskimi, którym Sparta odebrała hegemonję wojskową, że w rezultacie, bierz djabli tę hegemonję, byle hegemonję trwalszą, bo kulturalną, ocalić! Tak, bierz licho wojskową hegemonję (boć ona i tak sama przez się staje się przytkiem), gdy, przed nami, Polakami, za cenę amarantowo-białej płachty, tak niezmierny roztwiera się przestwór!

Federacya wszechsłowiańska! Przecież to cel i podniosły i wdzięczny i do przeprowadzenia tak łatwy, tak bardzo łatwy, jak utworzenie zapowiedanego przez Chrystusa Królestwa Bożego na ziemi!

Boć, jak do osiągnięcia tego Królestwa Bożego starczy wyznanie przez ludzkość przykazania o miłości bliźniego, tak i do zbudowania federacji wszechsłowiańskiej starczy wyznanie tej samej miłości wśród Słowian! I federacya ta jest równie łatwą do utworzenia, jak Królestwo Boże, jest tak niezmiernie łatwą, że, jak Królestwo Boże na ziemi, na lata długie nieziszczalną.

Czemu nieziszczalną, gdy obocześnie łatwą! Czy w tem zestawieniu tkwi sztuczna gra słów, rozmyślny paradoks?! Nie.

Jeno ten prosty określnik, iż rozwój jest postępowem zaprzeczeniem swego punktu wyjścia, że gałąź, raz wybująa, nie zrośnie się z pniem, że łatwiej obcym sobie strumieniom zlać się w rzecznej korycie, niż raz rozszczepionej rzece wrócić do wspólnego łożyska!...

Tysiąc lat oddzielnego bytowania ludów, z jednej kolebki wyszłych, w najpomyślniejszych warunkach, ledwie zachować może pewną dozę sentymentów — ba, ale wszak ci już nawet tysiącolecie nie ogarnia rozpadnięcia się słowiańszczyzny, wszak ci ta chwila jedności słowiańskiej rozplynęła się w mrokach i w takich mrokach, że ludy słowiańskie już i w legendach i podaniach idą w pojedynek, wszak ci historia nie pozwala bodaj się ludzić czemś, co niegdy było, bo historia stosunków międzysłowiańskich nie posiada prawie nic z tego, coby dało się wskrzesić na chwałę federacyi słowiańskiej.

Ludy słowiańskie poszły w rozsypkę i w rozsypkę tak wielką, że gdy słowianin silny spotykał

na swej drodze słowianina słabego, to nie poznawał w nim pobratymca, to rad miał go za „obco-plemieńca“. Ludy słowiańskie uległy różnym wpływom różnych kultur i to często sobie wrogich. Ludy słowiańskie wyrobiły się już nie na odrębne cywilizacyjnie narody, ale i na odrębne rasy. A jeżeli w rdzeniu swej jaźni zachowały pewne wspólne cechy, uprawiające do zaliczania ich do jednej rodziny, toć z tego korzyść dla nauki, dla historii ludzkości, ale jeszcze nie dowód, aby dla racji istnienia rodziny kotów, lew przyjaźnił się z tygrysem lub lampart z pumą.

Rosya?! Zapomnijmy bodaj o stosunku jej do Polaków, załagodźmy wiekową walkę polakożerczą wspomnieniem, że i my umieliśmy chodzić na Moskwę, że i my potrafiliśmy zająć Rosyi za skórę i wystawmy sobie, że pansławianizm rosyjski przybrał najzaciejsze formy... i już zaznaczył się nie tylko nadaniem nam pełni swobód, lecz i przywróceniem i Małorosyi i Białorusi praw rozwoju narodowego! I dalej, zgódźmy się na owe credo jednego z naszych działaczy, który do sławisty-Rosyanina rzekł (w imieniu Polaków) „wy Rosyanie, miejcie sobie wojsko, policję, żandarmeryę, ambasady, politykę zewnętrzną, ster administracji, a nam (Polakom) dajcie wolność rządzenia się u siebie“. A teraz, przy tak nieprawdopodobnie dzielnym fundamencie, przyjrzyjmy się tej budowli wszechsłowiańskiej i spróbujmy w niej się rozjeździć.

Najpierw, w tej wszechsłowiańskiej orkiestrze uderzą nas instrumenty, zgoła fałszywe wydające

tony, bo zgoła niesłowiańskie... bo poprostu tatarskie, ormiańskie, fińskie, niemieckie, mongolskie, może aryjskie, ale zawsze niesłowiańskie. Cóż z nimi poczniemy? czy może nasza prawomyślność wszechsłowiańska każe nam niezawodnie zając się zesłowiańszczeniem tych żywiołów, lecz ponieważ słowiańszczenie nie może mieć wyłączności, przeto będziemy je może równorzędnie polszczyć, rusyfikować, czy maoruszczyć?! Nie! Dźwigniemy się na szczyt wspaniałomyślności i każdemu obywatelowi przyznamy prawdziwe a nie obiecywane prawo śpiewać „jak mu dziób urósł“. No, ale w takim razie, z góry skażemy się na suchotniczy żywot, bo na odpadanie od ciała wszechsłowiańskiego już nietylko Finlandyi, ale i nadbałtyckich prowincyj i Kaukazu i Kazańskiego królestwa i Krymu i Syberyi po Ural i może Litwy i jeszcze nie wiadomo gdzie mogących zakwitnąć separatyzmów! Przyjmując zaś najhumanitarniejsze rozwiązanie i zgoła braterskie odniesienie się wszechsłowian do narodowości niesłowiańskich, musimy stwierdzić, że Rosya do federacyi wprowadza nam żywioły obce słowiaństwu, że federacya słowian pod hegemonją Rosyi nietylko nie chroni odrębności słowiańskiej, ale ją wystawia na zachwaszczenie. Z tego pewnik, że federacya słowian pod egidą Rosyi będzie tylko federacyą ludów wschodniej Europy, ale nie wyłącznie słowiańską, że słowianie w tej federacyi albo będą zniewoleni ścierać się na każdym kroku z ludami obcymi, albo odgrywać względem nich rolę zaborców i gnębieli.

Rosya jest tylko państwem rosyjskiem, lecz nie

słowiańskim, stąd, zapominając zupełnie o niebezpieczeństwie, wynikającym z chęci narzucenia projektowanej federacji hegemonii wielkorosyjskiej, nie podobna, przy największym optymizmie, zapomnieć o niebezpieczeństwie, wynikającym z różnorodności Rosyi.

Rosya wówczas mogłaby rościć sobie prawa do pansławizmu, — gdyby chciała wrócić do swych etnograficznych wielkorosyjskich granic, gdyby wyrzekała się swych trzydziestu pięciu ludów, nie mających nic a nic wspólnego ze słowiańszczyzną!

Możnaby tu rzec, że i cóżby nam szkodziło bodaj i zbratanie się z Tatarami, Finnami, a choćby i z Burjatami, czy Kirgizami?! Czyżbyśmy właśnie tą drogą nie ziścili prędzej celu pozbycia się obskurantyzmu szowinistycznego i zburzenia granic i zbudowania jednej, wielkiej rzeczypospolitej, na imię której „ludzkość!“... I to wytłumaczenie byłoby niezawodnie pięknem, gdyby nie było znów obłudnem i podstępem. Kto bowiem o ludzkości przemyśliwa, kto upatruje dla najbliższego jutra aż tak wielkich chwil, ten swój gmach musi budować na trwałych, zdrowych podstawach, temu nie wolno żywić się cudzą własnością, temu nie wolno dawać pozorów ciemności, ten musi rehabilitację dawnych kradzieży zacząć od zwrócenia skradzionych rzeczy pokrzywdzonym, a nie łącać światu, że je złoży... w danym momencie na ołtarzu!...

A przecież tak właśnie rozumieją nowocześni pansławiści rosyjscy, rojący już nie o braterstwie wszechsłowiańskim, ale i wszechludzkiem... lecz

na warunkach, aby Czerkies, Kałmuk, Samojed, Estończyk i Ormianin odrazu pokochali wspianłomyślnego Wielkorosyanina i pokochali tak mocno, aby, za żadne skarby świata, nie chcieli porzucić swej gubernialno-wszechrosyjskiej przynależności.

I cały ten nowoczesny panslawizm wielkorosyjski nie byłby wart bliższego zastanowienia, gdyby znów nie odłam naszych atteczyków, którzy, w pogoni za posiadaniem własnego sklepiku, własnego buńczuka, pchać usiłują nawet polskich sentymentów na wiry wszechsłowiańskiej federacji. Co nam, — wołają ci panowie — po jakichś zewnętrznych godłach władzy, co nam po tych szmatach, co po separatyzmach, gdy oto, na łonie potężnej rodziny słowiańskiej, możemy bytować w ciszy, pokoju i miłości!?! — (w tem miejscu wspomina się ekonomiczne korzyści, brak geograficznie pomyslnych granic dla ziem polskich, no i germańską potęgę!)

Prawda! — Nam, Polakom, istotnie nie powinno iść o te „zewnętrzne godła“ — gdybyśmy, nie posiadając własnych, nie potrzebowali kłaniać się cudzym. Nam bezwątpienia byłoby dobrze złożyć utrudzoną głowę, złożyć na łonie wszechsłowiańskiej rodziny, gdyby ta rodzina była słowiańską, a nie państwowo-rosyjską!

My, Polacy, moglibyśmy zadowolnić się zresztą pracą kulturalną, gdyby nie fakt, że w rodzinie wszechsłowiańskiej nasza kultura jest skazaną na zagładę... Boć, jeżeli jesteśmy temi Atenami słowiańszczyzny, jeżeli rzeczywiście jesteśmy rasą doskonalszą, jak utrzymujemy, to panslawizm musi

nas strawić, połknąć, sprowadzić do jednego mianownika słowiańskiej Beocy — no, a jeżeli nie jesteśmy ani rasą lepszą, ani siłą intelektualną tęższą, to, w tym kotle wszechsłowiańskim, wcale a wcale nie mamy widoków istnienia! to w tym kotle z góry czeka nas ugotowanie na jeden wielkorosyjsko-mongolski kapuśniak.

Nie łudźmy się i nie oszukujmy samych siebie. Nie bierzmy przykładu z pangermanizmu! Pangermanizm nie może być przeciwstawianym panslawizmowi! Pangermanizm jest dążnością (może nam nie miłą) połączenia, spojenia jednego ludu niemieckiego, ludu równego sobie cywilizacyjnie, panslawizm zaś przemyśliwa o połączeniu wielu, odrębnych wskroś, a nawet nieprzyjaźnych sobie ludów. Aby przeciwwaga pangermanizmu odpowiadała panslawizmowi, należałoby, aby pangermanizm objął wszystkie ludy germańskie, więc anglosaskie, więc skandynawskie!! Racyi rasowych i językowych ma tyle akurat Niemiec dla Duńczyka, co Rosyanin dla Polaka i tyle Polak dla Czecha, co Duńczyk dla Szweda! — Do takiego pangermanizmu jeszcze daleko, taki pangermanizm stoi podobno aż pod wrotami Królestwa Bożego na ziemi! Tak, i stoi w pobliżu panslawizmu!

Nie łudźmy się, aby dążność wszechsłowiańska mogła być zwiastunem zgodniejszego pożycia ludów! Europa doceniła już ideję pangermanizmu i zwalcza ją, jako zło wielkie. Wszechsłowiańskość więc byłaby tylko drugim złem, może złem dość silnem, aby zdławić pangermanizm, ale znów za słabem, aby oprzeć się panmongolizmowi! —

Wszechsłowiańskość zdolną byłaby ukuć obuch, bardzo miły dla Francyi, przyjemny dla Anglii, lecz ten obuch ani nam, Polakom, ani podobno ludzkości już bezwątpienia skrzydeł by nie przypawił do lotu.

Wszechsłowiańskie braterstwo! — Cieszymy się zeń, bądźmyż skłonni do łączenia się z niem, do uwierzenia, iż najserdeczniejszych przyjaciół posiadliśmy i w tych, którzy nam życie zatruwali — ale i chrońmy się przed utopjami, strzeżmy się te podmuchy ciepłe lutowego wiatru brać za wiosenne zefiry!

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

**POINT DE RÊVERIES. — SIŁA PRZED
PRAWEM.**

Dwie odprawy. — Kauzyperdstwo polityczne. — Błędne koło. —
O polityce i dyplomacyi. — Przykład ostatniego turnieju. —
Nasz spadek. — Precz z orłem. — Siła a prawo. — Polska ra-
cya fizyka. — Czem stać się winniśmy, a czem jesteśmy. —
Bismarck i Stirner.

W ciągu ostatnich lat czterdziestu ubiegłego stulecia, gdy w nieustannej jeremiadomanii staraliśmy się wzruszyć zaborców, a znów zaczęliśmy ludzię się rachubami na ich wspaniałomyślność, — znudzeni naszą żebraniną, władcy po dwakroć odsłonili nam swe atuty, po dwakroć, próbowali przecięć strumienie bezcelowych żalów, po dwakroć, zgoła nieopatrznie, uciekli się do szczerości.

„Point des rêveries!“ — zawołał Aleksander II, gdy Polacy, wpadając w szal lojalizmu i wiernopoddaństwa, zaczęli witać w nim „polskiego króla“.

„Siła przed prawem!“ — odpowiadał Bismarck, ilekroć rzewnymi wywodami o sprawiedliwości, o konstytucyi, o swej prawomyślności pruskiej chcieliśmy odwracać ostrze miecza polakożerczych, wyjątkowych ustaw!...

Chyba tych dwóch kategorycznych odpraw, stwierdzonych całym gniotem, z nieubłaganą konsekwencyą stosowanych, represyj, powinno było starczyć na otworenie nam oczu, na wyleczenie nas z chorobliwych urojeń, na wytrzeźwienie!

Stało się inaczej. Miał zacisnąć zęby i z otrzymanych odpraw poczerpnąć drogowskaz na przyszłość, miał zastanowić się zimno nad rzeczywi-

stością i nauczyć się raz nareszcie, że nie masz w polityce ani takiego prawa, ani takiego traktatu, ani takiego przyrzeczenia, któreby, bez argumentu siły, mogło mieć wartość, — myśmy dalej zabawiali się w utopje o sprawiedliwości, o słuszności naszego polskiego procesu!

Ba, i nie dość, myśmy nieomal uwierzyli w to, iż racya bismarkowska jest czemś w reszcie Europy nieznanem, a przynajmniej zarzuconem, że tylko Niemcy, a z nimi Rosya jeszcze wyznaje tę barbarzyńską zasadę. No i, w tem przeświadczeniu, obnosiliśmy po szerokim świecie nasze skargi, nasze dokumenty historyczne, nasze kwity polityczne, obnosiliśmy je póty i z tak pobożnem zasmuceniem, iż zaczęto powoli zamykać nam drzwi przed nosem, nawet i tam, kędy aż do zbytku miano dla nas i współczucia i dobrej woli...

Talleyrand, ten najbystrzejszy z najprzewrotniejszych mężów stanu, wyrzekł pamiętne zdanie: *l'avocasserie est la perte des états constitutionnels et des républiques...* Zdanie to, aż nadto zresztą stwierdzone na skórze Rzeczypospolitej Polskiej, której sejmy były orgjami palestranckiego obskurantyzmu, można wprost rozszerzyć i na nasze dzieje porozbiorowe i na wartość całego naszego prawowania się z zaborczymi rządami! Palestrancka żyłka, kauzyperdstwo polityczne, bezcelowe pieniactwo przez lata chłonęło nasze najlepsze siły, przez lata wpajało w nas wiarę w niepożyłą wartość kongresu wiedeńskiego, królewskich i cesarskich przysiąg, dyplomatycznych zapewnień, zamiarów Napoleona III, półstówek

Anglii. Ta palestrancka żyłka, przez lata, kazała nam wałkować jakieś wyrazy, jakieś domyślniki, przez lata całe wmawiała w nas, że pożółkłe nasze pergminy znaczą więcej od armat. Przez lata kazała nam ufać, iż ten, a ten frazes, wygłoszony przy pustych ławach sejmu pruskiego, ma historyczną doniosłość. Ta palestrancka żyłka nakoniec rozpolitykowała nas, ale rozpolitykowała z tym samym podobno rezultatem, z jakim rozkapryszone dzieci kładą się do snu, tuż po niedozwolonym zabawianiu się gaszeniem zapalek.

I przez całe lata zdawało nam się, iż z dnia na dzień sułtan turecki napisze do królowej Wiktoryi, zaczem ta ostatnia, razem z Francją, przyjmie na się rolę rozjemcy w kwestyi polskiej, no i, oczywiście, nam, co się należy, wróci, wrócić musi, bo inaczej, nie byłoby sprawiedliwości na świecie!

W kierunku halucynacyj na tle polityki europejskiej nie brakło nam zaiste pomysłowości. Toć cały świat prawie dzieliliśmy na ludzi sympatyzujących z Polakami i nie sympatyzujących, no i ten podział, w miarę wypadków, żeśmy zmieniali. I tak, do niedawna, Sas był nam niemieckim Polakiem, Francuz Polakiem w kwadracie, a Węgier nadpolakiem chyba, bo już bratankiem. Ale, że się prądy polityczne odwróciły, przeto Sasi są hakatystami dla nas, Francuzi sprzedawczykami, a Węgrzy nie lepszymi od Francuzów. Nasze sympatye płyną dziś w inne strony, — a szczególnie w takie, gdzie nami się wcale nie zajmują.

Bezwątpienia to nasze kołatanie się po świecie,

to szukanie przyjaznego odzewu ma i swoje źródła, boć całe tysiące wygnańców, boć setki żołnierzy polskich w każdym zapasach uciśnionych z mocarzami — ale i cóż z tego, że potrafimy sobie wytłumaczyć, z którego pożaru idzie dana łuna, gdy, miast gwiazd szukać, ich światłem się kierować, za łunami idziemy. A łuny nie trwają długo, gasną i przed stłumieniem pożaru! A nas zostawują raz po raz w ciemności a, rozpalając się, znów skazują na błąkanie, na trwanie w jednym i tem samym błędnem kolisku.

Podczas, ileżby pożytku, ileż dobra, ileż ożywczej miazgi weszłoby w nas, gdybyśmy zrozumieli doniosłość i wagę i *point des rêveries* i „siły przed prawem“, gdybyśmy zeszli z obłoków moralności politycznej na naszą biedną, rozszarpaną ziemię, byśmy, zachowując cześć dla uniesień, dla tej upragnionej sprawiedliwości, zaniechali zamków na lodzie!...

Prawa historyczne?! Postanowienia kongresu wiedeńskiego?! Pierwszy czy drugi rozbiór Polski?! Polska Chrobrego, Batorego?!... Co to znaczy samo przez się na rynku politycznym? — Nic zgoła, absolutnie nic. Boć są to jedynie wypomnienia tego, co było niegdy, co się stało, co, w pewnym momencie historycznym trwało, ale co dla współczesności ma wartość kronikarską... Ba, może mieć i inną, lecz ku temu potrzebna jest siła i to siła tak potężna, aby zniewoliła innych do uchylecia się przed... prawem... albo, powiedzmy zrozumialej, bagnetami...

Po za siłą, polityka nie uznaje żadnego innego

prawa, a raczej te prawa uznaje, które wspiera taka siła, jakiej złamać ani oprzeć się nie może. Wszystko, co się zwie w polityce przymierzem, aljansem, kongresem, racyą stanu płynie z różniczkowania się i kojarzenia sił i tylko sił. Polityka jest z gruntu niemoralną i moralną być nie może, ponieważ jej moralność, w najlepszym razie, jest moralnością złodzieja i rozbójnika. Bywały i bywają zbiegi okoliczności, iż cel polityczny spotyka się z celem moralnym — ale jest w tem tyle komitywy, ile między pobożnym i opryskiem... obaj i tą samą drogą śpieszą do tej samej świątyni, lecz pierwszy, aby się modlić, a drugi, aby skorzystać z ciżby i coś ukraść.

Polityka jest złem — ale jest i tem złem, które tylko lunatycy myślą na drogę cnoty wyprowadzić. Boć porwać się na politykę znaczy toż samo, co porwać się na państwo. Nie podobna pierwszej unicestwić ani umoralnić dotąd, dopóki nie unicestwi się źródła, z którego się poczyną, którego jest prostym i naturalnym wypływem.

Póki ludzi było mniej, póki ziemia była czworograniastą płaszczyzną, a niebo opierało się na barach Atlasa, póki cywilizacya nie wzmogła obcowania ze sobą ludów, póty polityka ograniczała się na strzeżeniu własnych granic, zajeżdżaniu cudzych lub, w wypadkach równowagi przeciwników, na zawieraniu przymierzów. Rozkwit cywilizacyi, propagandy religijne, wzmożenie się państwowości, z krzywdą narodowości, zamieniły fałsz, kłamstwo, podstęp, nikczemność, nie przebieranie w środkach, chciwość, rabunek, niewolnictwo,

a więc zamieniły wszystkie pomocnicze sposoby walki niekulturalnych współzawodników w uprawioną i uznaną sztukę polityki.

Tylko oportunistyczne umysły mogą politykę zwać dążeniem do pokojowego rozstrzygnięcia i załatwiania spraw międzynarodowych! Boć polityka żadna i nigdy nie jest pokojową, lecz zawsze zachłanną, a raczej o tyle pokojową, o ile jest bezsilną, bezbagnetową, o ile potrzebuje pokoju bądź dla stłumienia wewnętrznego nieładu, bądź dla lepszego przygotowania się do wojny. Polityka jest narzędziem państwa, a nie żadnym dobrem ludu, bo polityka często dlatego jedynie przebiega do wojny, aby własny swój lud przerzedzić, aby wyrwać go dążeniom liberalnym, aby zachować go wiernym dla państwa.

Polityka nie zna żadnych sentymentów, szanuje tylko takie traktaty, które musi dotrzymywać, a jeżeli co chwila wpada w szerokie wywody, odwołuje się do historii, do tradycji, do szlachetności, do sumienia i do Boga — to jedynie, aby magnetyzować i ogłupiać dla swych celów głupich ludzi. A że głupota ludzka pławi się ciągle w nawyknięciach i przyzwyczajeniach, które od niemowlęctwa pracują na wyrobienie z człowieka jednostki państwowej, przeto polityka urosła na takie zło, które zwalczać się da tylko złem równym.

Czem jest polityka najdosadniej przekonywuje ostatni turniej dyplomatyczny w Algieras! Francja zamyśliła niepodległe Marokko zagarnąć dla siebie na kolonję. Niemcy atoli, szukające również ujścia dla swych „kulturalnych“ zadań, postano-

wiły upomnąć się o swoją część. Stąd zatarg i konferencja; dlatego tylko konferencja, a nie wojna, że zarówno Niemcy jak i Francja nie dowierzają swoim siłom i nie mogą ufać sprzymierzeńcom... Konferencja zamieniła się w proces... naszpikowany prawem międzynarodowym. Próba tego prawa jest jeden z argumentów francuskich, głoszący, że ponieważ Francja zawładnęła sąsiadującym z Marokko, Algierem, ponieważ jest ciemieżycielką Arabów algierskich, przeto ma prawo do mieszania się do Marokka... Ma prawo także i Hiszpanja, ponieważ na ziemi marokańskiej nieprawnie posiada Ceutę, lecz ma prawo, oczywiście mniejsze, bo nie posiada dość melinitowych dowodów...

W społecznem rozumieniu ta kwestya prawna przedstawia się tak: było sobie dwóch mieszczuchów Paweł i Gaweł. Do Pawła dobrał się złoczyńca i ograbił go. Wówczas inny złoczyńca postanowił ograbić Gawła, ale złoczyńca, który poprzednio rozprawił się z Pawłem, zaprotestował, dowodząc, iż, ponieważ on zagarnął dobytek Pawła to i tem samem ma prawo do dobytku Gawła. Powstała sprzeczka. Zlecieli się kamraci i jęli radzić nietylko o tem, co się godzi, a nie godzi, ale i samym zabiegać, aby i im się coś z łupów spornych oberwało. Radzono długo nad słusznością i sprawiedliwością, tylko żadnemu z kompanów nie zdało się sprawiedliwem, aby Gawła pozostawić w spokoju.

Nasze urojenia o polityce wynikły z tego, iż Rzeczpospolita w ciągu ostatnich dwustu lat była zgangrenowaną wewnętrznymi rozterkami i zewnę-

trzenie bezsilną i że, nie mogąc się zdobyć na żaden wybuch rewolucyjny, na żaden odruch ożywczy, za wszelką cenę dążyła do pokoju, za wszelką cenę pragnęła zgody z sąsiadami, a więc czasu na odrodzenie się. A ponieważ, na poparcie swych dążeń, nie posiadała dość siły zbrojnej, przeto, rada nie rada, wzdychała do sprawiedliwości, zaślaniała się historią, a działanie przeciwników piętnowała i bezprawność mu zarzucała.

W spadku po tym niefortunnym procesie odziedziczyliśmy właśnie pomienione urojenia — urojenia o tem, iż jesteśmy ofiarami jakiejś wyjątkowo niemoralnej polityki, jakby polityka wogóle mogła być moralną.

Po dziś dzień przecież za dowód zbrodni mamy zaborcom, że nie dopuścili do wprowadzenia Konstytucyi trzeciego maja! Zdumiewamy się, iż zbój, który nas napadł, nie pozwolił nam pójść do lasu po pałkę, tylko wołał nam, bezbronnym, wypróbować kieszenie. Ba, a podczas znów gotowiśmy uwierzyć, iż nieład, panujący w Rzeczypospolitej zmusił mocarstwa do interwencji, iż ten nieład nie był właśnie upragnioną sposobnością do rozszerzenia swych granic!

Czas największy zgodzić się na słusność okrzyku naszych międzynarodowych socyalistów, którzy na ulicach Warszawy wołali o orle polskim „precz z tą gęsią!“.

Tak — precz z gęsią! — Bo istotnie przez naszą skomlącą politykomanję orzeł nasz na bezpazurego ptaka zeszedł, bo, miast rozpostrzeć skrzydła i wzbić się, był nam najmilszym w postaci

omdlewającego stworzenia, zdatnego raczej na rożeń kucharza, niż na zawołanie dwudziesto-miljonowego ludu.

Lubimy się chełpić naszą dążnością do umoralnienia polityki. Chełpmy się, ale nie jako Faryzeusze, którym Bóg był zarobkiem, nie jako owi samolubni rolnicy, zawsze tęskniący do dżdżystego lata, bo ich rola na piaszczystych rozpościera się wzgórzach, lecz, jako ludzie, dążący ku światłu, umiejący nawet w mrokach iść hardo.

„Siła przed prawem!“ — Czy to naprawdę zasada wyłącznie bismarkowska, czy, jak radziśmy mniemać, wyłącznie pruska? — Nie. To zasada ogólnopanstwowa i powszechnie panująca. Zasada zła, nieetyczna, niegodziwa, lecz podotąd wszechwładna, podotąd stanowiąca jedyny atut w stosunkach państwowych. A z tej zasady wniosek prosty, że aby coś osiągnąć od mocarstwa, od Europy trzeba być nadewszystko siłą i trzeba umieć dowodzić tej siły.

Uprzytomnijmy sobie, czy to chwilę wybuchu listopadowej rewolucyi, czy bodaj pierwsze dni lutowego powstania, — odtworzmy sobie gorączkowe oczekiwanie gabinetów europejskich, zważmy źródła owoczesnych sympatycznych napomnień dyplomacyi, owoczesnych zastanawiań się nad „kwestya polską“. Wszak, bez szczególniejszej bystrości, i dziś jeszcze z pożółkłych akt możemy się przekonać, iż zainteresowanie się nami było tem większem, im wieści o naszych środkach walki bardziej przesadzonemi. A dalej, możemy się nadto przekonać, że kwestya polska schodziła z porządku

dziennego równocześnie z ostatnią przegraną polityczką, z ostatnią gromadą powstańczą. Dyplomacya europejska odwracała się od nas nie dlatego, abyśmy jej osobiście byli mniej sympatycznymi, ale dlatego, że byliśmy bezsilnymi. Dyplomacya europejska, w pewnym swym odłamie, sprzyjała nam niegdy bardzo i sprzyjać nam będzie jutro znów z całych sił, ale zawsze tak, jak hyena sprzyja lwu, boć dlatego za nim w trop dąży, aby, na porzuconem przez lwa, pobojuwisku znaleźć dla siebie resztki padliny.

Wspomnijmyż sobie, że i ów polakożerczy Bismarck w wigilję powstania miękł, że i on rad szukał tak skromnego człeka, jakim był Kłobukowski, aby mieć wolną furtkę, w razie czego, do sprzymierzenia się z powstaniem przeciw Rosyi.

Point de rêveries! — zawołał Aleksander II, a nam się zdało, że ziemia się pod naszymi nogami rozstępuje!

„Siła przed prawem!“ — dowodził w każdej swej polakożerczej mowie kanclerz rzeszy, a nam się zdawało, iż ta zasada raz na zawsze ściera znak polskiego imienia!

Ach tak! Zrachowaliśmy niemieckie bagnety, rosyjskie armaty, austryackie mitrajlezy i pochyliliśmy głowy — nie masz dla nas jutra, nie masz nadziei nietylko nacierania, ale i oporu!

Ach! Gdybyż to było tak, jak przed dwustu, stu laty... gdy oręż itd. — oto nasza ukochana racya fizyka, ba, i wiodąca do tego wniosku, że dziś odwaga osobista zesłała na psy!... Zesłała na psy, zesłała, ale na polskiej ziemi!

Więc może z tego sens, aby dowieść znów potrzeby zbrojnej akcji, porywania się z gołemi rękami na kartaczońce?! Wcale, — jeno sens ten, aby na własne siły rachować, na nich tylko polegać, siły te zwierać i wyleczyć się z maniactwa.

Póki nie będziemy mieli sił, póty do niczego nie będziemy mieli prawa, póty nasza sprawa będzie zawsze złą sprawą, przegraną sprawą.

Protestujmyż przeciwko bezwzględności uciskających nas sił, ale protestujmy na to, aby nasze mięśnie, wciąż potężniejące, okazać światu, a nie naszą niemoc.

Politykujmyż — ale politykujmyż tak, jak politykują przeciw nam. Chylmyż się przed siłą, ale chylmyż się tak, jak się chyli młody dąb, który tem gwałtowniej się pręży, im go mocniej wicher ugnie.

Stańmyż się siłą a, i przyjaźnie europejskie się znajdą, i fawory nawet u zaborczych rządów wrócą, i historia nam usłuży, bo niechybnie z archiwów dobędzie takie dowody, jakich nam będzie trzeba, i sprawa polska osiągnie lepszy dla się wyraz, niż nigdy na kongresie wiedeńskim, i ludzkość nam przyklaśnie, i Kościół pobłogosławi i Bóg przestanie nas doświadczać!

Stańmyż się siłą!?! Tedy kujmy pałasze, gotujmy naboje?! — Stokroć razy nie! — Siła narodu warunkuje się posiadaniem czegoś tęższego, dzielniejszego nad magazyn broni, — bo ducha męskiego, trzeźwego, wytrwałego a karnego dla ojczy-
stych zawołań.

Ducha tego miejmy — a reszta pocznie się z niego. Nie żyjemy tchórzostwa bodajby dowodzeniami o postępie techniki wojskowej, a więc i niepodobieństwie stawienia czoła sile militarnej. Pamiętajmy na fakt, iż, względnie do rozwoju ogólnego, toż samo niepodobieństwo było w czasach, gdy narzędziem walki był łuk albo spisa. Pamiętajmy na fakt, że każdy pomysł ludzki zwalczyć można pomysłem, każdy wynalazek wynalazkiem i że nie masz tak mądrych a skomplikowanych zawór, którychby pięść prostaka nie mogła potargać.

Stańmyż się siłą, więc nauczmy się prawdy, że nie ma na czele zaborców dobrych władców i nie ma złych, a są tylko władcy, którzy zawsze będą nam niechętni, ilekroć po temu będą mieli dość sił i którzy zawsze będą nam życzliwymi, ilekroć postrzegą w nas ślad siły, ilekroć własne swe siły muszą w innym zwracać kierunku.

Stańmyż się siłą — a więc wierzy w słuszność naszych praw historycznych, ale wierzy im nie dlatego, aby te prawa historyczne same przez się zaważyć mogły na szali naszego jutra, lecz dlatego, że one są nam siłomierzem, że one są skalą, podzieloną na punkty, ku którym winiśmy dążyć!

A jeżeli bismarkowskie „siła przed prawem“ wciąż zdawać się nam będzie taranem niedosięgłym, wciąż gromem Arimana, nie pozwalającym marzyć o oporze, — nauczmyż się znamiennych słów Maxa Stirnera, bismarkowskiego rodaka-współczesnika! Słów, znakomicie rozwijających

credo kanclerza rzeszy!... I zapamiętajmy, że, gdy Bismarck wołał „siła przed prawem!“, Max Stirner rechotał pobłaźliwie ku nam: „Pragniecie wolności! — Głupcy! Zagarnijcież władzę, a wolność przyjdzie do was sama! Patrzcież, każdy, kto ma władzę, stoi ponad prawem!“...

FINIS POLONIAE.

ETNIS POLONIAE

Odważmy się spojrzeć w oczy prawdzie, rzućmy i my grudkę ziemi na mogiłę Rzeczypospolitej i zgódźmy się na finis Poloniae! Zgódźmy się nie dla wiary w narzucone Kościuszce słowa, lecz zgódźmy się dla niezaprzeczonego faktu, iż Rzeczypospolita umarła, iż, wskrzeszając ją, wskrzesić byśmy musieli nie tylko to, co w niej było promiennem ale i to, co w niej było trędowatem.

Zgódźmy się na finis Poloniae! Miejmy zastanowienie dojrzałego męża, który wielbi pamięć zmarłej dawno swej rodzicielki... ale który by nie chciał mieć ją zmartwychwstałą! Bo i cóż by z nią począł, bo czyżby mogła mu być równie bliską pojęciem, bo czyżby zdołał wypełnić wyrwę czasu, dzielącą go od przeszłości.

Czcijmy pamięć Rzeczypospolitej ale czcijmy jako to, co było, co odchodzi w dal, co rozplywa się w blaskach horyzontu, lecz, co nie wróci i wrócić nie powinno.

Czcijmy z całej mocy pamięć Rzeczypospolitej, czcijmy nasze dzieje dwakroć silniej od innych ludów, — gdyż one dla nas, pozbawionych życia politycznego, dla nas, pozbawionych samoistności państwowej, a więc i zaćmiewanych przez inne na-

rody, są tem, czem jest dla uboższego granda zarzewiała tarcza herbowa.

Wielbmy nasze tradycje, ale wielbmy tylko tak, jak wędrownik zapóźniony, w zbójami wypełnionym, lesie, wielbi swoją pałkę.

Wypominajmy nasze pola chwały narodowej ale wypominajmy je nie dla naszej pychy ale dla umniejszenia pychy naszych nieprzyjaciół, dla uprzytomnienia sobie dorobkiewiczostwa tych, co się nad nas wynoszą ale i dla nauki o tem, jakimi być nie powinniśmy.

2 (Lecz równocześnie strzeżmy się tradycyj, boć one dla każdego ludu są kamieniem młyńskim, uwieszonym do szyi człowieka płynącego.

Niech nas nie łudzi myśl o patryarchalności dawnych czasów, o cnotach naszych przodków, o zaletach ich szczególniejszych. Świat, jako ludzkość, nie był nigdy lepszym, lecz zawsze gorszym. Większa moralność przeszłości uzasadnia się z jednej strony niższymi wyobrażeniami etycznymi, mniejszą kontrolą wzajemną, nieświadomością tego, co się w pobliżu działo. Wolno nam przeszłość idealizować, wolno wierzyć, iż wszystko, co zawierała z obyczajów, zasad, ustroju było dla współczesnych dobrem — ale ani przypuszczajmy, żeby toż samo mogło być dobrem dla nas.

Weźmy sobie, dla przykładu, konstytucję trzeciego maja! Wyobraźmy sobie, że dziś, w tej chwili, mocarstwa wrócą nam pełnię ruchów, pod warunkiem, iż nigdy poza literę majowej konstytucji ruszyć nam nie wolno! Czyżbyśmy się mogli na tak samobójczy warunek zgodzić?! Ba, czyżby re-

formy nie musielibyśmy zacząć od gruntownego przekształcenia tej konstytucji już zastarzałej, już nieodpowiadającej ani duchowi czasu, ani naszym potrzebom, ani doświadczeniu życia parlamentarnego Europy!...

Pamiętajmy o tem, że czcimy Reya i Kochanowskiego, nie aby ci dwaj pisarze wzbijali się formą i duchem ponad współczesną przeciętną sprawność pisarską, ale dlatego, iż są pionierami literatury, iż dla środowiska, w którym żyli, potężne położyli zasługi ku torowaniu drogi na niekulturalnym polu piśmiennictwa.

W tej mierze jesteśmy przesiąknięci ułudami i samolubnymi ułudami! Boć jakże to sobie wyobrażamy ową śnioną niepodległość!!?... Wszak najczęściej tak, iż dość aby stała się Polska, aby na przeciętnego niedołągę-inteligenta spadł deszcz tytułów, zaszczytów, honorów a z nimi i złota! Dla przeciętnego niedołągi-inteligenta, śniona Polska jest Kolchidą, jest błogosławionym stanem, który nie tylko wszechświat zadziwi świetnością kontuszów, pasów, żupanów, fantazyi i kawalerskiej ochoty — ale który nadewszystko wszystkich swoich obywateli zamieni w możnych kasztelanów, starostów, senatorów, posłów, hetmanów i magnatów!... I stąd, gdy przeciętny inteligent-niedołąga dowie się, że i w śnionej Polsce najpierw muszą być żołnierze a potem dowódcy, najpierw szaryzna równouprawnienia a potem barwy i to jedynie własnej i rzetelnej zasługi, że w śnionej Polsce mogą być i cięższe warunki ekonomiczne i twardsze obowiązki obywatelskie, stąd swoją

śnioną Polskę odkłada ad acta i zaczyna prze-myśliwać o czemś pośrednim, na przykład, o unii z Rosją!...

A nie jest to, niestety, żaden sporadyczny wybuch oportunistu ale racya, bardzo poważnymi uzasadniona argumentami. Najoczywistszy z tych argumentów jest ten, że gdyby nam dziś Rosya dobrowolnie wróciła wolność państwową na etnograficznej polaci swego zaboru i że gdyby, wskutek tego, zamknęła nam swe granice cłami ochronnymi, to bylibyśmy ekonomicznie zrujnowanymi... czyli, dowód prosty, że albo zgoda z Rosją i możliwość ekonomiczna, albo wolność z nędzą i, co za tem idzie, znów wojna i znów niewola.

Ten argument był tylekroć rozmaicie parafrazowanym, tak rozmaicie a uczenie wykładanym, iż go w całości rozwinięcia nie podobna tu przytaczać, zresztą i nie potrzeba. Znamy go dobrze i wiemy, że prowadzi stale do jednego i tego samego wniosku... o tem, iż my ani marzymy o rozdziale z Rosją a zwłaszcza dziś gdy na 45 milionów Rosyan conajmniej 45 ludzi wypowiedziało się życzliwie o kwestyi polskiej.

Ten argument ekonomiczny byłby niezawodnie doniosłym bardzo, gdyby nie był fałszywym w założeniu, boć wyodrębnienie zaboru rosyjskiego z Rosyi byłoby równie zabójczem ekonomicznie dla skrawka Polski, jak wyodrębnienie trzeciej części rdzennie rosyjskiej ziemi dla tej części ziemi, jak obstawienie cłem Brandeburgii.

Ten argument ekonomiczny byłby niezawodnie doniosłym, jeżeliby uwzględnił, że, gdyby zabór

rosyjski na pełni etnograficznie polskiej ziemi posiadł niepodległość, to warunki ekonomiczne w nim samym znalazłyby zrównoważenie przez zniewolenie setek tysięcy ludzi do poprzestawania, w rozumieniu wytwórczem, na roli konsumentów... Wszak ci nadnaturalnie szybki rozwój przemysłu i handlu Kongresówki i ziem polskich pod zaborem rosyjskim tłumaczy się zatarasowaniem przed Polakami dostępu do służby państwowej, do wojska, do administracji. Otwórzmy jeno wrota dla stu tysięcy rodzin (boć tyle i to z górą rodzin rosyjskich żyje na koszt państwa na polskich ziemiach rosyjskiego zaboru) a obaczymy dopiero, jak się stosunek produkcji do konsumpcji zmieni. No i jeszcze ten nasz przemysł, wskutek granicy cłowej rosyjskiej, nie upadłby tak szybko i tak łatwo, jak to upaść może dzięki walce taryfowej, którą rząd rosyjski zapoczątkował już na krzywdę przemysłu Królestwa! Czy doprawdy tak mało naszych realistów zna się na taryfach rosyjskich, czy doprawdy mniema, iż sławetna „duma“, nawet taka z powszechnego, równego i tajnego głosowania, nie postara się, aby walkę taryfową wzmódz! Walka taryfowa istnieje — a polega na tem, że przewóz wagonu rudy dniewprowskiej do Królestwa kosztuje mniej niż przewóz takiej samej rudy z kopalni w Królestwie do huty w Królestwie, polega na tem, że przewóz puda wyrobów łódzkich do Moskwy kosztuje drożej niż przewóz takich samych wyrobów moskiewskich do Łodzi...

Ten argument ekonomiczny, mający dowodzić konieczności wyrzeczenia się „mrzonek“ i przysta-

nia na nierozdzielność z Rosyą byłyby bardzo doniosłym i bolesnym, gdyby pochodził z myśli polskiej, a nie z „nadwiślańskiej“, gdyby nie płynął z patriotyzmu polsko-gubernialnego i z tych serc wypalonych żarem niewoli, które już dziś niepodległej Polsce (na wszelki wypadek!) radeby wyznaczyć polskich rewirowych, polskich oberpolicmajstrów i polskich generał-gubernatorów!

I rzecz smutna i gorzka, boć oto od roku z dnia na dzień wyprzysięgamy się „wszelkiej myśli“ o rozdziale z Rosyą!

Ba, ba i jak się wyprzysięgamy, z całych sił, z całej duszy tchórzowskiej!... Wyprzysięgamy się i drżymy, aby być grzecznymi dziećmi... bo inaczej „mama“ się rozgniewa i odda nas dytkowi na słomianych nogach! A dytek jest strasznym, najpierw nas zje, potem pokraje w kawałki i potem będzie nas trzymał na chlebie i wodzie! Dytkiem tym są Prusacy!!... Oni tylko czyhają, oni już wyciągają ku nam ssawki polipie, oni już kupili nas aż po Wisłę za trzy worki złota i korzec miedziaków!!

Okropność!!! — szepcze przeciętny — inteligent na samą myśl, coby to się z nami stało, gdyby od jutra, na rogu ulicy, miał pana w baraniej czapce, stanął pan w pikielhaubie!

Poprostu by nas zjedli! — Kto?! — Prusacy!

Stokroć lepiej z Rosyaninem niż z Prusakiem!

Wszak ci podobno tak rozumuje u nas przeciętny inteligent. Rozumowanie to wartem jest tyle, ile było wartem rozumowanie z czasów przedpowstaniowych, a jeszcze i popowstaniowych, że stokroć lepiej z Prusakiem niż z „Moskalem“. Jeżeli

kogo z popowstaniowców rodzony ojciec-patryota tej prawdy nie uczył, no to ten ojca patryoty nie miał!...

Tymczasem faktem jest, że gdyby Prusacy mieli zamiar wejść do Królestwa i zabrać nas po Wisłę, to my jedynie powinniśmy „puścić im i płaszcz“ i zabiegać byle nas tylko raczyli wziąć po Niemen... i cieszyć się, że, miast trzech zaborców, mamy dwóch i starać się, aby z dwóch zrobił się jeden.

— Prusacy wówczas wparliby Polaków poznańskich na ziemi Królestwa i, wskutek tego, Poznańskie byłoby niewątpliwie straconem! — Być może, iż hakata na ten pomysł by się zdobyła, być może, iż w ten sposób zdołałaby wyrwać Polakom znów połać ziemi, ale czy na długo? Czy w samej rzeczy ta cała kolonizacya jest czemś więcej, jak udręczeniem współczesnej ludności bez żadnego rezultatu dla jutra dziejów! Czy historia Czech nie jest żywym przykładem niemocy państwowej wobec żywiołu narodowego! Czyż doprawdy doświadczenie nas nie poucza, że tam dopiero zaczyna się groza wynarodowienia, gdzie rząd zaborczy staje na gruncie ustępstw, gdzie zaczyna się pobratymstwo i miłość!?

— „Kongresówka by upadła ekonomicznie, przemysł niemiecki“... — No-no! Nie wyrządziłby nam i połowy tego uszczerbku, jaki mamy dziś, dzięki solidaryzowaniu się z wszechrosyjskim zamętem, a na ogół wzmógłby zamożność, bo zabór rosyjski jest hojnie od natury uposażonym, bo ani wyeks-ploatowanym ani zagospodarowanym.

A politycznie?! Politycznie odżywilibyśmy Po-

znańskie i sami odżywilibyśmy się dzielnym, wytrwałym i mężkim ludem. Prusacy zaś, mając miast trzech miljonów Polaków ośm, czy całe szesnaście, pierwsiby nam podali rękę do zgody, nie z sentymentu, lecz z szacunku dla siły, z przeświadczenia, iż hakata z absurdu stała się nadabsurdem.

Ale my, inteligenci podrosyjscy, o tem słyszeć nie chcemy! Bo, jak przed kilku jeszcze laty, wszystko, co rosyjskie, było nam „moskiewskiem“, tak dziś wszystko niemieckie aż krzyżackiem. Jak dziś z całych sił państwowość rosyjską wyodrębniamy z pojęcia lud rosyjski, tak niedawno to wyodrębnianie mieliśmy sobie za zdradę kraju. Jak dawniej patryotyzm nasz był nienawidzeniem „moskali“ tak dziś wschodzi w znak nienawidzenia „Krzyżaków“...

I, na większą grozę położenia, ten pęd nierozdzielności z Rosyą znajduje żywy poklask w Poznaniu, lecz, co dziwniejsze, i w Galicyi!

Przyjaźń, zapomnienie uraz?!... Dobrze! Ale na tych pajęczych niciach zaręczzeń kilku czy kilkadziesiąciu liberałów rosyjskich strzeżmy się stawiać zamków! Pamiętajmy, iż ta rosyjska gromadka polakofilów nie jest narodem, nie jest władzą, nie jest żadną siłą! Uznajmyż tą gromadkę za błogosławioną zapowiedź światłych i dobrych Rosyan — ale i wiedzmy, iż tych Rosyan nie masz tylu jeszcze, aby o nich rzec tysiące!

Kadeci rosyjscy mają zamiar przyznać nam autonomję?! A więc cześć kadetom i wdzięczność za to ich poczuwanie się do obowiązku. Ta zapo-

wiedź kadetów niechże zagoi rany i, jeżeli zagoić potrafi, spełni zadanie ponad siły. Lecz obiecywana nam przez kadetów autonomja nie jest faktem dokonanym, a natomiast faktem dokonanym jest wroga nam wciąż polityka reakcyonistów, intrygi rosyjskie podczas wyborów do dumy, wręcz nieprzyjazne ku nam stanowisko żydów rosyjskich i jest faktem, że zarówno w grodzieńskiej, jak i kowieńskiej gubernii Polacy nie zdobyli ani jednego mandatu poselskiego! Te zaś fakty starczą chyba za dowód, że liberalizm rosyjski nie wyszedł jeszcze ze szranków akademickich dyskusyj.

Liberalizm rosyjski!? Kto stykał się na gruncie neutralnym z rosyjskimi żandarmami, policyantami itp. ten musi przyznać, iż słyszał ich liberalne wynurzenia! Kto bodaj nogą tknął nadnewańskiej stolicy i nie wczoraj — ale przed laty piętnastu, ten ledwie uszom własnym mógł wierzyć, jak szeroko płynie tam myśl o wszechwyzwoleniu...

Liberalizm rosyjski!?!... Ten kwitł zawsze i kwitł tak, że kradł z sarakazmem, bił knutem z westchnieniem, no i denuncyował ze smutnego „obowiązku“.

Lud rosyjski?! Wierzmy, iż się ocknie, zbudzi do lepszego życia, wierzmy, iż już się obudził — ale i pamiętajmy, że obudzić się, to nie znaczy wyzbyć śladów narkotyku, którym nas upojono, zatruto.

Lud rosyjski stoi jeszcze na tym stopniu, na którym dręczy człowieka głód ciała. Lud rosyjski chce tylko chleba i ziemi. Nic mu do swobód obywatelskich, nic do dobra ojczyzny, nic do praw

człowieka. Byle mu rząd rzucił kawał mięsa — lud zabierze się do spokojnego przeżuwania. I niechże ten rząd wskaże mu kogoś, kogo pomówi o chęć zakłócenia ludowi chwili napawania się zdobyczą!... Lud rosyjski runie bez zastanowienia na rzekomego wroga.

Robotnicy rosyjscy?! Rewolucyoniści?! Socjaliści!? Mrowie!? Obliczmyż różnojęzyczność, różnocelowość, różnożywiolość tej ciżby, a przekonamy się, jak dalekimi są nasze cele, nasze żądania, a przekonamy się, iż więcej ma Francya złotników niż cała Rosya szczyrych rewolucjonistów.

Lecz nie skąpmy sobie fantazyi — wyobraźmy sobie, że Rosya posiadała wszystkie i najdalej idące swobody... to cóż z tego dla Polaka!? Bardzo wiele!! Zgoda. Lecz nie skąpmy sobie fantazyi, — wyobraźmy sobie, że zabór rosyjski już zrealizował wszystkie dobrodziejstwa autonomii, że дума rosyjska ani razu nie pomyślała o pruskich prawach wyjątkowych... no — i cóż dalej?! Czy my z kolei, zaprawiwszy się do ciężenia ku Rosyi, nauczywszy się odwracać plecami od Poznańskiego i Galicyi, zdolni będziemy odpowiedzieć na to pytanie?!... Czyż my istotnie mamy prawo kwitować z czegokolwiek, co nie jest własnością naszą inteligentów, naszą mieszcuchów, arystokratów, robotników, proletaryatów, ale jest własnością ludu?!

Nie mamy prawa — i stąd wszystkie nasze akty są bezwartościowemi szmatami.

My, współcześni inteligenci polscy, jesteśmy pokoleniem widm, jesteśmy pokoleniem skarłałem w niewoli, a więc skazanem na wymarcie, na

podeptanie przez zdrowy, zawzięty, mężki lud polski.

My, współcześni inteligenci polscy, ludu tego zdrowego, zawziętego, mężkiego nie pojmujemy i pojąć go już nie możemy, bo, choć roztkliwiamy się nad dzielnością Ślązaków pruskich, ale roztkliwiamy się nie szczerze... Bo chłop polski zimny, wyrachowany, trzeźwy, panujący nad swymi porywami, oszczędny, chłop polski „działacz“, chłop polski, idący ku nam w pełni poczucia swych praw, jest nam, pogrobowcom pychy, szlachetczyzny i bengalskich ogni, jest nam obcym. Jest nam równie obcym, jak zgoła obcą jest nam siła duchowa Czech współczesnych, jak nam, wychowańcom półmroków, półzapałów, półcelów, półideałów, nieznośnym być musi każdy jasny promień słońca, każdy natrętnie pełny dźwięk, każdy ostro zarysowany kontur.

My, współcześni inteligenci, jesteśmy tem pokoleniem, które dopełniło miary targowickiej, które przelało czarę stuletniego frymarku polską sprawą.

My, współcześni inteligenci, jesteśmy tym konającym procesowiczem, który, sterawszy siły na daremnym prawowaniu, chce jeszcze i dzieci swe pieniactwem zarazić.

My, współcześni inteligenci, nawet ku temu się nie garniemy, aby następcom naszym zostawić w puściźnie bodaj myśl, żeśmy w ostatku przejrżeli, żeśmy własnym naszym dzieciom doróśli!

Finis Poloniae! Dosyć Polski łacińskiej, targowickiej i barskiej.

Finis Poloniae! Runął gmach państwowy,
ale trwa, żyje i żyć będzie naród dwudziestomiljonowy.

Finis Poloniae! Żadne państwo nie zdolne
jest wytworzyć narodu — ale każdy naród może
stworzyć państwo.

Finis Poloniae! Precz ze wskrzeszaniem
upiorów.

Jedno jest słońce ziemi polskiej, jedna krew
łomocze w jej żyłach, jeden rytm łomotu tej krwi.

Kto tego nie postrzega, niech ustąpi, niech odej-
dzie ale niech nie próbuje grodzić prostej drogi,
na którą naród wstępuje.

Kto tego nie rozumie, niech wraz ze swoim
konserwatyżmem, tradycjami, postępowością idzie
za przykładem czeskiej szlachty!

Naród polski jest siłą potężną, bo młodą, zdrową
i niezważoną w swej mocy.

Naród polski nie wyrzeknie się nigdy myśli
o swej pełnej niezawisłości politycznej.

Naród polski dlatego nie będzie myślał o od-
budowywaniu Polonii, że tak ciasna i krucha
konstrukcja uchybiała by jego, narodu polskiego,
dzielny i hartowny pojęciem o tem, czem Pol-
ska młoda, odrodzona winna być.

Naród polski może chwilowo zgodzić się na
modus vivendi i sam nawet go szukać, —
ale, za cenę najdalej sięgających ustępstw, nie straci
ani na chwilę swej gwiazdy wyzwolenia!

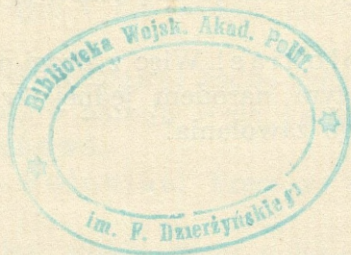
Finis Poloniae! Więc dość niedołęztwa,
łkania, rozmazania, fałszu, obłudy, kłótni, nie-

nawiści, pychy, udanego męczeństwa, pretensjo-
manii!

Finis Poloniae! Więc z drogi przed dwu-
dziestomiljonowym narodem jednej krwi, jednej
tęsknicy, jednego zawołania!

KONIEC.

Paryż w maju 1906 roku.





21097/1